

Zabetonować Kolibki? (s. 18) • Rajska wyspa na jeziorze Wdzydze (s. 11) • Droga do świętości biskupa Dominika (s. 29) • Rehabilitacja akowca „Graba” (s. 25) • Powojenne perypetie ruchu kaszubskiego (s. 5)

POMERANIA

Miejska Biblioteka Publiczna
Czytelnia
MARZEC
1987
w Słupsku

Nr 3

MIESIECZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Pożegnanie Feliksa Marszałkowskiego

21 stycznia zmarł nagle w wieku 72 lat Feliks Marszałkowski.

Tym, którzy choćby tylko otarli się o regionalny ruch kaszubski nie trzeba wyjaśniać, kim był Zmarły i jak dotkliwą stratę oznacza dla społeczności zrzeszonej i regionu jego śmierć. Odszedł człowiek, który przez ponad pół wieku współtworzył ruch kaszubski, oddany całym sercem swojej małej ojczyźnie.

Zmarł w Bydgoszczy, gdzie przebywał w gościnie u córki, ale miasto, z którym był związany przez całe życie, to Kartuzy. Tu 7 sierpnia 1914 roku się urodził, tu ukończył gimnazjum staroklasyczne, a potem praktykował jako dziennikarz w lokalnym „Echu Kaszubskim”. W Kartuzach mając lat dziewiętnaście został sekretarzem Aleksandra Majkowskiego. To pod wpływem osobowości wielkiego pisarza i działacza, rozmów, wspólnych wyjazdów zrodziło się głębsze zainteresowanie Kaszubami, stając się wielką pasją życiową, owocującą niespożytym działaniem dla dobra własnego regionu. Należał do Zrzeszenia Regionalnego Kaszubów, działającego w latach trzydziestych w Kartuzach, współpracował z pismem „Zrzesz Kaszëbskô”, a przez dwa lata, do wybuchu wojny, je redagował. Należał do grona założycieli Zrzeszenia Kaszubskiego w 1956 roku, a potem przez wiele kadencji wchodził w skład Zarządu Głównego. Również na ostatnim Zjeździe Delegatów w grudniu ub.r., w którym uczestniczył, został wybrany w skład tego gremium.

Feliks Marszałkowski należał do tych regionalistów, którzy wartość regionalizmu widzą w wydobywaniu wszelkich właściwych mu odrębności oraz ich rozwijaniu w oparciu
(dokończenie na s. 4)



Feliks Marszałkowski przed kartuskim popiersiem Aleksandra Majkowskiego



Rok zał. 1963

Nr 3 (167)

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Zbigniew Gach
Henryk Galus
Stanisław Janke
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Krystyna Puzdrowska
(sekretarz redakcji)
Edmund Szczesiak

KOLEGIUM REDAKCYJNE:

Eugeniusz Gołąbk
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
Stanisław Pestka
Barbara Pisarek
Krystyna Puzdrowska
Edmund Puzdrowski
Jerzy Samp

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10, 80-828 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

Zarząd Główny
Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Prenumerata:
roczna 960 zł, półroczna 480 zł,
kwartalna 240 zł.
Pojedynczy egzemplarz 80 zł.

INDEKS 37193

PL ISSN 0238-9045

Nakład 3.800

Druk. Zakłady Graficzne w Gdańsku
Zam. 2353 M-1

W numerze:

- 1 (Sz) — Pożegnanie Feliksa Marszałkowskiego
- 1 ANTONI GRZĘDZICKI — Dzieło rodziny Ptachów
- 2 JERZY SAMP — O piewcy mądrości morzan
- 3 „Skry Ormuzdowe” '87
- 4 JÓZEF BORZYSZKOWSKI — Ziemia gromadzi prochy
- 5 TADEUSZ BOLDUAN — Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie — droga dotąd i dalej
- 8 Jubileuszowe adresy do Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
- 11 EDMUND SZCZESIAK — Rajska wyspa. Śladami Remusa
- 16 STANISŁAW JANKE — Wiersze
- 17 (Sz) — Nagroda R. Wróblewskiego
- 18 KAZIMIERZ KOSSAK-GŁÓWCZEWSKI — Kpina, panie dzieju!
- 19 ZBIGNIEW GACH — Sztukmistrz stosowany
- 21 GÜNTER GRASS — Psie lata (11). Tłum. SŁAWOMIR BŁAUT
- 25 HENRYK SZYMANOWICZ — Spełnił żołnierski obowiązek
- 29 JÓZEF BORZYSZKOWSKI — Pierwsza biografia Sługi Bożego Konstantyna Dominika
- 29 Słowórz EUGENIUSZA GOŁĄBKA (2)
- 31 BOGUMIŁA CIROCKA — Jak popularyzować kaszubszczyznę?
- 33 ANDRZEJ SZMIDT — Dom, Kowal
- 33 TADEUSZ LIPSKI — Cassubiana w słowianoznawstwie
- 34 ZYGMUNT MILCZEWSKI — Potulice — droga przez mękę
- 35 ALOJZY NAGEL — Człowiek
- 36 WOJCIECH WIŁA — Z dziejów elektryfikacji Gdyni i nie tylko
- 37 TADEUSZ LIPSKI — Okruchy świątecznej tradycji
- 37 KRYSTYNA i MARIAN FRYDA — Na Gochach
- 38 Zarnowiec!
- 39 Listy * Dary * Z życia Zrzeszenia * Kleka * Noty o książkach
- 46 MIKOŁAJ DUSZYŃSKI — Pośrednik poezji pomorskiej

„Pomeranie” można zaprenumerować bezpośrednio w redakcji lub opłacić przekazem pocztowym (zaznaczając „prenumerata”) na adres i konto podane obok.

17 grudnia ub.r. Oddział Żukowski Zrzeszenia zorganizował wieczór wspomnień poświęcony Zofii i Jadwidze Ptachównom — hafciarkom, kontynuatorkom wzornictwa kaszubskiego (szkoły żukowskiej), które stworzyły norbertanki z nieistniejącego już miejscowego klasztoru. Po wygłoszeniu przez Antoniego Grzędzickiego szkicu o dziele rodziny Ptachów (rzeczą tę ze skrótami publikujemy poniżej) oraz wyświetleniu filmu dokumentalnego „Na Kaszubach”, kilkunastu uczestników spotkania podzieliło się wspomnieniami o kontaktach i współpracy z mistrzyniami żukowskiego haftu. W trakcie spotkania można było zakupić zrzeszeniowe wydaw-

nictwa oraz obejrzeć wystawę prac hafciarskich sióstr Ptachówn i ich uczennic. Wszyscy uczestnicy wieczoru wspomnień, na który przybyło ponad 70 osób, ugoszczeni zostali herbatą i tortowym ciastem, ufundowanymi przez Bank Spółdzielczy w Żukowie.

Oddział Żukowski, o czym poinformował prezes Kazimierz Bańczyk, zamierza uczcić również rodzinę Ptachów tablicą upamiętniającą; dotację na ten cel przyznały już władze gminy. Wszyscy chętni, zainteresowani wsparciem tej inicjatywy, mogą nadsyłać dary pieniężne na konto Oddziału Żukowskiego ŻK-P w Banku Spółdzielczym w Żukowie nr 919155-1212-132-4/

DZIEŁO RODZINY PTACHÓW

Antoni Grzędzicki

W kościele poklasztornym w Żukowie, obok cennych rzeźb i obrazów, znajdują się antepedia i szaty liturgiczne ozdobione haftami kaszubskimi. Najcenniejsze pochodzą z okresu największego rozwoju hafciarstwa klasztoru żukowskiego, przypadającego na XVII i XVIII wiek. Norbertanki wyszywały niemi złotymi lub srebrnymi i różnokolorowym jedwabiem, głównie na potrzeby wystroju kościoła, w tym szaty liturgiczne.

W hafcie żukowskim, wywodzącym się od norbertanek, przeważa kolor niebieski, który stanowi symbolikę licznych jezior i rzek kaszubskich. Do najstarszych motywów haftu żukowskiego należą lilie, tulipany, motylki i goździki.

Po kasacie klasztoru w 1834 r. norbertanki pozostawione na dożywocie pragnęły przekazać kunszt wyszywania młodemu pokoleniu dziewcząt żukowskich. Jedną z ich uczennic była Marianna Okoniewska, która nie tylko przyswoiła sobie sztukę haftowania, ale pod wpływem nauk norbertanek ukształtowała swoją postawę patriotyczną, przywiązanie do tradycji regionu. W tym duchu wychowała też swoje dzieci, wśród nich syna, Roberta Józefa Ptacha, urodzonego 10 marca 1860 r. w Żukowie. Robert Ptach należał do przywódców broniących miejscową ludność przed narastającą germanizacją; był organizatorem wieców w czasie kampanii wyborczych. Jego wiernym przyjacielem był Bruno Hinz. Dzięki nim powstało w 1900 r. w Żukowie kółko rolnicze, żywotne aż do wybuchu II wojny światowej. Natomiast po powstaniu w 1907 r. proniemieckiego Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet i Mężczyzn Ptach założył Towarzystwo Ludowe, które podejmowało działalność kulturalno-oświatową w środowisku żukowskim aż do I wojny światowej. W pracy Towarzystwa udzielała się także żona Roberta Ptacha — Paulina z domu Brilowska, urodzona 16 czerwca 1860 r. Kiedy zaś niemiecki sołtys Kersten wraz z innymi Niemcami zorganizował w Żukowie kasę kredytowo-oszczędnościową według systemu Raiffeisena, Robert Ptach powołał do życia Bank Ludowy, w którym działał bez przerwy, pełniąc w latach 1909—1935 funkcję członka zarządu.

W duchu polskości, przywiązania do ziemi ojczystej, wierności tradycji Paulina i Robert Ptachowie wychowywali swoje dzieci: Franciszka, Zofię i Jadwigę. Franciszek urodzony 24 stycznia 1892 r. odziedziczył gospodarstwo ojca. Zofia ur. 20 maja 1896 i Jadwiga ur. 14 grudnia 1902 r. pomagając matce w pracach domowych, przejmowały od niej umiejętność wyszywania, sięgając przy tym po najstarsze motywy ze skarbcza poklasztornego.

W 1928 roku siostry Ptachówny uczestniczyły w Kartuzach w wystawie prac twórców ludowych z Kaszub. Tutaj zetknęły się po raz pierwszy z haftami innych twórców, w tym Heleny Słwińskiej, Franciszki Majkowskiej, Maksymiliana Lewandowskiego. Najbardziej krytykowała wszystkie prace Franciszka Majkowska, a siostrą Ptachównom zarzuciła, że stosują nadmiar koloru niebieskiego, twierdząc, że w jej haftach zachowany został właściwy dobór kolorów. Siostry odpowiadając Majkowskiej, skrytykowały jej prace za nadmiar czerwieni, a wzory

jako niezbyt żywe, bo zaczerpnięte z płaskorzeźb. Gdy wywiązała się sprzeczka, z pomocą Ptachównom pospieszył Maksymilian Lewandowski z Kościerzyny, który stwierdził, że hafty prezentowane przez żukowskie hafciarki są oparte na najlepszych wzorach starego haftu kaszubskiego, pielęgnowanego przez norbertanki.

Od tego dnia nastąpiła trwała wymiana doświadczeń między siostrami Ptachównymi a Maksymilianem Lewandowskim, który był inspiratorem tworzenia nowych wzorów i nowych elementów kompozycji. Wspólnie szukali najstarszych motywów. Wzory stawały się bogatsze, bardziej rozwinięte. Opracowali między innymi liść fantazyjny, kręte łodygi, wprowadzili dwa odcienie zieleni, odkrywając je w niektórych haftach norbertanek. Maksymilian Lewandowski nauczył Zofię i Jadwigę nowej techniki przekalkowywania wzorów.

Po wspomnianej wystawie w Kartuzach, zorganizowanej przez Młodokaszubów, siostry Ptachówny nabrały większego zapалу do pracy i postanowiły uczyć kaszubskiego wyszywania żukowskie dziewczęta. Początkowo pracowały w zespole regionalnym hafciarek, którym kierował ksiądz Gołomski. Haftowały szaty liturgiczne. Następnie, w 1937 roku założyły koło hafciarek, do którego zaczęły werbować przede wszystkim córki małorolnych chłopów, pragnąc własnie tym dziewczętom umożliwić zarobkowanie. Zespół zbierał się raz w tygodniu, we wtorki, pracując przy gawędzie i śpiewie przez około pięć godzin. Do domu dziewczęta wracały z narysowanymi wzorami, niemi i płótnem. Prace wykonywane podczas zimowych wieczorów magazynowały, by latem sprzedać je turystom. W 1939 roku do kółka należało około 50 hafciarek. Roboty było coraz więcej i dziewczęta obawiały się, że nie zrealizują wszystkich zamówień. Wybuch wojny przerwał jednak działalność hafciarek.

Wśród miejscowej ludności niemieckiej odżyła chęć powetowania rzekomej krzywdy wyrządzonej im przez Polaków. W dniu 11 listopada 1939 r. esesmani zabrali 79-letniego Roberta Ptacha do Borkowa jako zakładnika. Przejściowy obóz polowy był jednak przepełniony i dlatego Ptach został chwilowo zwolniony. Po powrocie z Borkowa zastaje żonę Paulinę na łóżu śmierci. Zmarła następnego dnia, 12 listopada.

Gospodarstwo rolne Ptachów przejął Mejer, pełniący w tym okresie funkcję sołtysa. 6 kwietnia ponownie aresztowano Roberta Ptacha oraz Franciszka i Jadwigę; Zofii udało się uciec przez okno i schronić u sąsiadów. Aresztowanych więziono początkowo w Kartuzach, a stamtąd przetransportowano do Gdyni. Roberta i Franciszka przewieziono do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, Jadwigę do Ravensbrück. Robert zginął z ręki oprawców esesmańskich 22 kwietnia 1940 r. Franciszka przeniesiono do obozu Gusen-Mauthausen, gdzie zginął 28 marca 1941 r. Jadwiga przebywała w Ravensbrück przez trzy lata, wykonując ciężkie prace przy budowie dróg i uprawie łąk. Potem przeniesiono ją do podobozu tzw. Jugendlagru w Genthinie, gdzie przetrwała do chwili wyzwolenia obozu przez żołnierzy radzieckich w

dniu 1 maja 1945 roku. Do domu wróciła schorowana i wyczerpana. Zofia w czasie okupacji pracowała jako służąca u niemieckiej rodziny Rutkamerów w Gdańsku.

Pracę hafciarską siostry rozpoczęły w roku 1950, w kole regionalnym, którym kierowała Zofia, Jadwiga natomiast zajmowała się artystyczną stroną haftu, pilnowaniem autentyczności tradycji oraz opracowywaniem wzorów. Prace siostr brały udział w wystawie sztuki ludowej w Moskwie w 1957 r., gdzie stoisko polskie zdobyło złoty medal, a żukowskie hafciarki dyplom za wyszywany złotymi nićmi gorset. O wysokim kunszcie hafciarskim siostr Ptachówien świadczą także zamówienia: ambasady francuskiej, konsulatów — urugwajskiego, szwedzkiego, austriackiego, które odbierały każdą ilość żukowskich haftów. Również na zamówienie kurii biskupiej w Pelplinie siostry wykonywały hafty dla papieży Jana XXIII i Pawła VI.

W 1958 r. ze względu na pogarszający się stan zdrowia siostry Ptachówny przekazały kierownictwo zespołu hafciarek Ewie Wendt, która była ich najpilniejszą uczennicą.

W lutym 1968 odwiedziłem schorowaną Jadwigę i poprosiłem, by wykonała kompozycję haftu składającą się wyłącznie z elementów szkoły żukowskiej. Wykonała wówczas piękną wiązanekę, szczególnie

eksponując lilię i poleciła mi, by wykonaniem haftu zajęła się Maria Nowicka, jej najwierniejsza przyjaciółka. Nie wiedziałem, że będzie to ostatnia kompozycja Jadwigi Ptachówny. Zmarła 26 marca 1968 r., spoczęła na miejscowym cmentarzu parafialnym. Zofia zmarła dwa lata później, 28 sierpnia 1970 r. Pochowano ją obok siostry Jadwigi.

Ludność Żukowa, by upamiętnić twórczynię, wystąpiła do Gminnej Rady Narodowej o nazwanie jednej z nowych ulic Osiedla Wybickiego ich imieniem. Życzenie ludności zostało spełnione. Wciąż rozwija się także dzieło Zofii i Jadwigi Ptachówien — koło żukowskich hafciarek. Kierownictwo prężnego i żywego zespołu przekazuje się w najlepsze ręce — tej hafciarki, która gwarantuje zachowanie autentyczności i ciągłości tradycji żukowskiego wzornictwa. I tak: od 1958 r. do 31 marca 1969 r. zespołem kierowała Ewa Wendt, od 1 kwietnia 1969 do 31 października 1984 r. (do chwili przejścia na emeryturę) Monika Hildebrand, przekazując przysłowiową igłę swojej córce Bernadecie Reglińskiej. Także dzieci szkolne, którymi opiekowała się Salomea Czerwińska, zdobywały czołowe lokaty w konkursach i wystawach młodych twórców ludowych. Siostry Ptachówny wychowały godne następczynię, które kontynuują ich dzieło, rozpowszechniając haft żukowski zrodzony w murach klasztoru norbertanek.

Mimo mroźnej i śnieżnej soboty 10 stycznia br. do kościoła NSPJ w Gdyni przybyło ponad 400 osób, by wziąć udział w uroczystym poświęceniu tablicy pamiątkowej ku czci Leona Roppa (1912–1978), pisarza, edytora, zasłużonego działacza ruchu kaszubsko-pomorskiego. Uroczystość odbyła się w czasie mszy św. celebrowanej przez ks. biskupa Andrzeja Słowińskiego.

Na początku mszy św. głos zabrał dr Jerzy Samp, prezes Oddziału Gdańskiego Zrzeszenia, który przypomniał dorobek twórcy oraz przedstawił osobowość i drogę życiową Leona Roppa. Po odczytaniu przez Ryszarda Januszewskiego i Mariusza Szmidkę, członków klubu „Pomorania” dwóch wierszy autora „Na jantórowym brzegu”, ks. biskup A. Słowiński poświęcił umieszczoną w kruchcie tablicę upamiętniającą pisarza. Wykonał ją w drewnie Andrzej Arendt z Wejherowa.

Liturgię słowa w tej uroczystej mszy św. odprawiono po kaszubsku. Lekcje i ewangelie odczytał ks. Edmund Skierka z Gdyni-Chyloni, kazanie wygłosił ks. Marian Miotk z Wejherowa, natomiast modlitwę wiernych prowadził Roman Klebba, członek oddziału Zrzeszenia w Gdyni. W uroczystości udział wzięły poczty sztandarowe oddziałów Zrzeszenia w Gdańsku i Pucku oraz chóru gdyńskiego „Dzwon Kaszubski”, który uświetnił tę mszę św. kaszubskimi kołędami i pieśniami religijnymi. Na zakończenie uroczystości głos zabrał prezes ZG Józef Borzyszkowski dziękując gospodarzom świątyni, organizatorom — oddziałom Zrzeszenia w Gdańsku i Gdyni — i wszystkim obecnym za godne uczczenie kaszebszczyńskiego dziejorza i utwórcę, niezapomnianego Płetów Tóné. (s.j.)

O PIEWCY MĄDROŚCI MORZAN

Jerzy Samp

W maju roku 1978 odszedł od nas dość nieoczekiwanie człowiek o otwartym sercu, wielkiej dobroci, życzliwości, ogromnej wiedzy, a przy tym, jak mało kto rozmiłowany w swojej kaszubskiej „taczce”. Jej to właściwie poświęcił całe swoje dorosłe życie. Leon Roppel — bo o nim mowa, odszedł jakby „w drodze”, jeszcze w pełni sił twórczych. Zmarł licząc ledwie 66 lat. Lecz przecież, jak zwykł był mawiać oświecony poeta-biskup, wielka indywiduálność stanisławowskiej epoki — Adam Naruszewicz:

Nie ten żył długo, kto wiek przeżył długi,

Lecz kto życie wielkimi ozdobił zasługi.

Miał Roppel szczęście należeć do garstki ludzi szczerze obdarzonych licznymi talentami, a co najważniejsze, danej mu szansy nie zaprzepaścił. Swoje zdolności nie tylko odkrył, ale, tak jak potrafił, starał się je wykorzystać i to z pożytkiem dla innych. Każdy, kto znał go choć trochę, musi przyznać, że we wszystko co czynił wkładał wiele pracy, że angażował się często bez reszty. Czasem nawet przebierał miarę, kosztem własnego zdrowia i wielu wyrzeczeń. Tak oto ozdabiał swe intensywne życie zasługami, niestety nie zawsze, jak to bywa za życia, docenianymi przez współczesnych.

Jakże trudno nam dzisiaj, w przededniu 75. rocznicy jego urodzin, określić krótko, jednym zdaniem, kim właściwie był Leon Roppel. Niewątpliwie miał duszę artysty, ale i pasję naukowca. Jako germanista, absolwent Jagiellońskiej Alma Mater, szczegó-

nie wyczułony był na sprawy języka. Swoją wiedzę filologiczną wykorzystywał wszakże przede wszystkim w badaniach komparatystycznych nad umiłowaną kaszubszczyzną. Poznał też kilka języków słowiańskich. Był dziennikarzem i publicystą, nie tylko współtwórcą przedwojennej wejherowskiej „Klęki”, ale i tym, którego pod pseudonimem Płetów Tóny znali czytelnicy „Rodziny Kaszubskiej” i „Gazety Gdyńskiej”. O ile jednak w twórczości poetyckiej i prozatorskiej preferował raczej radość, spokój i humor, o tyle w bojach polemicznych, bo i te przyszło mu staczać, bywał nieustraszony wobec swoich adwersarzy, niekiedy wręcz z determinacją broniąc racji, co do których miał pewność.

Zatem Roppel — artysta, pisarz publicysta, autor niezliczonych recenzji. Na tym jednak nie koniec. Miał on bowiem w sobie coś z Kolberga. Rozmiłowany w kaszubskim folklorze, a jednocześnie w pełni świadom nieodwracalności procesów niwelacyjnych, z ogromną pasją gromadził i dokumentował, spisywał i rejestrował to wszystko, co posiadało jeszcze znamiona żywej tradycji ludowej. Interesowały go, bo daj od dziecka, zagadki i przysłowia. Pokłosił tej kilkadziesiąt lat trwającej fascynacji paremiologią okazać się miały, opublikowane po wojnie, zbiory: „Z księgi mądrości morzan”, a w nich 1300 przysłów kaszubskich o morzu, oraz „Orzechy do ucechê abo pół tésaca kaszebscîch zagódk”.

Ukochał morze i w ogóle czuł się chyba „człowie-

kiem morza". Z tego umiłowania zrodził się cykl znanych wierszy o morskich wiatrach a wreszcie i tekst jego „Żeglarza Złocistego Słońca” — widowiska kaszubskiego, którego bohaterem uczynił legendarną postać Jana z Kolna (koło Wejherowa). Dla większej chwały Bałtyku gotów był uzupełniać lokalną mitologię o nowe postacie. Właśnie taką stał się wykreowany przez niego w latach 50. kaszubski Gósk — odpowiednik rzymskiego Neptuna, który za sprawą Roppla na dobre zadomowił się w literaturze regionalnej. Cennym owocem jego zainteresowań marynistycznych pozostaje też obszerna antologia „Ma jesma od morza”. Przyznanie poecie Złotej Odznaki Pracowników Morza było więc w pełni uzasadnione.

Od chwili wydania w roku 1939 pierwszej książki Leona Roppla „Na jantórowym brzegu” (nakład niemal w całości spalili hitlerowcy na wejherowskim rynku w pierwszych tygodniach wojny), aż do wydanych tuż przed śmiercią „Dykteryjek i historyjek z Kaszub” upłynęło prawie czterdzieści lat. Wiele z nich były stypendysta fundacji Przebendowskich poświęcił pisarzom kaszubskim, zarówno tym najwybitniejszym, których twórczość zaliczamy już dziś do klasyki, jak i początkującym. Był więc edytorem dzieł Hieronima Derdowskiego, Aleksandra Majkowskiego, Jana Karnowskiego, Leona Heykego, Franciszka Sędzickiego, Jana Piepki. Osobne prace poświęcił też Florianowi Ceynowie i Gulgowskim a także Lubomirowi Szopińskiemu. Jego to staraniem ukazał się (na długo przed antologią „Modra struna”) „Wybór współczesnej poezji kaszubskiej”.

O tym, co oznacza lapidarny zapis w rodzaju „opracowanie, wybór, wstęp i słowniczek” najlepsze chyba pojęcie mają ci tylko, którzy sami kiedykolwiek przygotowywali książki do druku. Nie zapominajmy przy tym, że Roppel przez wiele lat działał na tym polu w pojedynkę.

Jego też zbiór wierszy i powiastek pt. „Nasze strone”, napisany wspólnie ze Staszkiem Janem, był w roku 1955, po smutnych latach powojennej nieobecności literatury kaszubskiej na naszym rynku czytelnictwem, pierwszą książką kaszubską.

Nie sposób w krótkim wspomnieniu choćby zasignalizować pobieżnie licznych dziedzin kultury i

życia, którymi Leon Roppel twórczo się interesował. Była wśród nich literatura ludowa i folklor muzyczny, etnografia i teatr, nautologia i kontakty kaszubsko-łużyckie, wreszcie szeroko rozumiana problematyka regionalna. Pisał zarówno o Słowińcach, jak i o Kaszubach kanadyjskich. Pracował niezwykle intensywnie i w wielkim pośpiechu, co niektórzy mieli mu za złe. Miał wszak wiele jeszcze planów i projektów. Niestety, nie było mu sędzone doprowadzić ich do końca.

Spuścizna, jaką po sobie pozostawił, wciąż jeszcze, choć od śmierci mija dziewięć lat, czeka na należyte uporządkowanie i opracowanie. A materiały to wielce frapujące. Czyż jednak kiedykolwiek będziemy w stanie, choćby w przybliżeniu, poznać wpływ osobowości i pisarstwa Roppla na innych pisarzy kaszubskich i kaszubsko-pomorskich? Ileż to cennych inspiracji, fascynujących pomysłów i sugestii należy mu zawdzięczać.

Był wreszcie Roppel jednym z założycieli utworzonego przed trzydziestu laty Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Na przeszłość i przyszłość „kaszebizne” miał własny pogląd. Pragnął ją przede wszystkim i za wszelką cenę przybliżyć jak najszerszym kręgom czytelników, również słuchaczy radiowych, których przez lata całe bawił swymi szołobulkami i fifami kaszubskimi. Jako regionalistę można go zaliczyć do tych, którzy wyznawali i wyznają świętą zasadę: „opinio multiplex, Patria una” (zdań różnych wiele, lecz ojczyzna jedna). W pełni też chyba zasłużył sobie na miano jednego z najwybitniejszych współczesnych znawców i propagatorów kaszubszczyzny. Był jako poeta (od roku 1959 należał do ZLP) tłumaczony na kilka języków, w tym, jako jedyny zapewne z pisarzy kaszubskich, również na język japoński. Szkoda, że nie doczekał chwili, gdy w monumentalnej, wydanej przed rokiem antologii poezji religijnej „Intencje serca” ukazał się jego kaszubski wiersz-kołęda „Narodził się Chrystus Pón”.

Nasza zrzeszona społeczność dwukrotnie dała Ropplowi wyraz swego szacunku dla jego pasji życia i dzieła. Po raz pierwszy przyznając mu w roku 1970 Medal Stolema, ostatnio zaś poświęcając mu tablicę pamiątkową.

„POMERANIA” PRZYZNAŁA „SKRĘ ORMUZDOWE” '87

Nasz kulturowy ogród rozrasta się. Z pasji i społecznego zaangażowania wielu ludzi rodzi się coraz więcej owoców na kaszubsko-pomorskiej niwie. Wśród nich są jednak tacy, którzy zasługują na szczególne słowa uznania i dowody wdzięczności. „Zespół i kolegium redakcji „Pomeranii” — pisaliśmy w maju 1985 roku — chce wyróżniać osoby (...) dokonujące czegoś ważnego, niekiedy tylko dla najbliższego otoczenia, lecz w swoich poczynaniach przewyżczające zastane środowiskowe warunki, przewyżczające często samych siebie”. W tym samym miesiącu ogłosiliśmy nazwiska pierwszych laureatów naszego honorowego wyróżnienia „Skrę Ormuzdowa”. Przypomnijmy, byli to: JÓZEF CHELMOWSKI z Jagli, ANTONI KONKEL z Jastarni, JÓZEF JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKI z Wysokiej Zaborskiej, TADEUSZ LIPSKI z Wiela i JULIAN ZABOROWSKI z Lipusza. W roku następnym wyróżniliśmy: WŁADYSŁAWĘ SPICZAK-BRZEZIŃSKĄ z Brzeźna Szlacheckiego, JACQUELINE DEREŃ-GILMEISTER z Frankfurtu n/Menem, MARIE KOPEĆ z Kęsowa, BOLESŁAWA JAŹDŻEWSKIEGO z Lipuskiej Huty i ALBERTA PATOCKA ze Strzelna.

W roku bieżącym członkowie zespołu i kolegium redakcji „Pomeranii” również przyznali „Skrę Ormuzdową” pięciu osobom. Z przyjemnością informujemy, że laureatami naszego wyróżnienia zostali:

● JOANNA GIL-SŁEBODA z Pyszna, opiekunka zespołu teatralnego „Beleco” w Zapceniu na

Gochach; dzięki jej pracy reżyserskiej wyrastającej z zamilowania do teatru, repertuar działającego od sześciu lat zespołu stanowi przede wszystkim twórczość Anny Łajming, żywo odbierana przez miejscowe i okoliczne społeczeństwo.

● WANDA SZKULMOWSKA z Bydgoszczy, pracownik Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego; wykraczając poza obowiązki pracy zawodowej stała się autentyczną opiekunką twórców ludowych, a także pomysłodawczynią wielu cennych inicjatyw służących rozwojowi sztuki ludowej na terenie województwa bydgoskiego.

● KRYSZYNA I JERZY WALKUSZOWIE z Hopowa, twórcy zespołu „Hopowanie”; propagując folklor kaszubski wnieśli w życie wsi nowy, ożywczy klimat sprzyjający szeroko rozumianej społecznej aktywności.

● LUDWIK BACH Z RUMI, prezes miejscowego oddziału Zrzeszenia; talentem organizacyjnym, przemysłaną pracą i wytrwałością przyczynił się do wzmocnionej działalności społeczności zrzeszonej w tym mieście.

● FRANCISZEK OKUŃ z Leśniewa, animator kaszubskiej kultury w swojej rodzinnej wsi; inicjator wielu imprez i przedsięwzięć służących zachowaniu rodzimej mowy i utrwalaniu więzi międzyludzkich.

Laureatom serdecznie gratulujemy.

Szerzej sylwetki wyróżnionych przedstawimy w następnych numerach.

Redakcja

Pożegnanie Feliksa Marszałkowskiego

o lokalną tradycję. Szczególną wagę przywiązywał do mowy kaszubskiej, zawsze i wszędzie będąc jej gorącym orędownikiem, w przekonaniu, że jeśli zaniknie mowa nastąpi zanik kaszubskości, a przynajmniej jej poważne zubożenie. Swoje wystąpienia na różnych spotkaniach wygłaszał po kaszubsku. A jeśli już zależało Mu, żeby wypowiedziane treści trafiły do nie znających kaszubskiego, poprzedzał wypowiedź wstępem w ulubionej mowie. Był obecny wszędzie, gdzie coś się działo, trudno było sobie wyobrazić ważną uroczystość zrzeszeniową, spotkanie, bez udziału pana Feliksa. Pieczętowanie chronił i przechowywał w swoim kartuskim domu spuściznę literacką i wspomnieniową po wielkich pisarzach kaszubskich, zawsze gotów udostępnić ją zainteresowanym. Sam także tworzył, chociaż ogromny krytycyzm i wrodzona skromność sprawiły, że tylko nieliczne utwory publikował.

Pochowany został 24 stycznia w Kartuzach. Na Jego pogrzeb przybyli działacze i członkowie Zrzeszenia z całego Pomorza. Trumnę spowila stanica (chorągiew) z gryfem, ta sama, która okrywała trumnę Jego mistrza i nauczyciela, Aleksandra Majkowskiego. W konduktie pogrzebowym kroczyły poczty sztandarowe oddziałów ZK-P z Gdańska, Kościerzyny i Pucka oraz Zarządu Głównego, delegacje z wieńcami i kwiatami z najbardziej nawet odległych oddziałów (Chojnice, Słupsk). Bardzo też wielu mieszkańców Kartuz towarzyszyło Zmarłemu w ostatniej drodze. Obecni byli przedstawiciele władz z naczelnikiem miasta i gminy Teofilem Kleinem. Kondukt zatrzymał się przed kościołem Św. Kazimierza, znajdującym się w rynku, gdzie nastąpiło pożegnanie parafianina, a potem udano się do starego kościoła kartuzów i tam została odprawiona msza św. żałobna, koncelebrowana pod przewodnictwem ks. Franciszka Gruczy. Liturgię słowa odczytano po kaszubsku. Kazanie wygłosił ks. Grucza, przyjaciel Zmarłego. „Chciałbym nad Jego trumną przemówić w naszej czcigodnej mowie kaszubskiej” — powiedział na wstępie i z ambony popłynęła wspaniała kaszubszczyzna, którą takim uwielbieniem darzył pan Feliks. „Stanał zęgić Remusové”. Ks. Grucza przypomniał, że tymi słowami w tym samym kościele żegnał Aleksandra Majkowskiego prałat Kazimierz Bieszk, a w wiele lat później żegnał Jana Rompskiego. To powiedzenie należy się też Feliksowi Marszałkowskiemu, jednemu z wielkich duchów kaszubskich. Dla niego zawsze co nasze, kaszubskie, było najważniejsze. Ks. Grucza stwierdził, że obaj należeli do pokolenia Zrzeszyców, którzy starali się kontynuować i przenieść w przyszłość idee Młodokaszubów. Odszedł Majkowski, zamordowany został przez hitlerowców ks. Heyke, zmarł Karnowski. Po nich wzięli sprawy kaszubskie na swoje ręce Zrzeszycy —

jako trzecie pokolenie w ruchu kaszubskim. Teraz kończy się to trzecie pokolenie, ale można z ufnością patrzeć w przyszłość. Są młodzi, którzy przejęli sztafety. Trud, który ponosił Feliks Marszałkowski, nie był daremny. Ziarno, które zasiał, będzie plonować.

Na cmentarzu w imieniu społeczności zrzeszonej pożegnał Zmarłego Józef Borzyszkowski, prezes Zrzeszenia, a w imieniu członków Od-

ziału Kartuskiego — Roman Regliński. Przemawiał także przedstawiciel MK SD.

Feliks Marszałkowski spoczął w pobliżu swego mistrza, w pobliżu grobu, który często odwiedzał, nie rzadko w towarzystwie młodzieży chcącej poznać wielkie postacie ziem kaszubskiej, sam stając się mistrzem i nauczycielem dla innych, wielką postacią, godną naśladowania (Sz)

ZIEMIA GROMADZI PROCHY

Józef Borzyszkowski

Przybywa mogił bliskich nam ludzi na kartuskim cmentarzu. Dziś składamy tu, w kaszubskiej ziemi ciał naszego Dręcha — Feliksa Marszałkowskiego, najmłodszego z bohaterów niepowtarzalnej książki reportażu Józefa Kisielewskiego. Ta książka — „Ziemia gromadzi prochy” — była owocem wędrówki przed 50 laty po Wielkim Pomorzu, między Łabą a Wisłą. To Wielkie Pomorze, nadbałtycka słowiańszczyzna, z której pozostali w wyniku dziejowych burz tylko Kaszubi, Kaszubszczyzna, była wielkim umiłowaniem Feliksa Marszałka. O Nim też można powiedzieć, iż był piastunem i krzewicielem języka i ducha Kaszubów. Tego ducha, którego budzicielami byli Florian Ceynowa, a potem Aleksander Majkowski i Młodokaszubi.

Feliks, jako sekretarz osobisty dra Majkowskiego — twórcy i przywódcy ruchu młodokaszubskiego, jako jeden z dzyszcich Zrzeszyców i redaktor „Zrzesze Kaszëbsczi” w Kartezach a zarazem duchowy syn i dziecko Jana Karnowskiego — sumienia regionalizmu kaszubskiego i wykonawcy „Zapisu Mściwoja”, był tym, który z prawdziwą pokorą zgłębiał myśli swoich poprzedników, dokonania uczonych, dzieje Kaszubów. Jednocześnie starał się poprzez codzienną pracę, żmudną i mało efektowną, przybliżyć rzeczywistość kaszubską do ideałów — pięknego i powszechnego języka kaszubskiego, samorządności, gospodarności i uczciwości braci Kaszubów, naszego bogactwa duchowego i materialnego, prawdziwej miłości Stwórcy i Jego dzieł, szacunku dla otaczających nas ludzi i przyrody.

Był i pozostanie postacią niepowtarzalną wśród nas i w historii Kaszubów. Całkowicie oddany sprawie kaszubskiej, ten przedwojenny działacz Zrzeszenia Regionalnego Kaszubów w Kartuzach, stał się przed 30 laty współzałożycielem naszego Zrzeszenia i pozostał do ostatnich dni jednym z najzarliwszych jego członków. Był dla nas swoistym łącznikiem między dawnymi laty a współczesnością; był żywym symbolem ciągłości tradycji, naszego trwania, trwania Kaszubów na swojej ziemi i w walce o swoje. Jako opiekun spuścizny duchowej Majkowskiego i Karnowskiego starał się o zaszczerpiecie ich ideałów młodzie-

ży. Mimo przybywających lat pozostawał zawsze młodym. Był bliskim partnerem dla najmłodszych. Nie tylko dla Pomoranców był i pozostanie Stołem — jedynym w swoim rodzaju.

Wielkość Dręcha Feliksa polegała na gorącym umiłowaniu i ofiarnej, skromnej, bezinteresownej służbie i pracy dla najbliższych oraz dla Kaszub i pamięci o ich wielkich synach; na pełnym oddaniu. Przykładem pozostanie przywiązanie i poświęcenie dla rodziny Mistrza Majkowskiego. Wielkość ta wynikała również z szukania dla siebie i innych miejsca we wspólnocie kaszubsko-pomorskiej; wspólnocie ludzi różnych, często niełatwych we współżyciu i współpracy, a równie gorących w miłowaniu Tęczyżny. Był Feliks człowiekiem niezwyklej delikatności i kultury osobistej, człowiekiem dobroci.

Miał też głęboko zakorzenioną świadomość siły tworzenia wynikającej z solidarnego współdziałania. Potwierdzał to praktyką własnego życia, nie rezygnując wcale z własnych sądów. Dla wielu współczesnych stał się symbolem i wyrazicielem ruchu kaszubskiego w Kartuzach; może nawet bardziej niż Jego Mistrz, a do ostatnich dni był i — mam przekonanie — pozostanie nadal dobrym duchem kartęskiego partu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Takim widzieliśmy Go w Gdańsku i wszędzie na Kaszubach i Pomorzu — od Torunia przez Bydgoszcz, Chojnice do Pucka, Słupska i Koszalina, gdzie są żywe ogniwa Społeczności Zrzeszonej.

Feliks uczestniczył w każdej twórczej dyskusji — w Kartuzach, Gdańsku, Pelplinie, Sopocie, Wejherowie, Wdzydżach czy Łączyńskiej Hucie; czerpał z tych spotkań satysfakcję i siły, których ostatnio może dodawała Mu obecność własnych dzieci tam, gdzie sam był i chciał być obecny. Cieszył się bardzo z każdej cudzej dobrej roboty, w miarę sił w niej pomagał. Przykładem może być książka „Sługa Boży Ks. Bp Konstantyn Dominik”, do którego to ideału — można powiedzieć — Feliks był bardzo podobny swoją osobowością.

Życie Feliksa było nieustannym zmaganiem się z losem, częściej dla dobra innych. Od kilku lat, mając własny kącik, nieco więcej spokoju

i czasu na refleksję, mobilizował młodych do dokumentowania kaszubskich dróg i ścieżek, nie tylko Jana Karnowskiego, Stefana Bieszkę czy Andrisów Gustę. Próbowal również zrekapitulować własne twórcze życie i skreślić wizję przyszłości. Wydawało się, że dane będzie Jemu

i nam zrealizować wspólnie większą część planów i marzeń. Stało się inaczej. Składamy Go tu — rodzina, kapłani, znajomi i przyjaciele — w ojczywej ziemi na wieczny spoczynek, obok Jego najbliższych — rodziców i braci, tych z krwi i tych z ducha.

Zegnam Cię, Dręchu Feliksie, w imieniu wszystkich oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, w imieniu obecnych tu przyjaciół i tych, którzy jak Méster Jan Trepczyk, przybyć nie mogli.

Spoczywaj w pokoju!
(24.01.87)

Trzydziestolecie Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego skłania do rozmaitych refleksji. Nie może być inaczej, skoro na mapie regionalnej kraju Zrzeszenie wyznaczyło sobie własne miejsce, niepodobne do miejsca innych organizacji. Postanowiło być kontynuatorem, ale nie więźniem, tradycji ruchu kaszubsko-pomorskiego, w którym — w luźnych strukturach — występowało wiele orientacji. Te najważniejsze, które prof. Gerard Labuda sklasyfikował ogólnie jako słowiano-kaszubską, polono-kaszubską i kaszubsko-pomorską, zespoliły się w jednej strukturze, zachowując jednak autonomię poglądów na kaszubszczyznę. Zrozumiałe, że początkowo rodziło to konflikty, gdyż każda orientacja usiłowała narzucić organizacji własny program, lecz czas je złagodził i doprowadził do rozsądnego współdziałania, którego efektem jest dorobek Zrzeszenia.

Zrzeszenie Kaszubsko—Pomorskie — DROGA DOTĄD I DALEJ

Tadeusz Bolduan

Nasza sytuacja była i pozostaje do pewnego stopnia nielogiczna, gdyż wszystkie orientacje występujące w ponad stuletnich dziejach ruchu kaszubsko-pomorskiego miały przeciwko sobie, z krótkimi okresami wytnienia, władze polityczne i administracyjne i również ludzi spoza władz, nie rozumiejących istoty zaangażowania społecznego. Musiały zatem, jak i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, występować „przeciw sprawującym władzę”, przeciw ich nakazom zależnym od punktu patrzenia na sprawę kaszubską i od koniunktury politycznej. Usiłowano zamknąć działalność regionalną w skansenie folklorystycznym, bądź też wykorzystywać Zrzeszenie do akcji propagandowych, jako transmisję politycznych inicjatyw władz do rzeszy kaszubskiej. W realiach, które doprowadziły współczesny ruch kaszubsko-pomorski do względnej co prawda, ale jednak stabilizacji i aktywności kulturalnej, model „przeciwko sprawującym władzę” — jak w innym kontekście zauważył Władysław Fiałkowski — okazał się jedynym modelem twórczym, bo w nim rodziły się nowe idee, koncepcje, sposoby myślenia, niezależne od doraźnych i często doktrynerskich nakazów.

Jak w każdej społeczności, tak i w naszej byli ludzie, którzy sztandar tożsamości etnicznej, rozumianej bardzo szeroko, bo w sferze ideowej, kulturalnej, moralnej i społecznej, nieśli przez wszystkie, nawet najcięższe czasy. W latach hitlerowskiej niewoli spotykali się Zrzeszyńcy i programowali przyszłość Kaszubów, Franciszek Sędzicki, jako pastuch w Kornem i zarazem partyzant, pisał swoje śpiewki i opowiastki, w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” i w Związku Pomorskim w Wielkiej Brytanii rozpatrywano miejsce Pomorza, w tym Kaszubów, w przyszłej Polsce sięgającej po Odrę.

Również tak zwane milczące lata okresu stalinowskiego, mimo represji [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)] i moralnych oraz zakazu wszelkiej działalności na podłożu kaszubsko-pomorskim, nie były zupełnie nieme. W „Rejsach” Andrzej Bukowski rewolucjonizował na siłę klasowo słuszne tradycje kaszubskie, Izabella Trojanowska zajmowała się sztuką ludową i wojowała zaciekle z CPLiA o zachowanie oryginalności tej sztuki, a Lech Bądkowski uporczywie poszukiwał młodych ludzi władających piórem, bądź mogących w przyszłości zasilić szeregi organizacji, o której marzono, ale nie dowierzano, że powstanie.

„Regionalizm kaszubski” Andrzeja Bukowskiego orientował zainteresowanych w bogatej problematyce kaszubskiej, natomiast swoje postawy ideowe młodzi działacze kształtowali na podstawie kolportowa-

nej przez Lecha Bądkowskiego jego „Pomorskiej myśli politycznej” i przepisanej z rękopisu pracy Jana Karnowskiego „Refleksje nad ideologią pomorską”. Lech Bądkowski hartował młodych i usiłował reorientować doświadczonych działaczy w najtrudniejszych latach, tych od 1950 roku, kiedy Kaszubów, nie z ich mandatu, fasadowo reprezentował poseł Antoni Bigus, uznający w ograniczonym zakresie folklor kaszubski i nic więcej. Wszystko inne było niebezpieczną konspiracją. A jednak różne grupy, zwłaszcza Zrzeszyńcy i grono osób skupionych wokół Lecha Bądkowskiego, utrzymywały ze sobą kontakty prywatne, przygotowując się do pracy publicznej w przyszłości.

Ważną rolę w „milczących latach” spełniał „Dziennik Bałtycki”, a szczególnie „Rejsy”, w których drukowano rozmaite artykuły, oczywiście z koncesją polityczną, poświęcone głównie tradycjom orientacji polono-kaszubskiej i sztuce ludowej. W 1952 roku na łamach „Rejsów” zadebiutował kilkoma wierszami kaszubskimi Jan Piepka, w następnym roku Alojzy Nagel i Jan Kiedrowski. Od 1954 roku Rajmund Bolduan drukował w „Dzienniku” felietony kaszubskie. W latach 1952–1956 Hubert Suchecki pisał w Wejherowie utwory sceniczne i wystawiał je na scenach szkolnych i estradach wojskowych. W 1953 roku Lech Bądkowski i Franciszek Fenikowski odkryli samodzielną talent prozatorski, jakim był Augustyn Necel z Władysławowa. Nieco uwagi poświęcano w „Dzienniku Bałtyckim” Słowińcom. W latach 1952–1956 interweniowałem w obronie [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)] gniebionych Słowińców u Edwarda Ochaba w Komitecie Centralnym PZPR, a zwłaszcza u premiera Józefa Cyrankiewicza, w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej. Skutki były, ale doraźne i znikome. Sprawę słowińską przegraliśmy ostatecznie w latach sześćdziesiątych.

W krąg spraw kaszubskich z powodzeniem wprowadzano niektórych pisarzy i dziennikarzy pochodzących z różnych stron kraju, że wspomnę tylko Franciszka Fenikowskiego, Różę Ostrowską i Zbigniewa Szymańskiego. Zrozumienie dla tematyki kaszubskiej okazywał zastępca redaktora naczelnego „Dziennika Bałtyckiego”, Wincenty Kraśko.

Te drobne i nieco rozproszone kroki uchodziły uwagi władz gdańskich. Zaniepokoiły się one dopiero w 1955 roku, gdy musiały się zgodzić na uczczenie 500-lecia odzyskania Pomorza. Z ponadregionalnym Komitetem Wykonawczym Roku Jubileuszowego 500-

-lecia powrotu Gdańska do Polski nawiązał kontakt Oddział Gdański Związku Literatów Polskich, który otrzymał zezwolenie na wydanie specjalnego numeru czasopisma, z perspektywą na jego ciągłość. W marcu 1955 roku ukazała się „Kotwica” z artykułem wstępnym Lecha Bądkowskiego, kaszubskimi utworami literackimi i artykułami o Kaszubach. Źródłem skandalu stał się artykuł Bądkowskiego, w którym pisał o sprzyjaniu morza w przenikaniu i krzyżowaniu się wpływów międzynarodowych, w przenikaniu, idei i kultur. Bądkowski wyłożył karty na stół pisząc wprost: „Jeśli chce się mówić o jakiejś koncepcji kulturalnej tego obszaru na przyszłość i o jakiejś polityce kulturalnej zmierzającej do wcielenia tej koncepcji w życie — trzeba się zastanawiać”.

Adam Ważyk nie opublikował jeszcze „Poematu dla dorosłych”, w województwie gdańskim porządku stalinowskiego strzegli sekretarze KW Trusz i Kunat oraz administratorzy — Szeliga i odpowiedzialny za kulturę Bigus, a tu Bądkowski nawołuje do zastanawiania się nad polityką kulturalną, która była domeną władz. „Kotwica” skończyła żywot na jednym numerze, ale Kaszubi — i nie tylko oni — zaczęli już tu i ówdzie poważnie myśleć o sobie.

W 1955 roku ukazały się „Nasze stronę” Jana Piepki i Leona Roppa oraz Augustyna Necla „Kutry o czerwonych żaglach”, na początku następnego roku pojawiły się książki Franciszka Sędzickiego „Jestem Kaszubą” i Jana Piepki „Purtkowe stęgny”. Wszystkie w Warszawie. W 1956 roku szczecińsko-gdańska „Ziemia i Morze”, gdańskie „Kontrasty” i „Dziennik Bałtycki” podjęły temat kaszubski i rodowity gdańszczan już w pełniejszym wymiarze politycznym, obrachunkowym. Artykuł Izabelli Trojanowskiej i Jana Piepki „Złamać znowe milczenie”, opublikowany w „Kontrastach”, postulował wyjście na spotkanie ludziom Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, wymową swoją dopowiadał jednak coś więcej — wyjście na spotkanie Kaszubom z pełną prawdą o ich losie w dziejach najnowszych. Odtąd prasa, w tym „Nowe Drogi” i „Trybuna Ludu”, zaczęła poważnie zajmować się Kaszubami, upominając się o równe dla nich prawa i naprawienie wyrządzonech krzywd.

Sprawa kaszubska nabrała ogólnokrajowego rozgłosu, wiele pisano o niej również za granicą, w Gdańsku jednak z trudem się przebiła przez głęboko zakorzenione uprzedzenia i podejrzliwość władz. Zresztą sami Kaszubi zachowywali się biernie, nie wierzyli w możliwość zmian politycznych w kraju. Idea własnej organizacji rodziła się w wąskim gronie dawnych działaczy.

Wykorzystano czas dezorientacji politycznej przed przełomem październikowym. Pod koniec 1955 roku, z inicjatywy Bernarda Szczęsnego, grono działaczy: prof. Abdon Stryszak, Lech Bądkowski, Izabella Trojanowska, Leon Roppel, Jan Rompski i Ignacy Szutenberg, podjęło wstępne prace nad powołaniem organizacji kaszubskiej. Do pierwszego spotkania doszło w Muzeum Regionalnym w Kartuzach 22 stycznia 1956 roku, następnie dwa, nieco poszerzone, odbyły się w Gdyni w lutym tego roku, na których zastanawiano się nad charakterem przyszłej organizacji. Najważniejsze było opracowanie jednolitego programu, możliwego do przyjęcia przez wszystkie orientacje i zespolenie dawnych działaczy znajdujących się w rozproszeniu.

Konkretne kroki organizacyjne podjęto w kwietniu 1956 roku. Pobyt we wrześniu na Wybrzeżu komisji partyjno-rządowej, która zapoznała się ze sprawami kaszubskimi, ułatwił dalsze działania. 14 października 1956 roku zebrał się w Gdyni nieformalny komitet założycielski, który opracował — nadal wstępnie — zarys statutu organizacji masowej o profilu społeczno-kulturalnym.

W nocy 21 października, tuż przed VIII Plenum KC PZPR, gdy nikt nie wiedział, które siły polityczne zwyciężą, Aleksander Arendt, Lech Bądkowski, Andrzej Bukowski, Robert Komkowski, Bernard Szczesny i Izabella Trojanowska, jako grono działaczy kaszubsko-pomorskich, opracowali i podpisali odezwę do ludności Kaszub i Kociewia popierającą w pełni program polityczny Władysława Gomułki i wyrażającą nadzieję, że w nowych warunkach ludność kaszubska zyska pełnię praw. Następnego dnia odezwę opublikowała prasa wybrzeżowa. Była ona aktem odwagi i realizmu politycznego w przeciwieństwie do postępowania władz gdańskich, które biernie czekały na wyniki VIII Plenum.

28 października 1956 roku zebrał się w Gdyni Komitet Organizacyjny, który przyjął poprawioną wer-

sję statutu organizacji, nazwanej wtedy Zrzeszeniem Kaszubskim i powołał Komitet Założycielski Zrzeszenia Kaszubskiego pod przewodnictwem Lecha Bądkowskiego, w składzie: Aleksander Arendt, Henryk Łukowicz, Robert Komkowski, Alfons Jereczek, Wincenty Kleinschmidt, Jan Rompski, Abdon Stryszak, Bernard Szczesny, Izabella Trojanowska. Celem tego gremium było zarejestrowanie Zrzeszenia i przygotowanie walnego zjazdu.

Na tym zebraniu nie wypracowano jednolitej koncepcji Zrzeszenia, ani nie ustalono jednoznacznie, jak się ma zachować w nowej sytuacji politycznej. Tak zwana odnowa z trudem torowała sobie drogę w Gdańsku. Podaję za protokołem niektóre wypowiedzi:

Lech Bądkowski: „(...) w kraju jest jeszcze wiele niejasności w związku z niedostatecznym informowaniem. W sprawach kaszubsko-pomorskich sytuacja ulega radykalnej zmianie na lepsze. Działanie nasze musi być śmiałe, ale mądre. Władze nasze nie zdały egzaminu (...)”.

Andrzej Bukowski: „(...) Statut nasz powinien odzwierciedlać wszystkie zagadnienia związane z naszą sprawą. Są już teraz głosy alarmujące o separatyzmie. Musimy się od takich głosów odciąć (...) Poziom przezwyciężająca części przedstawicieli władz jest zastraszająca niski. Musimy jednych przekonać, a drugich „pokonać”. Są tu między nami różnice poglądów. Mamy obowiązek szukać tego, co nas łączy (...)”.

Antoni Rybakowski: „(...) Chłop nie będzie politykować. Chodzi o otoczenie opieką Kaszubów. Socjalizm odpowiada Kaszubom, chociaż nie odpowiada materializm. Nie zastanawiajmy się nad polityką, lecz idźmy do Kaszubów z prawdą. Kaszuba niewiele skorzystał mógł ze zdobyczy Polski Ludowej. We władzach powinni być nasi ludzie i w ten sposób powinniśmy realizować nasze postulaty”.

Leon Roppel: „Władze są zdezorientowane. Sondują nas. Nasi ludzie nie chcą brać udziału w polityce na skutek błędów i dyskryminacji. Szkodzi to nam. W tej chwili jest dogodny moment do wejścia przez nas w życie państwowe i społeczne. Uważam, że powinniśmy właśnie jak najwięcej politykować”.

Abdon Stryszak: „(...) towarzystwo opiekuńcze, czy wejść na szerszą arenę polityczną? Należy to ustalić. Życie nie składa się tylko ze spraw kulturalnych. Jeżeli ograniczymy się do towarzystwa opiekuńczego, ograniczymy się do składania petycji. Jasne, że powinniśmy wszędzie wejść. Naszą rzeczą jest pilnować tych ludzi, którzy wejdą we władze, by nie oderwali się od społeczeństwa”.

Aleksander Arendt: „Kaszubi zaczynają mówić. To dobrze, wiemy czego chcemy. Trudno znaleźć granice, gdzie jest polityka, a gdzie jej nie ma (...) Nie czekać na dyspozycje, a stawiać na zdrowy rozum”.

Z tych kilku wybranych z dyskusji głosów wynika, że profil Zrzeszenia rysował się bardzo szeroko, chociaż mało precyzyjnie. Nie mierzono jeszcze sił na zamiary. Sformułowano wtedy kilkanaście postulatów, w tym potrzebę wydawania czasopisma kaszubskiego i książek oraz wystawienia własnej listy z kandydatami na posłów do Sejmu PRL. Najważniejsze jednak, że postanowiono tłumaczyć Kaszubom znaczenie Polskiego Paździelnika, zwiastującego odrodzenie moralne ludzi, wolność osobistą i sprawiedliwość. Dodawano im odwagi, przełamywano lęki, jak się niebawem okazało z nadmiernym optymizmem.

Nowy I sekretarz KW PZPR, Józef Machno, zawie-rzył intencjom działaczy kaszubskich i postawił na kartę kaszubsko-pomorską do czasu, aż spotkał się z opozycją w łonie aparatu partyjnego i doradców. 5 listopada Egzekutywa KW PZPR w Gdańsku wystosowała list do organizacji partyjnych, w którym jednoznacznie stwierdziła:

„(...) Egzekutywa popiera inicjatywę grupy aktywu kaszubskiego, pracującego nad powołaniem Zrzeszenia Kaszubskiego i udzieli mu wszelkiej pomocy w realizacji jego planów (...)”.

2 grudnia 1956 roku odbył się w Gdańsku I Walny Zjazd Zrzeszenia Kaszubskiego, na który przybyło ponad 150 osób. Uchwalono statut i wybrano władze naczelne z prezesem Aleksandrem Arendtem. W § 4 statut głosił, że „Celem Zrzeszenia jest:

a) rozbudowanie szerokiej inicjatywy społecznej dla

wszelchstronnego rozwoju Kaszub i wiązania ich z budownictwem polskiej drogi do socjalizmu,

b) stworzenie ludności kaszubskiej warunków pełnego włączenia się w całość życia państwowego Polski Ludowej,

c) popieranie gospodarczego rozwoju Kaszub,

d) rozwijanie wszystkich wartości kultury kaszubskiej, ze szczególnym uwzględnieniem literatury,

e) szerzenie wśród ludu znajomości jego kultury duchowej i materialnej oraz zamilowania do niej,

f) stworzenie młodzieży kaszubskiej najlepszych warunków kształcenia się i pełnego rozwoju,

g) współdziałanie z innymi organizacjami regionalnymi i instytucjami działającymi na terenie Pomorza".

Statut odzwierciedlał optymizm działaczy kaszubskich, którzy chcieli przemieścić góry. I rzeczywiście, początki Zrzeszenia były niesłychanie trudne we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Starano się, chociaż częściowo, naprawić krzywdy wyrządzone Kaszubom, Słowińcom i gdańszczanom, napędzano młodzież kaszubską do szkół średnich i wyższych, rozwiązywano kłopoty rybaków indywidualnych i rolników, współtworzono kółka rolnicze na przedwojennych zasadach, zabiegano o udział Kaszubów we władzach. W wyborach do Sejmu kandydował Bernard Szczesny, ale nie na mandatowym miejscu. Lepiej było w wyborach do Wojewódzkiej Rady Narodowej, do której wszedł m.in. Aleksander Arendt, Lech Bądkowski, Tadeusz Bolduan, Gereon Grzenia-Romanowski, Bernard Kula, Jan Piepka i Bernard Szczesny. Niektórzy pełnili obowiązki radnego przez dwie kadencje i chociaż wielu z nich było bardzo ruchliwych, już w tym czasie za bardzo ruchliwych, niewiele mogli zdziałać. Nadmierna aktywność typu samorządowego była paraliżowana przez władze wykonawcze. Coś jednak zrobiono.

Tymczasem Zrzeszenie Kaszubskie rozwijało się żywiołowo, powstawały oddziały i koła terenowe, mimo niewiary Kaszubów w trwałość przemian zapoczątkowanych Październikiem. Organizacja nasza, według szacunkowych danych, wątpliwych co najmniej, osiągnęła wkrótce około 10 tysięcy członków. Wiele było przypadkowych, zapisujących się do Zrzeszenia na fali emocji lub z przekonaniem, że dzięki niemu załatwią swoje prywatne sprawy. Z czasem niektórzy uciekali z Zrzeszenia ze strachu, inni odeszli nie osiągnąwszy swoich osobistych celów i stan członkowski ustabilizował się na poziomie około 3 tysięcy.

O trudnym starcie Zrzeszenia Kaszubskiego, nazwanego przez jednego z działaczy szczebla wojewódzkiego „bękartem października”, dowodzi list Lecha Bądkowskiego z 19 stycznia 1957 roku, skierowany do mnie do Warszawy, w którym Bądkowski trafnie spostrzegł:

„(...) sytuacja nasza jest bardzo niejasna. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że dziś Zrzeszenie by nie powstało. Są głosy, co z nim zrobić, żeby się go jakoś bez szumu pozbyć. Dołóż do tego ogólną sytuację, bardzo ciężką. Dołóż do tego głupotę wielu naszych ludzi, o której sam zresztą wzmiankujesz. Dołóż do tego wreszcie złą wolę niektórych gdańskich czynników miejscowych, z prasą na czele. No i trzeba żeglować (...) Trzeba mnóstwo cierpliwości, mnóstwo siły poświęcić organizowaniu Zrzeszenia. To jest konkretny cel. Jeśli go osiągniemy, będziemy mogli raz-niej spojrzeć w twarz rzeczywistości”.

Pierwszym sprawdzianem sprawności organizacyjnej Zrzeszenia na dużą skalę była uroczystość odsłonięcia pomnika Hieronima Derdowskiego w Wielu w 1957 roku. Przybyło na nią kilkadziesiąt tysięcy Kaszubów — pociągami, autobusami, zaprzęgami konnymi, rowerami, piechotą. W uroczystości uczestniczył marszałek Sejmu, Czesław Wycech i wiceminister bezpieczeństwa, Zygfryd Sznek. Władze przeraziły się zdolności organizacyjnych Zrzeszenia i jego wpływu na Kaszubów. To było powodem narastającej znowu podejrzliwości i zwlekania z wyrażeniem zgody na wydawanie czasopisma kaszubskiego. Zrzeszenie otrzymało ją jednak 16 września 1957 roku.

Władze polityczne województwa gdańskiego usiłowały podporządkować sobie Zrzeszenie, które miało transmitować treści polityczne i ideologiczne partii do Kaszubów, szczególnie podczas różnego rodzaju akcji, jak wybory do sejmu i rad narodowych. Samorządność i niezależność były nie do pomyślenia, różnice zdań oznaczały opozycję wobec władz, inicjatywy własne, bez oficjalnej aprobaty, równały się konspiracji. Podejmowaliśmy je na zasadzie faktów dokonanych, z czego rozliczano działaczy kaszubskich bardzo surowo. Denerwowało też to, że Zrzeszenie patrzyło władzy na ręce i nader często publicznie nie zgadzało się z jej poglądami i decyzjami. Po Październiku rewindykowała prawa, natomiast władze stawiały opór. To musiało rodzić konflikty.

W pierwszych latach, które zaznaczyły się wieloma pracami na różnych odcinkach życia społecznego, a przede wszystkim przywracaniem godności Kaszubom, wiary w siebie, w swoją wartość, Zrzeszenie szło na kompromisy i więcej — ulegało presji władz, łamiąc własny statut i te ogólne zasady, które miały stanowić o odnowie życia polityczno-społecznego w Polsce. Było zbyt słabe, by przeciwstawiać się stale, jakże często niedorzecznym wymagom sekretarzy Komitetu Wojewódzkiego. Słabość tkwiła w tym, że po ożywieniu październikowym życie wracało w stare kanały arbitralnego postępowania i Kaszubi przestraszyli się, że za swoją społeczną działalność poniosą znowu trudne do przewidzenia konsekwencje. Poza tym w Zrzeszeniu ścierały się stare orientacje: jedni uważali na pewno, że deklarowanie swej polskości jest konieczne, aby nie pomawiano Kaszubów o tendencje germanofilskie i separatystyczne, drudzy — Zrzeszyńcy i znaczne grono ich zwolenników — optowali na rzecz mikroświata kaszubskiego, wykluczając się np. o zasady pisowni, jakby to było w tym wstępnym okresie najważniejsze. Wreszcie najlicniejsi zwolennicy orientacji kaszubsko-pomorskiej stawiali na współczesność, szukali miejsca dla ruchu regionalnego w układach politycznych jakie były, rozumując w ten sposób, że socjalizm nie przekreśla tradycji kaszubskiej, nie wymaga wyzbycia się tożsamości etnicznej, zatrącenia własnej kultury i samorządności wewnątrz Zrzeszenia. Otwarcie na Pomorze miało umacniać kaszubszczyznę wszechstronnie, również społecznie i gospodarczo. Swary wewnętrzne spalały energię i szarpały nerwy, zwłaszcza członków partii w Zrzeszeniu, którzy na zewnątrz, w kontaktach z Komitetem Wojewódzkim, bronili racji Zrzeszenia i tym samym, obtłukiwani bezlitośnie, tworzyli wobec niego opozycję, gdyż w Komitecie nie przyjmowano do wiadomości żadnych racjonalnych argumentów.

Zarząd Główny, głęboko przekonany o potrzebie i pożytecznej pracy Zrzeszenia, szukał dróg uwolnienia się od drobiazgowego nadzoru władz politycznych.

27 kwietnia 1958 roku przedwiecześnie zwołano w Gdańsku II Walny Zjazd Delegatów, z udziałem prawie 200 osób i I sekretarza, Józefa Machny. W swoim wystąpieniu sekretarz zaatakował władze Zrzeszenia, że dążą do wyodrębnienia problemu kaszubskiego, którego nie ma, przeciwdziałają integracji społeczeństwa, zajmują się pisownią kaszubską, która jest tworem sztucznym i uznał mój artykuł „Sprawy Kaszubów”, opublikowany w „Kaszebach”, za politycznie szkodliwy, bo lansujący separatyzm kaszubski.

Na zjeździe wybrano Radę Naczelną, która miała wyznaczać kierunki działania Zrzeszenia i prowadzić dyskusje programowe, kontrolować Zarząd Główny i zatwierdzać jego ważniejsze postanowienia. Przewodniczącym Rady został Bernard Szczesny, a Zarządu Głównego ponownie Aleksander Arendt. Sekretarz Machno był człowiekiem inteligentnym, wice szybko zorientował się w naszej grze na zwłokę, bowiem płynące strumieniem z KW życzenia Zarząd Główny odsyłał do Rady Naczelnej, a ta była ciałem nieruchawym, rzadko się zbierającym. Wykorzystano ten okres na powoływanie nowych ogniw terenowych i umacnianie już istniejących. „Kaszebach” i kluby młodzieżowe zaczęły stopniowo przejmować sprawy programowe i organizacyjne, a nieco później przejmowały je również niektóre oddziały. Paraliżowanie działalności władz naczelnych powodowało decentralizację obowiązków wobec społeczności kaszubskiej, z dobrymi, jak na te czasy skutkami.

Uginaliśmy się niejednokrotnie. Nie tylko ze słabości własnej, bardziej z poczucia odpowiedzialności za samo istnienie organizacji, której był bym mocno zagrożony. Na żądanie sekretarza Józefa Machny, 5 grudnia 1959 roku zwołano sesję Rady Naczelnej. Sekretarz z furii gromił członków Rady, zarzucając Zrzeszeniu, że jest partią opozycyjną, a nie organizacją społeczną. Szczególnie ostro zaatakował Oddział Gdański i Lecha Bądkowskiego za wydanie skryptu „Zarys historii literatury kaszubskiej”, w którym dopatrywał się treści separatystycznej i antysocjalistycznej. Pod presją sekretarza złamaliśmy własny statut i podjęliśmy uchwałę, którą podjąć mógł tylko Walny Zjazd, o przekształceniu Rady Naczelnej w Zarząd Główny, a Zarządu Głównego w jego Prezydium. Prezesem został Bernard Szczesny. Podjęto też uchwałę o przystąpieniu Zrzeszenia do Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich. To był początek głębokiego kryzysu w Zrzeszeniu, a zarazem pełniejszej decentralizacji w celu zachowania ciągłości normalnego działania chociaż w niektórych ogniwach.

Kampania polityczna przeciw Zrzeszeniu Kaszubskiemu przybierała na sile i nawet Zarząd Główny nie bardzo wiedział, o co w niej właściwie chodzi. W latach 1959—1960, gdy sekretarzami KW PZPR byli

Jan Ptasieński i Tadeusz Wrębiak, próbowano wmieszać Kaszubów w tzw. Paketaktion, czyli w kontakty z zachodnioniemieckim rewizjonizmem. W 1959 roku wytoczono proces Hillarowi i Dudzińskiemu, nie powiązanym z Zrzeszeniem, których oskarżono o usiłowanie utworzenia pod patronatem kanclerza Konrada Adenauera państwa kaszubskiego składającego się z Pomorza, Górnego Śląska i Wielkopolski. Absurdowi i fikcji nieustannie towarzyszyło posądzanie Kaszubów o separatyzm i sprzyjanie rewizjonizmowi niemieckiemu. Dowodzi tego fakt, że w tę prowokacyjną sprawę sądową próbowano włączyć niektórych działaczy kaszubskich, jak członka naczelnych władz Zrzeszenia, Franciszka Ornasa, byłego więźnia obozu koncentracyjnego. Ile zachodu kosztowało członków Zarządu Głównego, zwłaszcza Aleksandra Arendta i Bernarda Szczęsnego, żeby władzom politycznym wybić z głowy niebezpieczny i szkodliwy pomysł wciągnięcia Kaszubów w proces o sprawę, która była im obca i nosiła cechy prowokacji.

11 grudnia 1960 roku, z inicjatywy redakcji „Kaszëb”, odbyło się w Gdańsku spotkanie pisarzy, publicystów i działaczy z udziałem m.in. Aleksandra Arendta, Stefana Bieszka, Stanisława Pestki, Tadeusza Bolduana, Klemensa Derca, Feliksa Marszałkowskiego, Jana Piepki, Leona Roppla, Huberta Sucheckiego, Bernarda Szczęsnego, Pawła Szeffki i Jana Trepczyka, na którym omówiono potrzeby edytorskie i popularyzacji literatury kaszubskiej. Okazało się już następnego dnia, że zaproszenie na spotkanie Zrzeszyńców równoznaczne było z opowiedzeniem się redakcji „Kaszëb” po ich stronie. Fakt ten odczytano również, tym razem słusznie, jako wyzwanie rzucone sekretarzom KW, którzy rutynowo dzielili działaczy kaszubskich na prawomyślnych i nieprawomyślnych, chociaż w praktyce traktowali wszystkich jednakowo. Jeśli byli nieposłuszni.

Kilka dni po tym spotkaniu przeprowadzono rewizję w mieszkaniach Stefana Bieszka w Chelminie, Jana Rompskiego w Toruniu i Aleksandra Labudy w Tłuczewie, konfiskując rękopisy i niektóre książki. Rewizji dokonano pod zarzutem działania na rzecz rewizjonizmu w Niemczech Zachodnich. Od tego zarzutu odciał się Tadeusz Wrębiak, bowiem był on tylko pretekstem do przeprowadzenia rewizji, skonfiskowania materiałów i wytoczenia procesu sądowego.

Dzięki zabiegom Bernarda Szczęsnego, władze Zrzeszenia znalazły się w końcu w alternatywnej sytuacji: albo proces Bieszka, Rompskiego, Labudy i ewentualnie jeszcze kilku Zrzeszyńców, albo zostaną oni ukarani we własnym zakresie przez Zrzeszenie. Kompetentny w tej sprawie był Sąd Koleżeński, a jednak w niezgodzie ze statutem, na plenarnym zebraniu w dniu 15 stycznia 1961 roku wykluczono z Zrzeszenia Aleksandra Labudę, na jeden rok zawieszono w prawach członkowskich Stefana Bieszka i Jana Rompskiego, a Feliksowi Marszałkowskiemu i Janowi Trepczykowi udzielono nagany. Wszyscy zostali zrehabilitowani i przeproszeni uchwałą Zarządu Głównego w 1971 roku. Nie było podstaw do ukarania tych działaczy i chyba jeszcze za wcześnie oceniać czy zło, które wybraliśmy, było lepsze od procesu, który zamierzano wytoczyć Zrzeszyńcom. O prawdę nie dbano. Aluzyjny artykuł związany z tą sprawą pt. „O potrzebie myślenia” cenzura zdjęła z „Kaszëb”, ale oczywiście dotarł on do Wrębiaka i prawdopodobnie stał się jednym z gwoździ do trumny „Kaszëb”, które zlikwidowano z końcem 1961 roku.

Wiele miejsca poświęciłem początkowym latom Zrzeszenia Kaszubskiego, pragnąłem jednak w skrócie i uproszczeniu zilustrować trudną drogę, jaką przeszliśmy, popełniając błędy i uginając się pod ciężarem zmyślonych, lecz politycznie zabójczych zarzutów. Wszystko, co było po 1968 roku, gdy odeszli z Gdańska sekretarze Ptasieński i Wrębiak, znamiennowało się wytchnieniem, chociaż nadal nie było łatwo. Sądę, że zgromadzone w tych pierwszych latach doświadczenia pozwoliły nam zahartować się w zabiegach o nasze racje, spotęgowały upór, zrodziły nakaz strzeżenia samorządności organizacji i jej niezależności, a także rozważnej oceny naszych przeciwników, [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Z tej lekcji wyszliśmy w końcu na tyle rozumni, że po 1970 roku nie musieliśmy się reformować, zmieniać programu, składać deklaracji ani wstydić się samych siebie w pamiętnych dniach sierpniowych 1980 roku.

JUBILEUSZOWE ADRESY do Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

W trzydziestym roku działalności Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, w imieniu Zarządu i całej społeczności Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, pragniemy złożyć gorące gratulacje i wyrazy najwyższego uznania za wielki trud i świetne wyniki w działalności dla dobra nie tylko społeczności kaszubskiej, ale i wszystkich mieszkańców Pomorza Gdańskiego.

Zarówno piękne tradycje twórczej pracy Kaszubów w umacnianiu więzi z resztą ujarzmionej Rzeczypospolitej w okresie zaborów, jak i walka o przynależność ziemi pomorskiej do Polski po zakończeniu I wojny światowej, a następnie usilna praca o właściwe miejsce Kaszubów w Polsce Niepodległej, stanowiły czas budowy mocnych fundamentów pod kształtowanie pełnej świadomości ludu pomorskiego.

Trwająca tożsamość kulturowa ludności kaszubskiej pozwoliła jej przetrwać okrutny czas II wojny światowej. Te tradycje z przeszłości stanowiły wartość, która zaowocowała 30 lat temu, kiedy w 1956 roku powstało Zrzeszenie. Nie możemy w tym miejscu pominąć wielkiego wkładu, także członka Gdańskiego Towarzystwa Naukowego — niestety już nieżyjącego — pana Lecha Bądkowskiego, w powstaniu Zrzeszenia, umocnieniu jego autentycznej działalności, wytyczeniu dróg ku przyszłości.

Za te niewymierne wartości wniesione do świadomości mieszkańców Pomorza, a także całej Polski pragniemy w dniu dzisiejszym szczególnie serdecznie podziękować.

Pragniemy również podziękować za opublikowane drukiem dzieła, które w tak znacznym stopniu przyczyniły się do poznania Ziemi Kaszubskiej, jej wspaniałej przyrody, historii i kultury, jak również pracy, walki i nadziei jej mieszkańców.

Dziękujemy również za miesięcznik „Pomerania”, który tak znakomicie potrafi przedstawić małą ojczyznę kaszubską w jej trwaniu z Polską oraz w kregu kultury europejskiej.

Zyczymy wszystkim członkom Zrzeszenia dalszych lat twórczej pracy w kończącym się naszym stuleciu oraz w nadchodzącym wieku XXI.

Zyczymy dalszego umocnienia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, w pełnym przekonaniu o słuszności wybranego kierunku na „kaszubskich drogach”.

Z najlepszymi i serdecznymi myślami —

doc. dr hab. Andrzej Zbierski

Sekretarz Generalny

prof. dr inż. Włodzimierz Prosnak
Prezes

*

(...)

Plon trzydziestolecia jest obfity. Duchowe i kulturalne żniwo wielkie!

Oby Bóg pozwolił i w przyszłości realizować założenia Zrzeszenia i tym samym przyczyniać się do ubogacenia kultury Pomorza i Ziemi Kaszubskiej.

Szczerym wyrazem łączności i najlepszym życzeniem towarzyszą uczucia szczerego oddania i gorącego podziękowania.

Marian Przykucki
Biskup Chelmiński

Rozwój Zrzeszenia, od 1964 roku Kaszubsko-Pomorskiego, przebiegał nierównomiernie, co jest zrozumiałe, wszak wszyscy musieliśmy się uczyć pracy w organizacji społecznej, nietypowej, w skompliko-

wanych i stale się zmieniających układach politycznych, rzutujących na stosunek różnych osób na stanowiskach do działaczy kaszubskich i całej organizacji. Słabość własne potrafiłszy w znacznym stopniu pokonać, jednak uprzedzić do Zrzeszenia nie chcieli pokonać władze wojewódzkie gdańskie. Przekonał się, że partia i administracja nie wypracowały żadnej polityki wobec Zrzeszenia, a tym bardziej wobec Kaszubów, że jedynym hasłem wywoławczym była integracja społeczeństwa, za którym krył się wymóg uniformizacji i absolutnego posłuszeństwa. Stosunek do Zrzeszenia miał charakter personalny i zmieniał się zasadniczo wraz ze zmianami ekip kierowniczych, które dziedziczyły jednak doradców z ich osobistymi kompleksami. Po 1968 roku, gdy w Zrzeszeniu jedność stanowisk w zasadniczych sprawach dokonała się w ramach autonomii wewnętrznej, nie bez zgrzytów zresztą, można było stopniowo przechodzić do coraz intensywniejszej pracy. W historii Zrzeszenia zaznaczyły się wyraźnie cztery okresy:

Pierwszy okres, organizacyjny, obejmuje lata 1956—1959. Było wtedy wiele entuzjazmu, tworzone struktury organizacyjne, rozdziły się różne koncepcje działania, toczono dyskusje ideowe, angażowano się ofiarne we wszystkich istotnych dziedzinach ważnych dla rozwoju Kaszub i zarazem chroniono Zrzeszenie, ze zmiennym skutkiem, przed uzależnieniem politycznym.

Drugi okres, obejmujący lata 1960—1964, zaznaczył się stagnacją; utrzymanie przy życiu organizacji było wówczas najważniejsze. Zarząd Główny przejął małą aktywność, natomiast żywotnymi ośrodkami pracy kaszubskiej, wyręczającymi Zarząd Główny, były nadal: redakcja „Kaszëbë”, Klub Studentów Kaszubów „Ormuzd”, a od 1962 roku klub „Pomorania” i po reorganizacji niektóre oddziały, jak w Gdańsku, Kościerzynie, Pucku i Wejherowie. Klubową młodzież energicznie opiekował się Lech Bądkowski — wielka indywidualność, a rej wśród niej wodził student, potem inżynier, obecny naczelny redaktor „Pomeranii”, Wojciech Kiedrowski.

W 1964 roku Zrzeszenie Kaszubskie przyjęło nazwę Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, łącząc się formalnie z Zrzeszeniem Kociewskim, i przybrało charakter organizacji kadrowej, którą było już znacznie wcześniej.

Trzeci okres, to lata 1965—1970. Nazywam go przejściowym, w którym organizacja zaczęła się ożywiać i wychodzić z nowymi inicjatywami, już okrzepnięta w bojach i oddolnie domagająca się uaktywnienia Zarządu Głównego, chociaż w 1970 roku weszli do niego, a także do Prezydium, działacze rozwiązane TRZZ. Niektórzy z nich usiłowali zbiurokratyzować i odkaszubić Zrzeszenie, jednak bez skutku i w końcu albo zrezygnowali, albo przepadli w wyborach.

Czwarty okres, od 1971 roku, oceniam jako najbardziej aktywny. Umocniła się autonomia i samorządność Zrzeszenia, stało się ono bardziej obywatelskie, odporne na naciski z zewnątrz, o czym świadczy chociażby pozornie drobna sprawa Ferdynanda Neureitera, w związku z przyznaniem mu Medalu Stolema, autora antologii poezji i prozy kaszubskiej oraz historii literatury kaszubskiej — książek wydanych w Monachium, w znanej serii „Slavistische Beiträge”. Historię literatury kaszubskiej przetłumaczono na język polski i wydało ją Zrzeszenie. Sprawa ta — banalna, bo Neureiterowi zarzucano separatyzm, szowinizm niemiecki, rewizjonizm, banderyzm, dyletantyzm i inne herezje — zakończyła się naszym zwycięstwem, chociaż mieliśmy przeciwko sobie wielu pseudoideologów. Prof. Andrzej Bukowski nadał rozpaczliwie tępi Neureitera, ale dla nas jest to już tylko niepoważna zabawa. Tymczasem Neureiter odznaczony został medalem „Za Zasługi dla Kultury Polskiej”, a w bieżącym roku Złotym Krzyżem Orderu Zasługi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wspominam o tym przypadku dlatego, że z pozytywnej działalności Neureitera zrobiono w Gdańsku aferę polityczną, w którą wmieszano Zrzeszenie na kilka lat. W tej sprawie twarzą postawę zajmował ówczesny prezes Zarządu Głównego, Jerzy Kiedrowski.

Pomyślny okres Zrzeszenia trwa. Jest on gorzki, jak poprzednie, ale my jesteśmy już inni i dlatego

doznawana gorycz nie przesłania satysfakcji w pracy społecznej.

Zrzeszenie stopniowo odchodziło od „wszystkoizmu”, skupiając swe siły w rozwijaniu kultury i oświaty, szczególnie literatury i sztuki ludowej — szkoda, że w znacznie mniejszym stopniu sztuki profesjonalnej — i także w rozpatrywaniu rozmaitych zagadnień naukowych oraz społecznych. Doprowadziło do ujednolicenia pisowni kaszubskiej i opublikowania podstawowych prac warsztatowych, jak zasady pisowni, gramatyka, słownik polsko-kaszubski i kaszubskopolski. Zajmuje się ochroną środowiska przyrodniczego i kulturowego, inicjuje badania socjologiczne. Pamięta przy tym o młodzieży, o przygotowywaniu nowych kadr, dzięki czemu pozostaje organizacją stosunkowo młodą.

Działalność Zrzeszenia zamyka się w rozpoznawaniu, poznawaniu, twórczości, popularyzacji i organizacji. Gdyby te funkcje rozpiąć na konkrety, otrzymalibyśmy długą listę wykonanych prac, podporządkowanych naczelnej zasadzie zachowania i pogłębiania tożsamości etnicznej, z wszystkimi pozytywnymi konsekwencjami w wymiarze regionalnym i ponadregionalnym, nade wszystko zaś — czysto ludzkim.

Nie sposób nie wymienić, dla ogólnej orientacji, przynajmniej niektórych dokonań w trzydziestolecu. Nie są to tylko proste fakty; zawiera się w nich sens naszej pracy, zakorzeniony w dziedzictwie, a kształtujący współczesność i ubezpieczający przyszłość.

Ożywienie Kaszubów, uwolnienie ich od nadmiaru wątpliwości, wpojenie im wiary w celowość angażowania się społecznego i awansu poprzez pracę nad sobą, było głównym celem Zrzeszenia, realizowanym na płaszczyźnie kulturalnej i oświatowej w pierwszym okresie jego istnienia. Zorganizowano wtedy konferencje dla nauczycieli w Gdańsku, kursy wakacyjne dla nauczycieli w Lęborku i Tczewie, zakładano kluby młodej inteligencji kaszubskiej i doprowadzono do kilku spotkań międzyklubowych. Sesje wyjazdowe i objazdowe Zarządu Głównego, a także różnego rodzaju wycieczki, sesje publicystyczne i popularnonaukowe, spotkania z partyzantami pomorskimi i dyrektorami liceów, odczyty wygłaszane masowo na konferencjach rejonowych nauczycieli — to wszystko znamię działalności wielokierunkową, pogłębiającą świadomość potrzeby czynnej obecności Kaszubów na swojej ziemi po okresie stalinowskim.

Z czasem dorobek pomnażano o nowe inicjatywy i imprezy o charakterze ciągłym. Najważniejsze z nich to Kaszubsko-Pomorskie Spotkania Wdzydzkie (było ich 16), Spotkania Publicystyczne (13), Seminarium Kaszubskie w Łączyńskiej Hucie (9), Spotkania Pelplińskie (7), organizowane wspólnie z Wyższym Seminarium Duchownym afiliowanym do Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego i zapoczątkowane w bieżącym roku Kolokwia Gdańskie, organizowane wspólnie z Kurią Biskupią w Gdańsku. Współorganizujemy też Spotkania Nadwiślańskie w Tczewie. Na wszystkich tych spotkaniach omawia się i żywo, niekiedy bardzo żywo, dyskutuje najróżniejsze tematy literackie, historyczne, społeczne, socjologiczne i ekologiczne, w których czas przeszły spleta się z czasem przeżywanym i przyszłym.

Do stałych imprez Zrzeszenia należą również konkursy: „Ludowe Talenty”, recytatorski w Chmielnie, piosenki kaszubskiej w Kartuzach, współorganizacja spływu rybaków na kutrach do Pucka na odpust św. Piotra i Pawła oraz wielce interesująca impreza w Chałupach „Kaszëbsczië bôtë pod żóglama”. Klub „Pomorania” organizuje m.in. kursy adaptacyjne dla studentów I roku wyższych uczelni gdańskich, wano i uroczystości z okazji wręczania medali Stolema. Od dwóch lat Zrzeszenie organizuje Dni Kultury Kaszubsko-Pomorskiej. W bieżącym roku zaplanowano społeczeństwu ponad 100 imprez. Wielkim powodzeniem cieszą się znakomicie przygotowane Koncerty Galowe Zespołów Folklorystycznych w Teatrze „Wybrzeże”, w reżyserii Jana Właśniewskiego oraz szkolny konkurs wiedzy o Pomorzu.

Przez długie lata dobrze układała się nam współpraca — i nadal dobrze układa — z Wojewódzkim Ośrodkiem Kultury, władzami miejsko-gminnymi i

niektórymi lokalnymi placówkami kulturalno-oświatowymi. Wysoko cenimy sobie owocną współpracę z kuriami biskupimi w Pelplinie i Gdańsku oraz z Gdańskim Towarzystwem Naukowym.

Zrzeszenie było inicjatorem powołania muzeów: Hymnu Narodowego w Będminie, skansenu wdydzkiego, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie i Działu Etnograficznego Muzeum Narodowego w Gdańsku. Już pod koniec lat pięćdziesiątych zabiegaliśmy o wzniesienie pomników Józefa Wybickiego w Gdańsku i Kościierzynie oraz ufundowaliśmy popiersie naszego wielkiego rodaka w Będminie. Z inicjatywy Zrzeszenia i przy jego udziale, w wielu miastach i wioskach wzniesiono pomniki i popiersia wybitnych pisarzy oraz działaczy kaszubskich, upamiętniliśmy ich działalność a także ważniejsze zdarzenia w dziejach Kaszub tablicami pamiątkowymi w miejscach publicznych i w kościołach. Dwa pomniki — na Złotej Górze pod Kartuzami i w Kornem wzniesiono z naszej inicjatywy partyzantom kaszubsko-pomorskim.

Kaszuby były ziemią bez wizualnej metryki, bez pomników, tablic przypominających bogatą przeszłość, bez własnego oblicza na zewnątrz. Dzisiaj jest inaczej i to cieszy.

W sztuce dominuje ludowość, co jest tylko częściowo zrozumiałe, natomiast w literaturze spotykamy się ze zjawiskiem złożonym, bowiem ludowość coraz częściej jest tylko obramowaniem dzieł tworzonych na poziomie intelektualnym, niekiedy wysokim, w języku kaszubskim i narodowym. Literatura w języku kaszubskim rozwinęła się pomyślnie w trzydziestolecie i chociaż nadal dominuje poezja, to przecież coraz częściej pojawia się także proza i, co ważne — publicystyka i eseistyka. Fenomen literacki Anny Łajming jest powszechnie znany. Na uwagę zasługuje przekład Pisma Świętego Eugeniusza Gołąbka i mszy świętej przełożonej na język kaszubski przez ks. prałata Franciszka Gruczę. Powinny one być szerzej rozpowszechnione.

Rozwojowi literatury, publicystyki i eseistyki sprzyja działalność wydawnicza Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Wydaliśmy 103 numery dwutygodnika „Kaszëbë”, 162 numery miesięcznika „Pomerania”, 12 numerów nieregularnych „Bazun” w Chojnicach, wiele biuletynów, jak „Wid” i „Przednik”, druków powielonych. Opublikowano około 300 książek, broszur, kalendarzy, wzorników haftów. Ufundowano nagrodę literacko-eseistyczną im. Lecha Bądkowskiego, którą w bieżącym roku przyznano po raz pierwszy. Otrzymał ją Jerzy Samp za książkę „Poezja rodnej mowy”.

Wybiliśmy kilka medali dla uczczenia pamięci Floriana Ceynowy, Aleksandra Majkowskiego, Jana Karnowskiego, Antoniego Abrahama, a także, za życia, księdzu doktorowi Bernardowi Sychcie. Medalami upamiętniliśmy 700-lecie „Zapisu Mestwina” i 300-lecie Odsieczy Wiedeńskiej, w której Kaszubi mieli swój udział.

Zasłużeni działacze, naukowcy, twórcy kultury honorowani są przez klub „Pomerania” Medalem Stolema, przy tym za działalność organizacyjną w Zrzeszeniu przyznaje się „Plecie Świętopełka” w trzech klasach. Wyroźnienia przyznawane są na ogół oszczędnie, za rzeczywiste osiągnięcia. Przykładem może być honorowe członkostwo naszej organizacji, nadawane uchwałą Walnego Zjazdu. W trzydziestolecie Zrzeszenie przyznało tylko trzy tytuły honorowe wybitnym badaczom: prof. dr. Edmundowi Cieślakowi, prof. dr. Gerardowi Labudzie i ks. dr. Bernardowi Sychcie.

Zrzeszenie przywiązuje wielką wagę do nauki, zwłaszcza do nauki historycznej, historii literatury, językoznawstwa i ostatnio socjologii. Do opracowania niektórych tematów kaszubsko-pomorskich i publicznego ich prezentowania pozyskaliśmy wielu wybitnych badaczy. Dyskusja w Komisji Socjologicznej GTN, zorganizowana wspólnie z Oddziałem Gdańskim na temat „Kaszubi dzisiaj”, z pewnością zaowocuje z czasem badaniami socjologicznymi, których wyniki mogą się stać podstawą do korygowania naszego widzenia Kaszubów i naszej społecznej działalności, dzięki lepszemu rozpoznaniu współczesności kaszubskiej.

Zrzeszenie stara się doskonalic swój profil i przystosowywać go do możliwości, jakimi dysponuje. Uszły nieco w cień sprawy społeczne i prawie zupełnie gospodarce. Do spraw społecznych pomalu próbujemy wracać, to jest konieczne, natomiast sprawy gospodarcze są tak powikłane, a nasze siły akurat w tej dziedzinie tak węższe, że podejmując je, moglibyśmy osłabić to, co nam się udało, mianowicie szeroko rozumianą kulturę, naukę i popularyzację. Właśnie kultura i nauka profilują jednoznacznie naszą organizację, a że nie osadzamy tych dziedzin w rachitycznym regionalizmie dowodzi fakt, że wspierają one nasz trud w przywracaniu ład moralnego na Pomorzu, kształtowaniu postaw etycznych Kaszubów, umacnianiu przeświadczenia o celowości ro-

zumnej pracy i rozumnego życia szczególnie teraz, w kryzysie wartości.

Nic tak nie łączy ludzi w działaniu, jak wspólnota celu. W naszym przypadku jest ona niejednokrotnie intuicyjna, żywiołowa, wypływa z pasji zrodzonej z zasady: rób to, co cię interesuje, co w twoim subiektywnym odczuciu jest pożyteczne, co pobudza i rozwija w tobie i innych bogaty świat przeżyć wewnętrznych. Z tego osobistego i niby małego programu wyłania się dopiero cel szerszy i doniosły społecznie: zachowanie i wzbogacanie oryginalnych właściwości ludu kaszubsko-pomorskiego, jego kultury, języka i zwyczajów, tak mocno zrośniętych z najdroższą nam ziemią.

Warto ten cel nadal odsłaniać i zarazem poświadczając pracą. Sądzę, że Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie niejednemu pomogło odnaleźć się w ojczyźnie prywatnej i pojąć sens pracy dla niej. Zasluga jego jest, że do programowania pracy ruchu i formułowania idei kaszubsko-pomorskiej w naszych, stale zmieniających się czasach, dopuściło każdego, kto chciał swoją cegiełkę dołożyć do tego, co Jan Karnowski nazwał ideologią pomorską. Wielu działaczy i badaczy wniosło swój wkład teoretyczny do dokumentu, który z czasem powstanie, a który zawierać będzie syntezę myśli kaszubsko-pomorskiej oprogramowaną przyszłością.

Cała działalność Zrzeszenia — teoretyczna i praktyczna — sprawiła, że różne orientacje w ruchu kaszubsko-pomorskim zbliżyły się do siebie i w wielu wypadkach osiągnęły punkty styyczne. Organizacja nasza nie jest przy tym zbiorowiskiem cudotwórców ani tym bardziej pięknoduchów. Autonomiczność poglądów i zapatrywań na jednostkowe sprawy mieści się w autonomii samej organizacji, ubarwia ją, napędza życiem, chociaż niejednokrotnie szarpie nerwy. Ale takie jest autentyczne życie społeczne.

Przesuwali Zrzeszeniu ludzie o różnych zapatrywaniach, temperamentach, umiejętnościach organizacyjnych i doświadczeniach politycznych. Historia ich oceni. Przesami byli: Aleksander Arendt, Bernard Szczyński, Jerzy Kiedrowski, Stanisław Pestka, Izabella Trojanowska i Szczepan Lewna. Każda kadencja była inna, wszystkie je łączyło jednak to, że niezależnie od stopnia aktywności organizacyjnej, rozwijano nieustannie podstawy teoretyczne ruchu kaszubsko-pomorskiego i broniono dobrego imienia Kaszubów oraz ich organizacji.

Zrzeszenie nigdy nie stało w opozycji do partii i jakiegokolwiek władzy, celem jego nigdy nie była dezintegracja społeczeństwa. Natomiast prawie zawsze znajdowało się w opozycji do wielu osób sprawujących funkcje w aparacie władzy, szczególnie wojewódzkiej gdańskiej, które prowadziły w stosunku do Zrzeszenia politykę własną, nie popartą [— — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 6 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz. U. nr 44, poz. 204)] rozpoznaniem sytuacji.

Nieustanne obijanie nas z powodu różnych zmyśleń tak naprawdę dobrze nam zrobiło, bo w końcu doprowadziło do zaniku sporów między orientacjami wewnątrz Zrzeszenia, wzmocniło siły społeczne, sprzyjało pogłębianiu tożsamości etnicznej, a więc świadomości o obywatelstwie małej ojczyzny, o obowiązku krzewienia własnej kultury.

W dziedzinie kultury — ona decyduje o bogactwie duchowym człowieka — musieliśmy dbać o ciągłość, o ten most łączący przeszłość z teraźniejszością. W tym celu, latami całymi, z trudem budowaliśmy obywatelski fundament organizacji, czyli wewnętrzną demokrację, żadną tam utopijną demokrację, lecz rozsądną, osadzoną w naszych możliwościach osobowych. Wniosek stąd, że nie tracąc z oczu kaszubszczyzny, jako całości społeczno-kulturowej w organizmie pomorskim, sami staraliśmy się odradzać moralnie i obywatelsko. Ale to nie znaczy, że się odrodziliśmy. Dzisiaj możemy powiedzieć najogólniej, że doświadczenia wyniesione z pracy w Zrzeszeniu pozwoliły nam stać się społecznością otwartą na wszystko, co się dzieje na świecie, ale zarazem nieustępliwą w dążeniu do naszych kaszubsko-pomorskich celów. Mimo że nie czujemy żadnej odnowy wobec ruchu kaszubsko-pomorskiego ze strony administracji wojewódz-

kiej, raczej utrudnienia, przykładem może być cofnięcie dotacji dla miesięcznika „Pomerania”, to przecież jakoś radzimy sobie dzięki ofiarności wielu ludzi dobrej woli i życzliwych nam instytucji.

Możemy o sobie powiedzieć, że zrzeszeni nie jesteśmy społecznością zastraszoną, tchórzliwą i uległą. W kaszubszczyźnie znajdujemy pewnego rodzaju samoobronę obywatelską, nie chcemy bowiem — w zależności od sytuacji politycznej — obracać się o 180 stopni. Chcemy być sobą, mieć spójne oblicze wewnętrzne i zewnętrzne i dalej pracować z uporem. To, że istniejemy, świadczy najlepiej, że nie daliśmy się złamać, chociaż w doświadczeniach naszych odnotowane jest zginanie karków.

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie jest pierwszą w dziejach ruchu kaszubsko-pomorskiego organizacją skupiającą tak wielką ilość członków, chciałoby się powiedzieć jednolitofrontową, która przetrwała w znośnym zdrowiu 30 lat, wychodząc z zakrętów historii bez znaczących uszczerbków. W długim przedziale czasowym nie mogliśmy nie popełniać błędów. Było ich sporo, chociaż opinie w tej materii są różnicowane. Na szczęście widzimy te błędy, na szczęście krytyka w naszej organizacji była przeważnie konkretna, może niekiedy zbyt ostra i nawet krzywdząca, ale zawsze otwarta. To właśnie krytyka pozwalała nam stale poprawiać się i... błędzić od nowa, by się znowu poprawiać, a zatem czuć nad sobą. Zyskiwała na tym sprawa kaszubska, wciąż żywa i oczywista dla jednych, dla innych problematyczna, ale istniejąca, przebijająca się przez zapory budowane z dogmatów, przeinaczeń, zafalszowań i pomówień. Dzięki kaszubszczyźnie nie czujemy się zabłąkani w świecie, jak mówi poeta — bez drzwi i bez dachu, ani tym bardziej w tym naszym zajęz-dzie współczesnym, w którym różne zjawy publicystyczne nieustannie straszą zagładą ludzkości.

Żyjemy w czasach, w których w przyspieszonym tempie wykształcają się wspólnoty ponadnarodowe na płaszczyźnie gospodarczej i politycznej, ale i społeczno-kulturalnej. Ten trend prawdopodobnie będzie się pogłębiać, co nie znaczy, że zatracać się będzie również szybko poczucie narodowe. Jak dotąd, szczególnie w zachodniej Europie, mniej jest nacjonalizmów w stosunkach między narodami, nawet mniej dumy narodowej. Nie wiemy, w jakim kierunku pójdzie świat. Jeśli nastąpi w przyszłości rozkład wspól-

not narodowych, jeśli luksus życia, który zresztą nam nie grozi, zdominuje poczucie przynależności do wspólnoty narodowej, to można się spodziewać szybszego odradzania, lub umacniania się wspólnot etnicznych, regionalnych.

Człowiek jest stworzeniem stadnym i nie sądzę, by dłużej mógł żyć w izolacji, sam dla siebie, bez świadomości związku z jakąś grupą. Silne kulturowo grupy etniczne będą przypuszczalnie długo jeszcze stanowić o społeczeństwie narodowym, będą jego spoiwem, urozmaicheniem życia narodowego i państwowego. Nie wolno nam rezygnować z nadziei i przewidywać przyszłości w czarnych barwach, bo wtedy zatracimy sens życia, celowość pracy, która w naszym i każdym innym przypadku była, jest i będzie cierniowa. Z tą świadomością musimy pracować na zasadzie dobrej woli, z odpowiedzialnością za los narodu, za swój los na kaszubsko-pomorskim obszarze.

Wypala się energia społeczna, więdną organizacje społeczników, starzeją się, kuleją. Są również i inne, twórcze i aktywne, ale jakże mało ich. Nam, przynajmniej na razie, nie grozi uwiąd, zmiana warty pokoleniowej odbywa się u nas naturalnie, mamy młode zaplecze kadrowe. To dużo i mało zarazem. Prof. Abdon Stryszak napisał do uczestników tegorocznych Kaszubsko-Pomorskich Spotkań Wdzydzkich: „Główną siłą i miarą wartości każdej społeczności jest poziom jej moralności. Człowiek bowiem tylko w moralnej społeczności może rozwinąć swoje potencjalne możliwości, stać się kimś”.

W dalszej działalności Zrzeszenia, którą życie będzie korygować i mieć nadzieję wzbogacać o nowe formy i treści, musi być stale obecny kodeks norm etycznych, o którym wielu Pomorzan zapomniało. Zasady życia godziwego przemienili w wygodną niegodziwość, na którą znajdują dziesiątki usprawiedliwień. Tam, gdzie nie będą funkcjonować zasady moralne, tam nasza praca zmarnuje się, a kaszubszczyzna, ta żywa i barwna, niezwykle oryginalna tkanka narodu, legnie na polu niechwały.

Wiemy, co i jak mamy robić. W doli i niedoli musimy być realnie myślącymi optymistami, wszak mamy do uprawy Pomorze i nade wszystko kaszubszczyznę, która żyje. Ponosimy za nią odpowiedzialność. ■

(10.11.1986)

Śladami Remusa RAJSKA WYSPA

Edmund Szczesiak

To je Vdzidzkji wostrov! — powuczel mje Trąba. — Takji won długji i szerokji, że dva valné gburstva na njim stoja. Ale jak wonji chcą z krovą na jarmark, tej wonji muszja ję przez wodę vjezc.

Z Glonka tylko skok na Ostrów Wielki. Kilkadziesiąt machnięć wiosłem i osiąga się jego brzeg. Przy sprzyjającej pogodzie, bo przy wietrznej przesmyki między wyspami stają się najtrudniejsze do pokonania: podmuchy wzburzające fałdę nabierają tutaj szczególnego impetu, niczym nie powstrzymywane na całej szerokości Wielkiej Wody. Dystans dzielący wyspę od wyspy jest jednak nieznaczny. Blisko z brzegu na brzeg, ale do dużego gospodarstwa, o którym Trąba wspominał Remusowi — daleko. Usadowiło się na drugim, północnym krańcu Ostrowa Wielkiego (dawniej, jeszcze w dokumencie z 1886 roku, zwanego jak w powieści Ostrowem Wdzydzkim). A ma on 3 kilometry długości. Kawał drogi, sporo płynięcia, chyba że nie przemierza się tego odcinka kajakiem czy czółnem, ale... „Batorym”.

Z tej motorówki (nazwa stąd, że to szalupa z „Batorego”), wożącej turystów po kaszubskim morzu, ujrzałem zagrodę na wyspie po raz pierwszy. Było to przed kilkunastu laty. Widok zabudowań zaskoczył mnie i zdziwił: jak można żyć i gospodarzyć w takim, odgrodzonym wodą, miejscu? „Batory” przemknął obok, a ja obiecałem sobie, że spróbuję kiedyś zaspokoić ciekawość, którą wzbudził widok osobliwego domostwa, postaram się dotrzeć na wyspę, odwiedzić nietypowe obejście.

Długo się nie składało. Pewnej jesieni w redakcji (nie istniejącego już dziś „Czasu”), w której pracowałem, zażądano, żeby zgłosić tematy do numeru bożonarodzeniowego: lżejszego kalibru, ciekawe, intrygujące, takie „do poczytania”. Nie mając nic innego na podorędziu zaproponowałem opisanie wyspy i jej mieszkańców. Pomysł spodobał się, nawet mu przyklasnęto; przydano mi fotoreportera, wypisano delegację i kazano jechać. W drodze zacząłem żałować, że zdradziłem się z tym tematem w tak nie-



Tak wyglądała zagroda na Ostrowie Wielkim w 1978 r.

Fot. S. Ossowski

odpowiednią porę. Dzień był chmurny, mokry i wietrzny, ale jakiej pogody można się spodziewać w połowie listopada? Należało poczekać do lata lub choćby do zimy, gdy lód ułatwia dotarcie do takich miejsc na jeziorze. Po przybyciu do Wdzydz Kiszewskich wszczęliśmy poszukiwania — przewoźnika lub chociaż łodzi. Chodząc po wsi i podpytując przy okazji o wypiarzy, zorientowałem się, że sam temat zapowiada się interesująco. Twierdzono, że dziwnie żyją, po starodawnemu. — Nawet telewizora nie mają — przypieczętował te opinie mieszkaniec Wdzydz, żyjący od dziesięciu lat w nowej erze — telewizyjnej.

Udało nam się pożyczyć łódź u Dattów i wyruszyliśmy. Już przepłynięcie jeziora Goluń — wschodniego ramienia Jeziora Wdzydzkiego — nastęczyło ogromne trudności. Jakoś dotarliśmy jednak w pobliże drugiego brzegu i potem płynęliśmy pod jego osłoną. W miarę dobrze przebyliśmy odcinek wiodący na Wielką Wodę — wąską gardziel chronioną przez wyniosły półwysp Kozłowiec. Po wydostaniu się z tej cieśniny na pełne jezioro zobaczyliśmy wyspę — cel wyprawy. Pozostała do pokonania może kilometrą przestrzeń bardzo szeroka, bo powiększona w tym miejscu na zachód o głęboko wciągniętą zatokę. I tu się zaczęło. Wiatr wykręcał łódź, spychał z właściwego kierunku, usiłował przewrócić. Wiał z zachodu, my zdążaliśmy na południe. Gdybym wówczas znał tak dobrze jak teraz treść powieści „Żecé i przigodé Remusa” wiedziałbym, jak w takiej sytuacji się zachować. „Robji tero, cobe przodk czołna szedł procem wałom, bo jinaczi naju voda zaleje abo duné věvroca!” — pouczała Remusa panna Klementyna, gdy po burzy, która zniszczyła kryjówkę „króla jeziora” przeprawiali się z Glonka na stały ląd. Nie skierowali się wprost na drugi brzeg, ale na otwarte jezioro, kierując czołno dziobem do balwanów, a później zawracając tak, aby płynęło niesione przez fale. Nadłożyli drogi, ale dotarli do celu bezpiecznie. (W taki sposób forsowaliśmy później na lekkim składaku, w zgoła sztormową pogodę, szczególnie wystawiony na podmuchy „krzyż” — miejsce, w którym zbiegają się cztery odnogi jeziora Wdzydze — z doświadczonym kajaka-

rzem dr Januszem Kowalskim, pomysłodawcą spływu „Śladami Remusa”).

Ale wówczas ani ja, ani mój towarzysz wyprawy nie znaliśmy tych zasad. Chcieliśmy jak najszybciej zdobyć brzeg — po najkrótszej drodze. Na szczęście czołno o szerokim, płaskim dnie okazało się wyjątkowo stateczne i oparło uderzeniom wiatru.

Zmachani, zmoknięci, zziębnięci dobiliśmy do brzegu. Dotykając stopą ziemi czułem się niczym Odyseusz, który po przebyciu niebezpiecznej, strzeżonej przez Scyllę i Charybdę cieśniny wylądował na wyspie słonecznego boga Heliosa.

Gospodarz czekał na nas na pomoście. Właśnie przyjechał z beczką osadzoną na płozach ciągniętych przez konia — po wodę. Od pewnego czasu obserwował nasze zmagania z żywiołem, z falą, którą w rozmowie określił jako... nie za dużą, zapewniając, że gdyby jezioro chciało naprawdę pokazać co potrafi, nie odbilibyśmy nawet od brzegu. Po tych słowach zaprosił do domu — „ugrać się”.

Widok, który odsłonił się po wejściu na niewielki pagór potwierdzał wcześniej usłyszane opinie. Przed sobą miałem zagrodę w dawnym stylu. „Stodoła, stajnia, drewnia były ustawione w klasyczny kwadrat. Ściany z drewna, częściowo z kamieni polnych, dachy słomiane. Z tyłu, gdzie nachylał się ku podwórzu stok pagórka, sięgały do ziemi. Z boku najprawdziwszy piec chlebowy, kula czyli piwnica ziemna, domek gospodarczy wyglądający jak stara kuźnia. Przy drożynie prowadzącej do jeziora, jak przy drodze do wsi wyciągała długie ramiona bożameka. Wsią było tutaj to jedno gospodarstwo. Na podwórzu przechadzały się indyki, kury, kaczki, wokół domu krążyła, chmurka gołębi, pies przypadł mi do spodni — nie byłem w skansenie” — dzieliłem się po powrocie wrażeniami, w reportażu „Wyspa jak marzenie”.

Staszek Ossowski, fotoreporter o ambicjach artystycznych, nie próżnował: „strzelał” z japońskiego aparatu raz za razem; gospodarz reagował na to przyzwyczajonym uśmiechem. Nagle z sionki domu wychynęła ruchliwa kobieta. Przywitała nas szorstko. „Cudaków na wyspie przyjechaliście oglądać?” — wykrzyknęła. Wypowiedziałem kilka wyjaśniających



Przed domem na wyspie ok. 1935 r. Trzeci z prawej u góry gospodarz Paweł Knitter, druga z lewej jego żona Marianna. Ponadto stoją od lewej: syn Leon, córka Apolonia, syn Jan, siostra Marianny — Błaszowska. Siedzą synowie: Stanisław (z lewej) i Franciszek.

zdań po kaszubsku i już za chwilę siedzieliśmy w reprezentacyjnej izbie. Na gwoździu przy drzwiach wisiała lampa naftowa. Telewizora rzeczywiście nie było, zwracał natomiast uwagę stojący w kącie kolowrotek do przedzenia wełny.

Podczas kilkugodzinnego pobytu — po początkowej nieufności okazanej przez gospodynię zostaliśmy przyjęci aż nadmiernie gościnnie — miałem wrażenie, że tego dnia odbyłem podróż w czasie, że jakiś Wellsowski wehikuł przeniósł mnie w przeszłość, na dawne Kaszuby, znane mi tylko z lektur, a tutaj doskonale zachowane. Brak światła elektrycznego, a wraz z nim wielu udogodnień, połączony z utrudnioną łącznością nawet z najbliższym otoczeniem — odciśnęły piętno na sposobie gospodarowania i życia, modelu rodziny, wyznawanych wartościach. Gospodarz starał się usilnie przekonać, że tacy starodawni nie są, pokazywał maszyny pomocne w gospodarowaniu: kosiarkę, kopaczkę do ziemniaków — taką najprostszą, która rozrzuca kartofle po polu, młockarnię, kierat poruszany silnikiem na ropę. Były to jednak Kaszuby z końca ubiegłego wieku (dzisiaj powiedziałbym — z czasów Remusowych). Taki mniej więcej stan przedstawiało w owym okresie gospodarstwo Jutrzeńka-Trzebiatowskich z Wysokiej Zaborskiej, jak to pokazałem już w tym cyklu, korzystając ze starych kronik tej rodziny. Kaszuby dawne, ale nie biedne (gospodarstwo na wyspie dobrze prosperowało również: dwa konie, dwie krowy, tylko dwie, bo kłopoty z odwożeniem mleka, za to świn pełen chlew, duże stado owiec), wcale nie zacofane, gdyż trudno wymagać, żeby na dawnych Kaszubach były udogodnienia cywilizacyjne, których jeszcze nie wymyślono lub dopiero co (najefektowniej wypada, jak wiadomo, postęp mierzony przyrostem liczby telewizorów w stosunku do okresu przedwojennego). Gospodarstwo na wyspie zatrzymało na tym poziomie cywilizacyjnym jego szczególne położenie. Pozo-

stało w większym stopniu niż inne uzależnione od rytmu przyrody, jej kaprysów, bardziej też odporne na przeobrażenia, które stały się udziałem wsi współczesnej. Szacunek dla tradycji, traktowanej jako coś, czego bez potrzeby nie należy zmieniać, patriarchalny model rodziny (z tym, że tutaj osobą wyraznie dominującą była gospodyni, pani Weronika), poglądy nie kształtowane przez produkty masowej kultury, docierającej wszędzie poprzez okienko telewizora. Jednocześnie wyspa wydała mi się oazą spokoju, zdrowia („Osiemnaście lat nie byłem u lekarza” — chwaliła się gospodyni. „Okularów u nas nikt nie nosił, jak pamięcią sięgam” — dorzucił gospodarz).

Gburstwo na wyspie trwało w tym czasie w najlepszym, a jednak odniosłem wrażenie, że i tutaj coś się kończy, że jestem świadkiem schyłku czegoś, co długo opierało się zmianom. Gospodyni wywodząca się z ładu, z pobliskich Zabrod, nie ukrywała, że „to nie jest życie tutaj”. Gospodarz, Franciszek Knitter, pokazał mi zgromadzony budulec na nowy dom, ale powiedział, że wstrzymał się z budową, bo „nie wiadomo czy synowie zechcą tutaj zostać”. Takich symptomów wyłowilem więcej.

„O zmroku synowie wrócili z Mielnicy. Taka wysępka obok dużej wyspy. Kosili trawę. Przywitali się i zniknęli w kuchni, potem usłyszałem ich głosy w bokówce, pokoiku pomiędzy kuchnią i kominiem. Poprosiłem gospodarza, żeby ich zawołał.

— Nie przyjdą — zapewniła gospodyni. — Wstydzą się...

— Kogo?

— Wstydzą się, że mieszkają na wyspie — powiedział pan Franciszek, smutno, bo przecież powiedział coś, co oznaczało kres gospodarstwa na wyspie...

Tak kończył się reportaż z mojego pierwszego pobytu na Ostrowie Wielkim — w 1978 roku.



Również przed domem w tym samym czasie. Apolonia Knitter (obecnie Zaremska), jej bracia Leon (stoi) oraz Jan.

Płynąc teraz z południowego krańca w stronę północnego znam już odpowiedź udzieloną przez życie na wątpliwość co do dalszych losów osobliwego gospodarstwa. Wiem też o wiele więcej o samej wyspie, niż zdołałem się wówczas dowiedzieć, podczas krótkiego z konieczności pobytu. Przygotowując się do tej wyprawy, której patronuje wędrowny sprzedawca, zgłębi-

tem jej najdawniejsze dzieje, losy mieszkańców, perypetie wojenne i powojenne.

Już wówczas, podczas pierwszego pobytu, intrygowało mnie, kto osiedlił się pierwszy w takim miejscu i kiedy to było? Gospodarz twierdził, że wyspa należała kiedyś do Maszkowskich (północna część, bo południowa do gospodarzy z Wdzydz Tucholskich). Z Maszkowską ożenił się jego dziadek i odtąd była już w posiadaniu Knitterów. Kiedy osiedli tu Maszkowscy, tego pan Franciszek nie wiedział, ani tym bardziej czy był ktoś przed nimi.

Próbowałem to ustalić w kościernym Biurze Notarialnym. Zapracowany, ale zawsze życzliwy tego rodzaju dociekaniom mgr Andrzej Kijora wydobył z archiwum stosowną księgę, założoną jeszcze dla Ostrowa Wdzydzkiego. Jako pierwszy widniał w niej Lorenz Manczykowski. Wpis stwierdzający, że jest właścicielem pochodził z marca 1838 roku, ale dokonano go na podstawie znacznie starszego dokumentu — z sierpnia 1792 roku. Po nim był Paweł, a następnie Józef Menczikowski (w tym pokoleniu tak zapisano to nazwisko). Z jego córką Marianną ożenił się Valentin Knitter. Wyspa należała więc wcześniej nie do Maszkowskich, ale Menczykowskich (notowałem przy lampie naftowej i być może zapisałem niewyraźnie, a potem źle odczytałem to, co mi podał Franciszek Knitter podczas pierwszego pobytu na ostrowie). Ów Valentin zmarł młodo, jako właścicielka została wpisana jego żona, która wyszła ponownie za mąż, za Leo Warnkego, ale prawo do wyspy odziedziczył syn z pierwszego małżeństwa — Paweł Knitter. Po nim gospodarstwo objął Franciszek.

Tak w dużym skrócie przedstawiają się dzieje wyspy oglądane przez pryzmat księgi notarialnej. Manakamentem jest to, że założono te księgi dość późno i o tym, co było wcześniej, milczą. W księdze Ostrowa Wdzydzkiego najstarsza wzmianka sięga końca XVIII wieku.

Co było wcześniej? Kto zamieszkiwał wyspę? O tym dowiedziałem się od Apolonii Zaremskiej, córki przedwojennego właściciela Ostrowa Wielkiego Pawła Knittera, siostry Franciszka. Urodziła się na wyspie, spędziła na niej wiele lat, wyuczona na nauczycielkę zamieszkała w Chojnicach i uczyła w szkole, po przejściu w 1975 r. na emeryturę osiadła w Skarszewach. Tam ją odszukałem.

— Co ja wiem? Ojciec opowiadał, że pierwsi na wyspie byli Ostrowscy, do nich wzenił się Menczykowski. Ks. Bolesław Knitter z Karsina, kuzyn, który interesował się dziejami wyspy, znalazł coś w bibliotece w Poznaniu na potwierdzenie, że pierwszy był jakiś Ostrowski i od niego wzięła się nazwa Ostrow — nie dlatego, że na wodzie, ale od nazwiska. Tam był las, on część wykarczował i osiedlił się, bo mu bardzo podobały się wody — usłyszałem od pani Apolonii, z wielkim sentymentem wspominającej wdzydzką wyspę, na której przebywała, z przerwami, prawie trzydzieści lat.

Z tego, co wyłuskałem z księgi notarialnej i dowiedziałem się w Skarszewach wynikało, że wyspa przez cały czas pozostawała w posiadaniu rodziny. Zmieniały się nazwiska, gdy dziedziczyły córki, a mężowie przybywali z łądu, odkąd jednak przybył z Karsina pierwszy Knitter, spadkobiercami zostawali synowie. W sumie doliczyłem się, że na wyspie mieszkało siedem pokoleń — łącznie ze znanym mi Franciszkiem.

O tym, że protoplasta i pionier upatrzył sobie to szczególne miejsce, bo lubił wodę, pani Apolonia dowiedziała się od siostry swej prababci, która żyjąc bardzo długo była prawdziwym pomostem między dawnymi i nowymi czasami. Zmarła w 1940 roku, w wieku 97 lat, a zatem wiele wiadomości o wyspie pani Apolonia uzyskała od osoby urodzonej w 1843.

— Na drutach się robiło czy haftowało, ona zawsze przyszła, usiadła i opowiadała. Wyszła za mąż do Wysina, ale po śmierci męża wróciła na wyspę i już na niej pozostała...

Z opowieści siostry prababci najciekawiej brzmiała ta o skarbie. Podobno, gdy Napoleon szedł na Rosję, nocował na wyspie. Miano wówczas zakopać tam skarb, którego dotąd nie odnaleziono. Można by to włożyć między legendy, gdyby nie wizyta pewnego

misjonarza, który zjawił się, gdy gospodarzem był pierwszy z Knitterów — Walenty. Przybysz, który miał długą brodę i wyglądał jak prorok ze świętego obrazu, twierdził, że na wyspie zakopano niezwykle wartościowe przedmioty, a wśród nich złoty krzyż i drogocenne malowidło. Przyjechał specjalnie, żeby odzyskać te rzeczy, które z ich klasztoru zrabowali żołnierze napoleońscy. Zdołali ustalić, powiedział, że zostały ukryte w miejscu, w którym — na wysokości najbardziej wysuniętego w jezioro od strony wschodniej brzegu — wyrasta niewielki wzgórek. Kopano tam wówczas, ale skarbu nie znaleziono. Wizytę misjonarza pamiętał ojciec pani Apolonii, który miał wtedy siedem lat. Skarbu szukał później jego brat Władysław, ale jemu również się nie powiodło.

— Wokół tego wzgórka jest czarna ziemia, a w środku żółty piasek. Uprawiając w tym miejscu rolę zawsze się zastanawialiśmy, skąd ten piasek, czy nie z kopania podczas ukrywania skarbu? — dodała moja rozmówczyni, sugerując, że Ostrow Wielki wciąż zasługuje na miano z tytułu głośnej powieści przygodowej Stevensona.

Zapamiętała także opowieści o klasztorze, który miał stać na Bukowej Górze, wznoszącej się w północno-zachodniej części wyspy. Na wierzchołek — splaszczony — prowadziły schody, teraz skryte pod ziemią, ale wystarczy płytko kopać, żeby odsłonić stopnie. Skoro są schody, twierdzono, coś na górze musiało stać. A ponieważ jezioro Wdzydzkie długo znajdowało się we władaniu cystersów z Pelplina (wcześniej z Pogódek) — hipotetyczną budowlę im właśnie przypisano.

Na tej górze, wypiętrzającej się z półwyspu Ifranek, rosły — to już pamięta sama — wspaniałe, dorodne buki. Nadały wzniesieniu nazwę, więc musiały tam być od dawna. Jej ojciec bardzo o nie dbał. — A brat

wziął i wyciął...

Ojciec Paweł przywiązywał wielką wagę do wyglądu wyspy.

— Żywopłoty poobcinane, podwórce wygrabione, jedno zielsko nie miało prawa rosnąć wokół domu...

Gospodarz pierwszorzędnym — potwierdził opinię o ojcu brat Apolonii, Jan Knitter, który opuścił Ostrow Wielki po ożenku w 1938 roku i objęciu gospodarstwa teścia, położonego na peryferiach Skarszew; tu mieszka do dziś. — Porządek był, jak nie wiem. Wszystko poukładane, na swoim miejscu.

Gospodarstwo na wyspie za czasów Pawła Knittera (władał nim od początku naszego stulecia aż do wysiedlenia pod koniec II wojny światowej) należało do mocniejszych w okolicy. Ziemi prawie osiemdziesiąt hektarów, pięć koni (liczbą tych zwierząt pociągowych mierzono kiedyś majątność). Grunty, jak to w tych stronach, mierne, chociaż po zachodniej stronie, gdzie od czasu do czasu wylewalo jezioro nanosząc muły, udawała się nawet pszenica, tak że na własne potrzeby wystarczało. Właścicielowi gospodarstwa na wyspie przysługiwało ponadto prawo połowu ryb na Jeziorze Wdzydzkim — do własnego stołu, jak ujmował to przywilej, a więc dla siebie, nie na sprzedaż. Tym przywilejem najprawdopodobniej starano się zachęcić do osiedlenia na wyspie pierwszego śmiałka.

— To prawo odebrali nam w 1932 czy 33 roku, dokładnie nie pamiętam. Wody należały do nadleśnictwa, które dzierżawiło je rybakowi. On się ciągle skarżył, że my wybieramy mu ryby, przeszkadzamy. Nadleśnictwo najpierw zaproponowało zamianę — hektar za hektar, na łądzie, oraz w dobrym stanie zabudowania. Była wtedy okazja, żeby wyprowadzić się z wyspy, ale ojciec nawet słyszeć nie chciał. Nadleśnictwo wzywało, potem sami przyjeżdżali, ojciec się przed nimi chował — opowiadał mi najmłodszy syn, Stanisław Knitter, który z Ostrowa Wielkiego wyprowadził się do Sobącza w 1965 roku. — Nie udało się namówić na zamianę, to wynaleźli, że ojciec, gdy nastała Polska, nie wpisał się do książki rybackiej wtenczas na nowo założonej. Ojciec tłumaczył, że nie był rybakim zawodowym, łowił dla siebie. Nadleśnictwo założyło sprawę w sądzie i wygrało. Ojciec nie dał za wygraną, procesował się dalej — poszło na Chojnice, Poznań i Warszawę. Prze-



Letnicy przewożeni na wyspę. Przy wiosłach syn gospodarza — Józef. Zdjęcie tuż sprzed wojny.

grał. Ale w tym czasie zrobiono kanał Wdy w Borsku i woda na całym jeziorze podniosła się, zalewając łąki tym gospodarzom, którzy mieli swoje grunty przy brzegu. Nam też zalała. Gospodarze, a było ich coś dziesięciu, wystąpili zespołowo o odszkodowanie. Nie dostali, ale za to otrzymali na piśmie, że tam, gdzie woda zalała im ziemię, mogą łowić ryby, tak jak na własnym jeziorze. Można więc było ryby tam złowione sprzedawać. Patrzono tylko, żeby kto nie posunął się za daleko, poza swoją wodę. Tak to trwało trzy lata. Potem prawo połowu odebrano. Ojciec odwoływał się aż do Warszawy i jemu wyjątkowo to prawo utrzymano, jako mieszkającemu na wyspie.

— Tygodniowo, tak z wiosny, od marca do maja, ze sprzedaży ryb mieliśmy 100 złotych. Przed wojną to był pieniądz, dobry koń kosztował 300 zł — podsumował dodatkowe korzyści najstarszy z żyjących synów Pawła — Leon Knitter, który zaraz po wojnie (drugiej światowej) osiadł na wybudowaniu za Skarszewami (jak widać rodzina ta upodobała sobie to miasteczko i jego okolice).

Paweł Knitter był jednym z tych gospodarzy, o których mówi się: zawzięty. Z opowieści wylania się sylwetka człowieka, który był rolnikiem z urodzenia i zamilowania, a zarazem światłym, ciekawym świata, czytającym. Mimo że prawie całe życie spędził na wyspie, wcale nie żył jak pustelnik.

— Wyspa — to już musi być zacofana? A na wyspie, jest Anglia i jest zacofana? I myśmy nie byli zacofani — stwierdziła Apolonia Knitter, gdy wyraziłem zdziwienie, że w takim miejscu było możliwe wszechstronne życie.

— Gazeta była czytana co wieczór. Gazeta była stale, ojciec bez gazety by nie żył, tam mowy nie było, żeby on nie wiedział, co się w świecie robi — wspominał Stanisław Knitter. — Mieliliśmy abonowane dużo czasopism. Najchętniej z nich był czytany „Pielgrzym”.

— Ojciec czytał na głos, a reszta rodziny słuchała. Ojciec dobrze czytał po polsku i pisał, chociaż chodził do szkoły niemieckiej, sam się nauczył — uzupełnił Jan.

Gazety docierały regularnie. Z poczty w Dziemianach listonosz dostarczał je oraz korespondencję do Pięś leżących na zachodnim brzegu jeziora, stamtąd specjalnie opłacany przez pocztę człowiek przewoził łodzią na wyspę. Tak było przed wojną, bo po wojnie należało już samemu odbierać, samemu płynąć na drugą stronę.

Dla dobrego gospodarza oddzielenie wodą nie stanowiło aż tak wielkiej przeszkody, jak mogłoby się wydawać. Łączność z lądem zapewniały liczne łodzie, a także solidnych wymiarów prom. Zbudował go brat Pawła, który w wojsku był saperem i miał do czynienia właśnie z promami. Po odbyciu służby sporządził pierwszy prom — w 1893 czy 94 roku. Wcześniej przepływano łodzią. Wóz zostawiano u gospodarza na lądzie, konie uwiązane do łodzi pokonywały jezioro wpław. Prom bardzo ułatwił komunikację.

Był takich rozmiarów, że mogły na niego od razu wjechać trzy powózki z końmi.

— Pamiętam wesele siostry Franciszki w 1930 roku. Wspaniałe wesele, było jakieś sto osób. Z kościoła w Wielu gości wiozły dwa samochody i jedenaście powózek. Był ładny, cichy dzień sierpniowy. Prom kursował tam i z powrotem. Co nadjechały następne wozy to prom już czekał. Piękne wesele: orkiestra i to jaka, zacni goście, a wśród nich ks. Wrycza, proboszcz wielewski — wspominała w rozmowie ze mną Apolonia Knitter.

Równie huczne wesele, ale dużo wcześniejsze, opisał w wierszowanej formie ks. Bolesław Knitter, który przed wojną często zaglądał na wyspę do swoich krewnych.

„Jeszcze moja mama żyła
Powiadała jak na kaszubskim weselu była
Aż tam — na Wdzydzkich Wodach
Co tam za wesele było... co za rozmach!”

Tamto wesele, które miało miejsce na początku wieku, wesele siostry Pawła — Teodory, przypadło w porze zimowej.

„Rumaki we wstęgi strojne
Sanie pełne weselników, rojne
Suną po wdzydzkiej lodowej fali
Aż serce z radości się pali”

— odtwarzał przebieg uroczystości autor wiersza „Z weselem na Ostrów”, opisując dalej zdarzenie, które przytrafiło się w drodze powrotnej. Zalał się lód pod pierwszym wasagiem, ale konie „na bok skoczyły” i do tragedii nie doszło. Autor w objaśnieniu do wiersza pisze, że „choć komunikacja do Wielu czy do miasta (Chojnice lub Kościerzyna) jest daleka i uciążliwa, a co gorsza: niebezpieczna, to jednak jeszcze nie było wypadku utonięcia, mimo że latem przewożą się na furmankach, a zimą na przełaj po lodzie na drugi brzeg. Widać stąd, jak obeznani z żywiołem wdzydzkich wód wypiarze i jakiej opieki doznają wzyź!”

— Jak na wyspie ojciec wsiadł na powózkę, tak dopiero w Wielu zszedł. Prom był zawsze w porządku — przekonywał mnie pan Stanisław, że z tym ich odciciem od świata nie było tak źle. — My mieliśmy rowery, pięć rowerów...

Zaopatrzenie? Co niedziela rodzina jeździła do kościoła do Wielu. Zajeżdżało się najpierw do Brzezińskiego do sklepu i zostawiało kartkę, co potrzebne. Gdy wychodzili z kościoła, wóz był już załadowany.

Na samej wyspie było w tym czasie dość ludno. Oprócz rodziny gospodarza, licznej (dziesięciorgo dzieci), mieszkali jeszcze dwie rodziny robotników, tak że w pewnym momencie przebywało tu 30 osób. W dwóch domach, z których jeden, większy, już nie istnieje. Po spaleniu się drewnianej chaty krytej strzechą Paweł Knitter wybudował dom murowany. Bardzo podobała mu się leśniczówka w Przerębskiej Hucie i zażył się sobie, żeby nowy dom był do niej podobny, najął też tych samych murarzy.

W lecie pojawiali się goście. Byli tacy, którzy przyjeżdżali co roku — wyżsi urzędnicy, wojskowi; z Warszawy i Łodzi. Na stałych gości czekały pokoje. Biwakowali na wyspie kajakarze spływający Wdą z Lipusza. Wycieczki nocowały w stodolach, rzadziej w namiotach, gdyż nie były jeszcze wtedy tak popularne, jak obecnie.

Kiedyś na wyspę przyplynał wojewoda pomorski Czesław Wachowiak. Przywiózł go Izidor Gulgowski, który często tutaj bywał, niemal w każdą niedzielę, a ponadto co znamenitszym gościom pokazywał wyspę. Wojewoda był zachwycony. Bukową Górą, gospodarstwem, drogą z przystani wysadaną drzewami, alejkami. Obiecał, że za rok znowu przyjedzie, ale nie poparł zamachu majowego i przestał być wojewodą.

— Ojciec dobrze go wspominał — powiedziała pani Apolonia, pamiętająca tę wizytę. — Ojciec był bardzo gościnnie. Nie było mowy, żeby ktoś wyszedł z mieszkania bez poczęstunku.

— Lubili towarzystwo — dodał pan Leon, a wszystkie te cechy i przymioty charakteru nabrały szczególnego znaczenia, gdy nastały trudne czasy i nastąpiły zdarzenia, które przewyższyły to, co pisała tym stronom wyobraźnia pisarza. (cdn.)

Stanisław Janke

GDUŃSK

Słowiańszczie słuńce na zôltëszkach sadło
morza rëk i méwi krzëk czidô dzëwo
wënosië czëpë z ognia wstônëch budacëjów
czô le noc spadnie na stalatné murë
a jész letko zasknërczą stôlpë pogańszczie
znôu w porénk ulecałi lżą złotą
zazwóni bruny zwôn nordowi spiëwë
jak wieżë Babel pomachtônô choranka
chto bëlno dozérô sztërk cyszë
sprawiedlëwëch
nen uczëje letczy nôpiarti zwëk
w nórtach utaony kaszëbsczi bazunë

ZAJCZI

Chłôp na kole
zajk przez drogë
dimk z komina
wieczërką pôchnie
z tobaką pomału
na lówce spokójno
w jednym nórce
niebo wej sę pôli
w drëdżim jész
hejnë modrosc drëzi
jak osowi lëstk
dzëń do kuńca
pajk le osamëtô
a na piôscki spadnie
gwiazda farwë

WRZOSU

WITÔJTAŻ DRËSZË

Witôjtaż drëszë
chcemë le wżyc sę w karno
a jic z nają piesnią do widu
słowa wërwónë z pajiczënë
na rzmach wësok achtnionë
marsz marsz od doktora Cénôwë
niech nie przinądą do zgubë
cziej nas je corôz wicy
co stegnama ti nôtë jidą
midzë lasem zbłądzony omanë
a chëczama strachu drëżacëch
przez trud a niewôrto
chto ju sę wëdostôł
na widniku stanie

NIE PÔLTA SIBILLË

Nie pôlta Sibillë
w murowónëch budinkach
klôtkach wëznobialich
z przinđnoscą
w piëndzach zrechowoną
a jész to i totam
tëz bë sę przëdało
w ozłotku konieczno
jaczï nowi wëps
zapiëti na ostatną
knąpkę całi dzëń skrzeczi
o swoje rzeczë
a co tam gwiazdë
na niebie wësok
stoją zwëczajno w swiece

NORDA

Za dalek od moji zemi
do witrzni polarny
i fiordów Grenlandzczi
ale szôlinë wej równak
z biôlëgo zómku podlodnika
sygô tuo pazurama
jak jałowc kolcatima
nordowô mora obarchniało
w tuńcu sekretników
za sobą wiater cygnie
jaż chójczy krzëslatë
krzëwią sę
w gniôzda cwiardë
objimają spiëw uszli
z solë Bôltu
a ostrëch grańtów
w grónkach kwiatów
parlączą sę
zëmnë farwë

KARPNO

Co të jes uzdrzôł
dzëwczëcë oko jezora
a zeloną blewiązkę
ti tuniôrczi usmiëwajczi
co w słuńce jidze na wrëje
czô le krëwawi môltëch
ju sę skuńcił i wejle
strach leno krący sę w pichu
pomiôn krzikaniô minął ce
pode drogą jak nen gzik uprzykrzony
za régą dwadzesca jeden grobów
zrechujesz alë nijak
nie odpowiësz po prôwdze
kuli to je zëcô

TUSZKOWSKŌ MATKA

Wej jak krótko je
od słowa piastowati
do słowa piastowac
hejně le zemia lěchō
co wiedno w oczē
pieklěnkem wieje
z rajsziégō ogrodu
wěnkónym
i dzecko mōle
jakno skra žēcō
krěchō w przepadlěskach
tróna jasnistégō
to sę dō sparłaczēc
w miēloce matczyń
pokórny przed namienienim
z jacy rodzy sę
chojna człowieczy mōcē

ODCZEPINĖ

Wejtale wieselē jedze
panna młodō z kropelką w oku
na czōrnym ruchnie chłopa
kolibie sę do sėkni biōli
jesz bądze tego matkowaniō
jaż sę zmatczēje
jak bulwē na spozymku
niech tej muzyka graje
do wēpitku jesz je wiele
strōszczy przindā
brutczy tuńce
w głowie sę zakracā
tu ju renō gwioźda swięcy
tam cemko błādzy
wnetka sę znocy

TOBAKA DO ZAŻIWANIŌ

Tobaka do zażiwaniō
je dlō zasedzałich lėdzy
co jak Zenon z Kiton
rozmiejā nalezć szczescē
cziej jak różk trzymajā siebie
cwiardo w gorzcē majā tę moc
usadzēc na łówce kol se
pokusē i cerpieniō w rėdce
a le ždac cerplewie
jak purtk cichnie jesz ten
i tentam wiatēr
co w oczē zawiėwō
ptōchōm wėdrowczikom co i tak
sę nie wėdostōnā z zagrōżbē
od jednégō swiata
od jednégō žēcō

KOSCŌŁ MŌJ PIERWSZI

KoscŌł mŌj pierwszy
na przitczy rzmie usadli
czerwiony kam z rėsēnā krziā
glębokā jaż do omroczi statatŌw
w nim ostałē jasnē oczē
tego knŌpa co zgruźdzony
midzē wėnioslim wŌltŌrzem
a grzēmotem organŌw
wiedno jesz bojazlėwie
jidze w niewėzgodlē
a chce w nim wėmaklac
ceplē remię matczy
jakno nen mŌli nŌrt
swojégō bezpieku

NAGRODA R. WRŌBLEWSKIEGO

W grudniu została przyznana po raz czwarty nagroda dla twŌrcy piszācego po kaszubsku, fundowana przez Romana WrŌblewskiego. Decyzjē o tym, komu ma przypaśc, fundator pozostawił naszej redakcji, z sugestią, żeby stanowiła zachętę do wypowiadania się w kaszubszczyźnie dla młodych twŌrcŌw, majācych już pewien dorobek i rokujācych dużę nadzieję.

Kolegium i zespŌł „Pomeranii” postanowiły nagrodzē za rok 1986 przyznać Stanisławowi Janke. Był on brany pod uwagę jako potencjalny kandydat w poprzednich latach, przed uhonorowaniem go powstrzymywał fakt, że jest członkiem naszego zespŌłu. W tym roku uczestniczācy w posiedzeniu jury członkowie kolegium i redakcji uznali zgodnie, że nie spŌsŌb nie zauważać znaczącego już dorobku, którym legitymuje się Stanisław Janke, tylko dlatego, że jest zwiāzany bardziej formalnie z „Pomeraniā” niź inni autorzy. (Takiego kryterium nie uwzglėdnia się zresztā w przypadku innych nagrŌd, np. doroczne nagrody „Życia Literackiego” otrzymali równieź członkowie redakcji tego pisma). Jesteśmy przekonani, że ci, którzy interesujā się wspŌłczesnā literaturā kaszubskā, nie posādā nas o kumoterstwo.

Stanisław Janke ma 30 lat, wywodzi się z Lipusza. Debiutował na łamach „Pomeranii”. W 1977 r. otrzymał wyrŌźnienie, a w 1978 r. III nagrodę w konkursach na utwory pisane po kaszubsku, organizowanych przez Zrzeszenie. Jego debiut ksiāżkowy — tomik poezji „Ju nie jem motėlnikiem” — ukazał się w 1983 r. nakładem oficyny Zrzeszenia. W tymżē roku KAW w Gdańsku wydała spolszczone przez niego baśnie kaszubskie Jana Patoka („StraszydłŌ w Czarńskim Młynie”). S. Janke jest takżē autorem wierszy dla dzieci, których zbiŌr — w wersjach oryginalnych kaszubskiej i polskiej — „ZużŌnka jak mrzŌnka. Kolysanka z marzeń” ukazał się w 1984 r. (edytor Oddział Gdański ZK-P). Napisał równieź sztukę teatralnā „Roczėzna”, nagrodzonā na ostatnim konkursie na poezjē, prozē i dramat kaszubski (jeden akt drukowaliśmy w grudniowej „Pomeranii”). W planach wydawniczych Oddziału Gdańskiego ZK-P znajduje się powieśc S. Jankego „Łiskawica”, wysoko oceniona przez recenzentŌw (jej fragment mieli okazjē poznać nasi czytelnicy równieź). (Sz)

Kpina, panie dzieju!

Kazimierz Kossak-Głowczewski

Kolibki, najbliższa Sopotowi dzielnica Gdyni, to naturalny amfiteatr, powstały na skutek m.in. akumulacyjnej i erozyjnej działalności lodowca. Ten wspaniały teren, objęty z trzech stron potokami i morzem, zamieszkały był już w epoce kamiennej, o czym świadczą istniejące ślady osadnicze tak zwanej kultury rzucewsko-wejherowskiej. Spotykamy tu rzadkie zespoly i zbiorowiska roślinne, chociażby buczynę pomorską czy grąd gwiazdnicowy, obserwujemy siedliska bluszczu, różnorodny drzewostan, a także trzynaście gatunków roślin chronionych. Najmniej naruszone pod względem botanicznym są klif, plaża, dolina Swelini i pagórki morenowe na skraju wysoczyzny — swoisty ogród, istniejący zapewne tylko ze względu na trudne warunki topograficzne.

W takiej scenerii tkwią ślady ogrodzenia i fundamentów starego kościoła, a dalej, nad samą Kolibianką, dwór i wozownia z XVIII wieku. Są to przebudowane pozostałości dawnej dziedziny Katarzyny Radziwiłłowej, siostry króla Jana III Sobieskiego, o którym wiadomo, że przebywał tu na przełomie 1677/78 roku, polując zawzięcie (w 1685 roku stał się właścicielem dóbr Katarzyny). W 1705 roku król Stanisław Leszczyński przechowywał w Kolibkach swoje klejnoty i arras. W 1720 roku przeszły Kolibki w posiadanie znanego rodu Przebendowskich, natomiast ostatnim właścicielem dworu i majątku był honorowy konsul estoński Witold Kukowski, zgładzony przez hitlerowców.

Obecnie dwór i cały teren przydworski to obraz zniszczenia i „wyeksploatowania” — z irracjonalnie usytuowanym ogrodzeniem. Na dziedzińcu stoi jeszcze wiekowy kasztan, będący smętną resztką dawnego parku. Przed dworem — kotłownia, zwałowisko opału, złomowisko. Wśród starych, prawie dwustuletnich buków, w pobliżu 350-letniego „Dębu Marysieńki” topiono do niedawna asfalt. Cuchnąca Kolibianka, ujarzmiona i płynąca pod powierzchnią gruntu, resztki młyna, a na nich nowy budynek stolarni, śluza i zapora bez stawu oraz stalowa rura w miejscach wodospadu — oto królestwo Zieleni Miejskiej i kwaterunku.

Pomimo jednak narastającej dewastacji, obszar Kolibek posiada wciąż duże wartości turystyczno-spacerowe, istnieje tu bowiem naturalny teren rekreacyjny. Świadczą za tym szlaki spacerowe nad brzegiem morza, z Orłowa do Sopotu, czy punkt widokowy przy Pomniku Obrońców, a dla bardziej wytrwałych — wzniesienie z bunkrem. Skraj wysoczyzny i ona sama pocięte są siecią drózek i ścieżek. Fascynujący jest obszar za wiaduktem, gdzie po przejściu łąki znaleźć się można w stuletnim lesie bukowym, poprzecinanym kilkumetrowej głębokości wąwozami, związanymi wystającymi korzeniami. Widok to za dnia przepiękny, a nocą wręcz niesamowity, trochę baśniowy. Byłyby również w Kolibkach miejsca dla narciarzy, gdyby nie płoty ogródków działkowych i wysokie ogrodzenia rozmaitych ferm.

Ostatnio budzą obawy mieszkańców Kolibek „śmiałe” plany zagospodarowania przestrzennego ich dzielnicy. Oto fakty:

I. W 1983 roku Uchwałą WRN w Gdańsku z 31 maja został powołany Park Wypoczynku w Kolibkach, obejmujący około 400 hektarów od morza wzdłuż potoków Swelini i Kolibianki poprzez rejon ulicy Spokojnej aż do ulicy Sopockiej. Teren ów jest pod względem krajobrazowym chroniony przez Trójmiejski Park Krajobrazowy (od zachodu) i zabytkowy zespół dworsko-parkowy (od wschodu).

II. Niespełna rok temu pojawiły się w wybrzeżowej prasie dwie notatki na temat Parku, informujące o etapach prac badawczych, a także informacja o

generalnym projektancie wybranym przez władze miejskie Gdyni. Zostało nim Biuro Projektowo-Badawcze Budownictwa Ogólnego „Miastoprojekt” w Bydgoszczy.

III. Ukazała się również wiadomość o ankiecie na temat przyszłego Parku, do której wypełnienia zachęcono osoby prywatne i zakłady pracy. Ankietę sygnują: Towarzystwo Miłośników Gdyni, Społeczny Komitet Budowy Parku i Urząd Miejski w Gdyni. „Pragnieniem realizatorów Parku — czytamy we wstępie — jest dostosowanie programu użytkowego do rzeczywistych potrzeb mieszkańców, dlatego pro-

Petycja w sprawie Parku Wypoczynku „Kolibki”

My, niżej podpisani, zwracamy się do radnych WRN oraz Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody o zajęcie stanowiska wobec ankiety dotyczącej Parku Wypoczynku „Kolibki”, wydanej przez Towarzystwo Miłośników Gdyni, Społeczny Komitet Budowy Parku i Urząd Miejski w Gdyni. Ankieta ta nie spełnia — naszym zdaniem — swego podstawowego założenia, to jest umożliwienia udziału społeczeństwa we współtworzeniu tego obiektu, a to z powodów następujących:

1. nie przedstawia koncepcji Parku ani podstawowych danych, które uwarunkowały jej powstanie;
2. uniemożliwia, poprzez swą wadliwą konstrukcję, ustosunkowanie się do koncepcji Parku, nawet jeśli ankietowany zna ją z innych źródeł;
3. nie przedstawia do wyboru całościowych rozwiązań alternatywnych;
4. zajmuje się sprawami szczegółowymi, które powinny być pozostawione do rozwiązania fachowcom.

Niezależnie od powyższego ankieta wyraża niepokojącą, naszym zdaniem, tendencję stopniowego odchodzenia od przedstawionej przez prasę wizji Parku o charakterze historyczno-przyrodniczo-krajobrazowym na rzecz budowy kombinatu gastronomiczno-sportowo-rozrywkowego, który z równym powodzeniem mógłby być usytuowany w każdym innym miejscu. Obawiamy się, żeby w tej całej projekcji (a świadczy o niej m.in. właśnie ankieta) nie zatracono tego, co niepowtarzalne, jedyne: nawiązania i ciągłości historii, trwania przyrody na małym skrawku w centrum aglomeracji trójmiejskiej. Obawiamy się, by przyjęte założenia ochrony krajobrazowych i przyrodniczych walorów terenu Kolibek nie stały się pustym frazesem, pod którego przykrywką rozpocznie się proces niszczenia równowagi ekologicznej.

Biorąc to wszystko pod uwagę, wnosimy o:

- 1) zaprzestanie rozpowszechniania ankiety i ewentualne opracowanie jej nowej wersji, adekwatnej do początkowej idei Parku;

- 2) ustalenie dopuszczalnego zakresu ingerencji człowieka na terenie całego przyszłego Parku, bez ryzyka zachwiania równowagi ekologicznej;

- 3) rozważenie możliwości poszerzenia strefy krajobrazu chronionego na teren całego przyszłego Parku;

- 4) uwzględnienie opinii Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w opracowaniu koncepcji użytkowania obiektów zabytkowych;

- 5) opracowanie planu rekonstrukcji zniszczonych zabytków, historycznego parku oraz cieków wodnych i stawów na całym terenie przyszłego Parku.

(Do 11 grudnia 1986 r. petycję podpisało 110 osób).

simy o propozycje, co w nim zlokalizować”. Oto m.in. możliwe do wyboru rozwiązania: pałac dworski jako „restauracja”; wozownia jako „klub młodzieżowy”; „sala koncertowo-widowiskowa” lub „restauracja stylowa”. Na terenie Parku da się ponadto zmieścić „boiska sportowe z trybunami”, „baseny kryte”, „strzelnice”, „lodowiska”, „korty kryte”, „restauracje duże”, „bary”. Nawierzchnia dróg — „betonowa” lub „asfaltowa”. Ścieżki — „przebiegające w cieniu”, „półcieniu” itp., parkingi — „na 500, 300, 200 pojazdów”.

IV. Sześciu mieszkańców Orłowa natychmiast ustosunkowało się do samej ankiety, stwierdzając, że: a) jest niezgodna z Uchwałą WRN w sensie zakresu proponowanych rozwiązań, b) uniemożliwia zajęcie stanowiska w sposób generalny, c) jest nieudolnie

zbudowana i zła metodologicznie, d) wprowadza w błąd opinię publiczną co do założeń Parku i sugeruje rozwiązania. „Grupa sześciu” sformułowała swe uwagi na piśmie, traktując ankietę jako dowód na zaprzepaszczenie idei Parku i wobec tego przystępując do zbierania podpisów pod przytoczoną obok petycją. Od 26 listopada 1986 r. grupa przekazuje kopie petycji odpowiednim władzom. Zbieranie podpisów trwa nadal.

V. Pod koniec 1986 r. w „Krzyżówce Jesiennej” Młodzieżowego Centrum Kultury w Gdyni (bez daty wydania) ukazał się tekst informujący, iż MCK podjęło się rewaloryzacji zabytków w Kolibkach. Docelowo miałyby się one stać siedzibą centrum kulturalnego z salami widowiskowymi, galeriami i zapleczem techniczno-socjalnym. Całość byłaby otoczona kortami, polami kempingowymi, basenami. MCK zwróciło się do wszystkich zainteresowanych z prośbą o współpracę i pomoc (finansową) w... ratowaniu polskiej kultury, dając do zrozumienia, że znany jest już użytkownik (czyli właśnie MCK) i sposób zagospodarowania terenu, gdy tymczasem nie podsumowano jeszcze wyników ankiety. Ponadto wiadomo, że nie zostały zakończone niektóre badania (np. tzw. fizjografia, mapa roślinności rzeczywistej, mapa roślinności potencjalnej itp.). Oznacza to, że nie można jeszcze zająć stanowiska w zakresie sposobu użytkowania albo ściślej — w zakresie dopuszczalnej ingerencji wykonawcy na całym obszarze Parku. Przeprowadzono, co prawda, badania dotyczące fotocenotycznej waloryzacji terenu i fitosocjologii (wykonali je pracownicy Uniwersytetu Gdańskiego na zlecenie Wydziału Ochrony Środowiska UW w Gdańsku), ale ich wyniki są obecnie z jakiejś racji dublowane przez podwykonawców bydgoskiego „Miastoprojektu”. W doniesieniach prasowych z marca i lipca 1986 r. nie wspomniano o tej sprawie, podobnie jak o założeniach projektu

wstępnego Nadmorskiego Ogrodu Botanicznego. A przecież przeprowadzone jeszcze w 1982 r. analizy badawcze odpowiedziały jednoznacznie na pytanie dotyczące sposobu użytkowania wschodniej części Parku: cały obszar nad morzem wraz z zabytkowym kompleksem dworsko-parkowym, a także pagórki za torami to wymarzony teren pod ogród botaniczny.

Jaką zatem ideę lansuje i jakiego parku chce generalny projektant dr Aleksander Pietrzak z „Miastoprojektu”? Czy w ogóle zna Uchwałę gdańskiej WRN i posiadał wiedzę o terenie Kolibek zawartą w trzech naukowych publikacjach oraz w archiwum Wydziału Ochrony Środowiska? Są to pytania interesujące choćby dlatego, że „Miastoprojekt” nie jest biurem projektującym ogrody botaniczne i nikomu z podwykonawców nie zlecił tego zadania.

27 listopada 1986 r. odbyło się spotkanie z generalnym projektantem, poświęcone koncepcji zagospodarowania Parku Wypoczynku w Kolibkach. Cały przebieg tej „nasiadówki” potwierdził bezprawną zmianę idei Parku. Konkretnie projektant: 1) w ogóle pominął w swym wystąpieniu problematykę ogrodu botanicznego; 2) po pytaniu z sali uznał za mało istotne opracowanie założeń programowych Nadmorskiego Ogrodu Botanicznego w Kolibkach zgodne z Memoriatem Rady Ogrodów Botanicznych i Arboretów w Polsce przy Komitecie Botanicznym PAN (północna część Polski nie posiada takiego obiektu, byłby to więc unikatowy ogród z dużymi fragmentami roślinności regionalnej, skupionej w naturalnym środowisku); 3) potwierdził wyznaczenie przez Urząd Miasta w Gdyni użytkownika zanim jeszcze podsumowano wyniki ankiety, której zresztą „Miastoprojekt” jest głównym współautorem; 4) nie ustosunkował się do stanowiska 76 osób, które podpisały tekst w obronie idei Parku (dokument ten wpłynął na ręce prezesa Towarzystwa Miłośników Gdyni, Konrada Rutha, dzień wcześniej).

Sztukmistrz stosowany

Zbigniew Gach

Kiedy późną wiosną 1931 roku zaczynał Józef Kozłowski swój 6-letni gdyński epizod, miał równe 26 lat. Gdynia liczyła wtedy 40 tysięcy mieszkańców i nadal żywiołowo się rozwijała, były zatem powody sądzić, że jej nowomiejaska społeczność rychło objawi coś w rodzaju zapotrzebowania na „wyższą kulturę”. A młodemu, ambitnemu plastykowi chodziło o formowanie otoczenia, o gustowny wystrój pomieszczeń i użytkowe wzornictwo, przy czym w swoich dążeniach nie czuł się oczywiście pionierem. Dobrze znał fundamentalne dla polskich wnętrz owego czasu dokonania warszawskiej Spółdzielni Artystów i Rzemieślników „Ład” (założonej w 1926 roku), niemniej na terenie Gdyni był jednym z pierwszych, którzy pragnęli zaszczyć nowoczesne piękno w modernistycznych budowlach.

Urodził się 3 maja 1905 roku w Grabarce pod Berdyczowem, w rodzinie drobnoszlacheckiej, jako syn blisko 70-letniego już wówczas powstańca styczniowego Antoniego oraz jego drugiej żony Marii z Rodowiczów. Skończywszy szkołę powszechną, zapisał się do gimnazjum filologicznego Macierzy Szkolnej (przy ulicy Ryłski Zaulek) w Kijowie, gdzie zdążył ukończyć cztery klasy. W czerwcu 1920 — wchodząc w szesnasty rok życia — wstąpił do V pułku legionów i wraz z cofającymi się wojskami J. Piłsudskiego przeszedł do Polski. Tymczasowo osiadł w Kaliszu. Dzięki pomocy miejscowego komitetu opieki nad uchodźcami z kresów zdołał ukończyć piątą i szóstą klasę gimnazjalną, co stanowiło odpowiednik późniejszej tzw. „małej matury”. W 1923 roku wyjechał do Warszawy, by zdawać na Akademię Sztuk Pięknych, ale że nigdy przedtem nie widział nagiej kobiety, tu zaś raptem kazano mu rysować akt z natury, oblał ze szczeniem. Mimo to, został w

stolicy na dłużej, mając się różnych zajęć; dopiero po dwóch latach — przyciśnięty przez los — przeniósł się za namową kolegi do Poznania, gdzie dwukrotnie taniej odnajmowano pokoje. W roku 1925 zapisał się do tamtejszej Szkoły Sztuk Zdobniczych, w której podczas czterech lat nauki mógł poznawać tajniki malarstwa dekoracyjnego, sprzętarswa (meblarstwa), tkactwa, ceramiki, witrażu, a także pojąć podstawową wiedzę z zakresu historii sztuki. W 1929 roku uczestniczył, już jako dekorator, w przygotowaniach do Powszechnej Wystawy Krajowej (odzwierciedlającej 10-letni dorobek odrodzonej Rzeczypospolitej), co wreszcie pozwoliło mu odłożyć pewną sumę pieniędzy. Po skończeniu szkoły zdobniczej, która dawała pełną maturę, zaczął snuć plany zrobienia kariery, ale w Poznaniu poprzestał na rocznej pracy scenografa w Teatrze Popularnym (założonym i prowadzonym przez Wandę Siemaszkową) oraz na części scenografii do komedii filmowej „Igraszki pieniądza” w reżyserii bezrękiego Ireneusza Żyberga-Platera.

Jako się rzekło, wiosną 1931 roku ruszył Józef Kozłowski z głową pełną pomysłów na podbój Gdyni, którą zresztą znał trochę z wcześniejszych wypadów. Jechał w towarzystwie koleżanki-plastyczki (a zarazem swej nie spełnionej miłości) Maryjki Łada-Zabłockiej oraz jej brata Henryka. Młodzi Zabłoccy mieli na wybrzeżu dobry punkt zaczeplenia, ponieważ matka ich prowadziła w Orłowie luksusowy pensjonat „Słońce”. O ile wszakże Henryk zamierzał osiąść w Gdyni na stałe, o tyle Maryjka, posiadająca własne mieszkanie w Poznaniu chciała pracować nad morzem tylko w sezonie. W każdym razie wynajęli wszyscy troje parter domu „Lilla” przy Szosie Gdańskiej (dzisiejsza ulica Śląska), gdzie

po jednej stronie dwójka plastyków urządziła swe Atelier Graficzno-Dekoracyjne „Art”, po drugiej natomiast Henryk otworzył salon samochodowy z tercykami (trzykołowcami) francuskiej firmy Morgan.

„Art” rozpoczął działalność od wypuszczenia serii plakatów graficznych zachwalających polskie wybrzeże, głównie Hel, Jastarnię i Gdynię; przedsięwzięcie to jednak nie spełniło oczekiwań, gdyż mało kto potrafił docenić jego artystyczną wartość w rwetesie budowlanym rozrastającego się z dnia na dzień miasta. Nie zrażeni twórcy wzięli się za reklamowe przeźrocza do kin, wystroje sal balowych, projekty indywidualnych życzeń noworocznych, zaproszeń na karnawałowe reduty itp., wciąż jednak czekali na zamówienie, które pozwoliłoby im wypłynąć. W pewnym momencie wydawało się, że taką szansę stwarza długofalowy kontrakt z „Orbisem” na plakaty reklamujące nadmorskie lotniska. Potem wzbudziła nadzieję zrealizowana z fantazją i długo wspomnianą przez gdynian oprawa plastyczna na Święto Morza w 1933 roku. Jednak po kolejnych rozczarowaniach i spiętrzeniach kłopotów finansowych (mimo dyskretnych dotacji ze strony Henryka) jesienią 1933 „Art” przestał istnieć.

Po zbankrutowaniu „firmy” Maryjka Łada-Zabłocka wyjechała ostatecznie do Poznania, by dopiero po II wojnie wrócić na stałe do Gdyni i poświęcić się bez reszty malarstwu. Ale jej partner nie zaprzestał działalności. W latach 1934–1937 prawie nie było w Gdyni indywidualnie wykonanego świadectwa, dyplomu, zaproszenia czy podobnego wytworu grafiki użytkowej, w którym nie maczałby palców Józef Jastrz-Kozłowski (owo „Jastrz” wzięło się nagle stąd, że gdy u jednego z gdynińskich ramiarzy dojrzał Józef spod Berdyczowa niedobre akwarele sygnowane J. Kozłowski, postanowił odciać się wyraźnie od pacykarza i dokleił sobie do nazwiska skrót z herbowego Jastrzębca). Wbrew trudnościom, wychodził z coraz nowymi inicjatywami wzorniczo-dekoracyjnymi, przełamując opory urzędów i wydawnictw względem trendów tzw. sztuki stosowanej. Efektami tych zabiegów były między innymi zamówienia na wystrój salonu recepcyjnego Dworca Morskiego oraz — całościowo — Komunalnej Kasy Oszczędności, a także liczne ilustracje dla periodyków: „Opowieści Morskich Fal” (jeszcze wspólnie z M. Zabłocką), „Latarni Morskiej” i „Torpedy”. Dość nietypowe, lecz zrealizowane z szybkością i rozmachem było zlecenie z wojska na udekorowanie ostatniej drogi dopiero co mianowanego inspektora lotnictwa, generała Gustawa Orlicz-Dreszera, który 16 lipca 1936 roku rznął wraz z samolotem w morze nie opodal Oriowa.

W 1935 roku J. Jastrz-Kozłowski, wspólnie z E. Szyszkowską-Siemieradzką i J. Sieradzkim, założył spółdzielnię o nazwie „Rzut”. W reprezentacyjnym sklepie-salonie firm „Leszczków” (samodziały) i „Milanówek” (jedwabie), naprzeciw kościoła przy ulicy Świętojańskiej, udostępniono część pomieszczeń grupie młodych artystów pragnących wystawić sztukę użytkową i w ten sposób „Rzut” zyskał możliwość stałego eksponowania np. swoich mebli, wywodzących się z polskiej tradycji. W zakres projektowania nowo powstałej spółdzielni wchodziło jednakże wszystko, co zahaczało o wystawiennictwo i wnętrza. Ważne musiało to być dla ówczesnej Gdyni, gdzie — jak pisano — „każdy niemal gabinet, każda salka posiedzeń to ostatni krzyk pretensjonalnego, złego gustu”.

Mimo przychylnych głosów prasy, krótkotrwałą drogą rozwoju „Rzutu” nie usłano różami, jako że sztukę użytkową rzadko jeszcze uważano za przydatną, niezbędną, oczywistą. Głównie zamówienia pochodziły od prywatnych właścicieli, jak również od instytucji morskich (J. Sieradzki sekretarował w Urzędzie Morskim). W tym czasie J. Jastrz-Kozłowski sporządził między innymi projekty stoisk na Wystawę Przemysłowo-Rzemieślniczą, a także zdobył I i III nagrodę w konkursie na plakat o tematyce morskiej (mimo silnej konkurencji ze strony adeptów Pomorskiej Szkoły Sztuk Pięknych, założonej w 1933 roku przez Wacława Szczepiewskiego). Niestety, po dwóch latach aktywności, tj. w roku 1937, „Rzut” podzielił los „Art”-u, czyli przestał istnieć.

Józef Kozłowski, powodowany względami osobistymi (ożenek z kuzynką właściciela gdyńskiego kina „Słońce”, farmaceutką Felicią Kałamajską), wyjechał z Gdyni i osiedlił się w Toruniu, wynajmując mieszkanie w kamienicy czynszowej przy ulicy Legionów (obecnie: Zjednoczenia).

Według pierwotnej koncepcji, w tym miejscu miał nastąpić „zgrabny” koniec szkicu o gdynianinie, który przybył z kresów, lecz kolejne półwiecze — J. Kozłowski żyje do dziś w dobrym zdrowiu — domaga się skwitowania choćby krótkimi słowy.

Zanim nastąpił wybuch II wojny, zdążył uczestniczyć J. Kozłowski jeszcze w kilku niebłahych inicjatywach, spośród których warto wymienić ilustrowanie w 1938 roku okładek do 3, 5 i 6 numeru „Teki Pomorskiej”, wydawanej przez A. Bukowskiego, sporządzenie projektów szeregu stoisk na Targi Poznańskie, opracowanie (wspólnie z M. Zabłocką) ekspozycji Wystawy Polskiej Sztuki Sakralnej w Budapeszcie oraz roczny staż w charakterze doradcy artystycznego przy poznańskiej fabryce mebli J. Sroczynskiego.

W czasie wojny, przedarłszy się po kapitulacji Warszawy z powrotem do Torunia, pracował przez jakiś czas jako malarz pokojowy, a następnie — z nakazu Arbeitsamtu — jako kreślarz, m.in. w Toruniu oraz w Rumi-Zagórze (fabryka samolotów).

Tuż po wyzwoleniu powołano go na pierwszego kierownika wojewódzkiego wydziału kultury w Toruniu, a następnie na asystenta Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, gdzie pracował 30 lat. W roku 1947 uzupełnił dyplom z zakresu architektury wnętrz. W latach 1950–1952 dyktował toruńsko-olsztyńskiej ekspozyturze „Cepeli”. Od 1962 roku kierował Zakładem Kształtowania Form Płaskich i Przestrzennych UMK. W czerwcu 1974 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego. Po śmierci żony (1957) związał się ze znakomitą graficzką Barbarą Narębską-Debską. Do chwili przejścia na emeryturę (1975) był jedną z najbarwniejszych postaci akademickiego Torunia, a i dziś jeszcze ceni sobie — zresztą z wzajemnością — odpowiednie towarzystwo.

Powojenny dorobek Józefa Kozłowskiego to reaktywowanie w Toruniu spółdzielni „Rzut” (pierwszy prezes), udział w 16 wystawach, projekty pawilonów i sal wystawowych na 23 ekspozycjach, w tym na 9 stałych, 3 koloryzacje wnętrz fabrycznych oraz kilkanaście projektów dużych wnętrz, między innymi: Muzeum Jana Kasprzowicza w Symborzu, „Delikatesy”, KMPiK oraz teatr w Toruniu, Filharmonia Pomorska w Bydgoszczy. Ostatnia większa praca wnętrzańska, za którą notabene otrzymał nagrodę ministra kultury i sztuki, to dokumentacja wystroju i aranżacja pomieszczeń toruńskiego hotelu „Helios”.

Poza dokonaniem dekoratorskimi, co najmniej od początku lat trzydziestych wprawia się jako akwarelista. Początkowo malował szkice do portretów, potem pejzaże i kwiaty. Od połowy lat sześćdziesiątych zajął się kresowymi cerkiewkami, których uwiecznił już kilkadziesiąt. Są to przepiękne obrazy, budowane z kolorowych płam przy użyciu metody przechylania kartonu i mocniejszego nasycania w ten sposób farbą (cieniowania) określonych fragmentów. Akwarele profesora Kozłowskiego mają w sobie ciepło pastelii. Być może oddają po prostu charakter swego twórcy.

PS.

Ponad rok temu chciał prof. J. Kozłowski sprezentować Muzeum Miasta Gdyni niemal cały swój zbiór przedwojennych druków, zdjęć oraz pamiątek dotyczących głównie działalności „Art”-u i „Rzut”-u. Postawił tylko jeden warunek: przekazane dokumenty zostaną wyeksponowane na specjalnej wystawie, przy okazji obchodów 60-lecia miasta. Niestety, z powodów nie do końca jasnych, lecz wyraźnie trącających bezdusznnością, dyrekcja Muzeum zrezygnowała z daru (choć gotowe do ekspozycji ekrany przez pół roku czekały w magazynie gdyńskiej „Desy”). Rozżalony profesor zabrał wreszcie plansze z powrotem i podarował Muzeum Okręgowemu w Toruniu, pocieszając się faktem, iż miasto to było stolicą województwa, w obrębie którego rozwinęła się Gdynia. *Detur digniori!* ■

PSIE LATA⁽¹¹⁾

Günter Grass

Tłumaczył
Sławomir Błaut

Kochana Kuzynko Tullu,

cóż by mnie obchodziła Kosznajderia, gdybyście Wy, Pokriefkowie, nie wywodzili się stamtąd. A tak wiem: od tysiąc dwieście trzydziestego siódmego do tysiąc trzysta ósmego wsie Kosznajderii należały do książąt pomorskich. Po wymarcu ich rodu Kosznajdrzy aż do tysiąc czterysta sześćdziesiątego szóstego płacili daninę Zakonowi Krzyżackiemu. Następnie do tysiąc siedemset siedemdziesiątego drugiego wchłonęło ich Królestwo Polskie. Na aukcji europejskiej Kosznajderia przypadła Prusakom. Ci utrzymywali porządek do tysiąc dziewięćset dwudziestego. Od lutego roku dwudziestego wsie Kosznajderii były wsiami Rzeczypospolitej Polskiej, a od jesieni roku trzydziestego dziewiątego, jako część okręgu Gdańsk—Prusy Zachodnie, wchodziły w skład Wielkoniemieckiej Rzeszy: Przemoc. Zakrzywione agrafki. Proporczyki na wietrze. Stanie kwatery: Szwedzi husyci oddziały frontowe SS. Jeślitynieto. Docnanikogonieoszczędzając. Oddzisiejszegoranagodzinaczwartaczterdzieści pięć. Koła opisywane cyrklem na mapach stołów pomiarowych. Sławęcin zdobyty przeciwuderzeniem. Szpice pancerne nieprzyjaciela na szosie do Dąbrówki. Nasze wojska stawiają czoła zmasowanemu natarciu na północny zachód od Ostrowitego. Ataki odciążające dwunastej dywizji polowej lotnictwa utykają na południe od Chojnic. W trakcie wyrównywania frontu opuszczają się tak zwana Kosznajderię. Pozostałe jednostki gromadzą się na południe od Gdańska. Panikarze, straszaki, okropni dowcipnicy znów potrzęsają przyciskiem do listów, pięścią...

Oh, Tullu,

jakże mam opowiadać Ci o Kosznajderii, o Harraście i jego zapachowych znakach, o kleju kostnym, słodowych cukierkach i dziecięcym wózku, skoro trzeba mi nieodparcie wpatrywać się w pięść! — A on musi się toczyć. Toczył się kiedyś dziecięcy wózek. Przed wielu wielu laty toczył się dziecięcy wózek na czterech wysokich kołach. Na czterech staromodnie wysokich kołach toczył się czarno polakierowany i pokryty spękaną i pomarszczoną ceratą. Chromowane szprychy, resory, pałąk do pchania wózka miały wytarte, szaro zmatowiałe miejsca. Niedostrzegalnie powiększały się one z dnia na dzień: przeszość; to było kiedyś; gdy latem roku trzydziestego drugiego; wówczas wówczas wówczas, gdy byłem pięcioletnim chłopcem, w okresie olimpiady w Los Angeles, były już pięści poruszane szybko sucho i przyziemnie, a mimo to, jakby nie dostrzegając, skąd wiatr wieje, równocześnie pchano miliony dziecięcych wózków na wysokich i niskich kołach w słońce, w cień.

Na czterech staromodnie wysokich kołach toczył się latem roku trzydziestego drugiego czarno polakierowany, podniszczony wózek dziecięcy kupiony przy Tandencie przez Eddiego Amsela, który znał wszystkie sklepy ze starzyzną. On, profesor Oswald Brunies i Walter Matern na zmianę pchali ów pojazd. Wy-smołowane, natłuszczone, a mimo to suche deski, po których sunął dziecięcy wózek, były deskami

brzeźnieńskiego mola. Mile kąpielisko — od tysiąc osiemset dwudziestego trzeciego zdrojowisko nadmorskie — z przycupniętą wioską rybacką i zwieczonym kopułą domem zdrojowym, z pensjonatami Germania, Eugenia i Elza, z niewysokimi wydmami i nadbrzeżnym laskiem, z łodziami rybackimi, ze strażnicą Niemieckiego Towarzystwa Ratowniczego i czterdziestośmiometrowym molem leżało dokładnie pośrodku pomiędzy Nowym Portem a Jelitkowem na brzegu Zatoki Gdańskiej. Molo brzeźnieńskie było dwukondygnacyjne i z prawej miało odnogę w postaci krótkiego falochronu rozbijającego fale Bałtyku. Na dwunastu masztach flagowych brzeźnieńskiego mola co niedziela łopotało dwanaście flag: z początku były to tylko flagi miast nadbałtyckich, z biegiem czasu — coraz liczniejsze flagi ze swastyką.

Po deskach pod flagami toczy się dziecięcy wózek. Pcha go teraz profesor Brunies, ubrany o wiele za czarno i ocieniony szerokim rondem miękkiego kapelusza, i ustąpi miejsca grubemu Amselowi albo byczkowatemu Walterowi Maternowi. W wózku siedzi prawie sześćioletnia Jenny, której nie wolno chodzić.

— Może pozwolimy Jenny trochę pochodzić? Proszę, panie profesorze. Tylko na próbę. Będziemy ją podtrzymywać z obu stron.

Jenny Brunies nie wolno tego zrobić. — Żeby miała się zgubiła? Żeby ją poszturchiwali w niedzielnym tłumie? — A tłum przechodzi tam i z powrotem, ludzie spotykają się rozstają kłaniają nie dostrzegając. Wymachują, biorą się pod rękę, wskazują na molo, w stronę Orłowa, karmią mewy przyniesionym ze sobą jedzeniem, witają się przypominając złością. A wszyscy tak elegancko poubierani: sukienki w duże kwiaty na specjalne okazje. Bez rekawów, akurat na lato. Stroje tenisowe i żeglarskie. Krawaty na wschodnim wietrze. Nienasycone aparaty fotograficzne. Kapelusze słomkowe z nowymi potnikami. Białe jak pasta do zębów płócienne pantofle. Wysokie obcasy obawiają się szczelin między deskami mola. Pseudokapitanowie z wycelowanymi lornetkami. Albo dlonie osłaniające oczy wpatrzone w dal. Tyle marynarskich ubrań, tyle dzieci: biegają, bawią się, chowają i straszą nawzajem. Widzę coś, czego ty nie widzisz. Ene due rabe. Na kogo wypadnie, na tego bęc. Oto pan Anglicker z Targu Nowego ze swymi bliźniaczkami. Obie mają we włosach wielkie kokardy i bladymi językami jednakowo powoli liżą lody malinowe. Pan Koschnick z ulicy Herty z żoną i gośćmi z Rzeszy. Pan Sellke pozwala swoim synom popatrzeć po kolei przez lunetę: wstęga dymu, nadbudówki pokładowe, „Kaiser” wylania się zza horyzontu. Państwo Behrendtowie nie mają już ciasta dla mew. Pani Grunau, właścicielka magla przy Polygonowej, z trójką swych praktykantek. Piekarz Scheffler z Kuźniczka z roześmianą żoną. Heini Pilenz i Hotten Sonntag bez rodziców. A tam pan Pokriefke z palcami lepkimi od kleju. U jego ramienia uwiesiła się pomarszczona połowica, która bez przerwy musi ruszać głową z szybkością szczura. Musi wołać: — Tulla! — I: — Chodź tu, Alexander! — I: — Siegesmund, uważaj na Konrada! — Bo na molo Kosznajdrzy nie mówią po kośniewiacku, chociaż nie ma tu stolarza Liebenaua i jego żony. On musi w niedzielne przedpołudnie stać przy warsztacie i rysować, żeby w poniedziałek maszynista wiedział, co ma pójść pod pilę tarcową. Ona nigdy nie wychodzi bez meża. Ale jest tu ich syn, ponieważ jest tu Tulla. Oboje są młodszy od Jenny i wolno im chodzić. Wolno im skakać to na jednej, to na drugiej nodze za plecami profesora Bruniesa i jego lekko zażenowanych uczniów. Wolno pędzić przez całe molo, do samego końca, gdzie tworzy ostry, wietrzny trójkąt. Wolno zbiegać schodami z lewej i z prawej na dolną kondygnację, gdzie przesiadują wędkarze i łapią stornie. Wolno gnać w chyżych sandałkach po wąskich kładkach i po kryjomu przebywać w belkowaniu mola, mając nad głową pięćset niedzielnich butów, lekko stawiane laski spacerowe i parasolki od słońca. Na dole jest chłodno cieniście zielonkawo. Nie ma tam dni powszednich. Woda ma ostry zapach i jest przezroczysta, tak że widać muszle i butelki, które przewalają się po dnie. Przy słu-

pach dźwigających molo i ludzi na nim niezdecydowanie kołyszą się wąsy wodorostów: tu i tam prze-mykają cierniki, srebrzyste gorliwe codzienne. Z górnego pomostu spadają niedopałki, rozpuszczają się brązowawo, wabią długie na palec ryby, odstręcają. Stada ryb reagują zrywami, mkną przed siebie, zatrzymują się z ociąganiem, zawracają, rozpraszają, zbierają się piętro niżej i emigrują tam, gdzie kołyszą się wąsy innych wodorostów. Na powierzchni kolebie się korek. Papier po kanapce nabiera ciężaru, kręci się w kółko. Między wysmołowanymi belkami Tulla Pokriefke zadziera niedzielną sukienkę, która jest już wypaliona smołą. Jej kuzyn powinien tam wsunąć dłoń. Ale nie chce i odwraca wzrok. Wtedy ona też już nie chce nie musi nie może, zeskakując ze skrzyżowanych belek na kładkę i pędzi trzaskając sandałkami, warkocze jej furkoczą, budzi wędkarzy, jest już na schodach ku molo, na schodach ku dwunastu flagom, na schodach ku niedzielnemu przedpołudniu; a kuzyn Harry podąża za jej klejowym zapachem, który zagłusza woń wodorostów, woń wysmołowanych, a mimo to butwiejących belek, woń wysuszonych wiatrem kładek, który zagłusza morskie powietrze.

I to Ty, Tulla,

powiedziałaś któregoś niedzielnego przedpołudnia: — Byście ją raz puścili. Bym zobaczyła, jak ona chodzi. Dziwnym trafem profesor Brunies kiwa głową i Jenny wolno przejść się po deskach brzeżeńskie-go mola. Kilka osób śmieje się, wiele się uśmiecha, ponieważ Jenny jest taka gruba i sunie po molo na dwóch słupach tłuszczy, które tkwią w białych wrzynających się w sadio podkolanówkach i lakierkach z klamerką.

— Amsel! — mówi Brunies spod czarnego pilśniowego kapelusza. — Czy ty jako dziecko, powiedzmy: dziecko sześćoletnie, bardzo się nacierpiałeś przez swoją, nazwijmy rzecz po imieniu, otyłość?

— Niespecjalnie, panie profesorze. Matern zawsze miał oko. Tylko w szkole ciężko mi się w ławce siedziało, bo ławka była za ciasna.

Brunies częstuje cukierkami. Pusty wózek stoi na uboczu. Matern prowadzi Jenny niezdarnie ostrożnie. Flagi łopoczą w jednym kierunku. Tulla chce poprowadzić Jenny. Zeby tylko wózek nie potoczył się sam. Brunies ssie słodowe cukierki. Jenny nie chce iść z Tullą, mało się nie rozplacze, ale Matern jest na miejscu, a Eddi Amsel szybko i wiernie imituje podwórko dla kur. Tulla okręca się na obcasach. U końca mola gromadzi się tłum: będą śpiewać. Twarz Tulli robi się trójkątna i tak mała, że wściekłość bierze górę. Na końcu mola śpiewają. Tulla wywraca oczyma: puste gąle. Jungvolk stoi na przedzie półkolem. Wychudzona koźniewiacka wściekłość: Dul Dul, Tuller. Nie wszyscy chłopcy z Jungvolku są w mundurach, ale wszyscy śpiewają, a dużo ludzi przysłuchuje się i z aprobatą kiwa głowami. „Lubimyburze...” śpiewają wszyscy, zaś jedyny, który nie śpiewa, z wysiłkiem trzyma prosto czarny trójkątny proporzeczek z naszytą runą. Porzucony i pusty stoi wózek. Teraz śpiewają: „Aporanka świttojestporanasza”. Potem coś wesołego: „CziekjedencosięKolumbzwai”. Piętnastoletni młodzieniec z kędzierzawą czupryną, który ma prawą rękę na tem-blaku, być może dlatego, że naprawdę coś mu się stało, na poły rozkazująco, na poły nieśmiało wzywa słuchaczy, by podchwycili piosenkę o Kolumbie, przynajmniej jej refren. Młode dziewczyny, które wzięły się pod rękę, i dziarscy małżonkowie, w tym pan Pokriefke, pan Behrendt i kupiec kolonialny Matzerath, dołączają do chóru. Wiatr północno-wschodni wyrównuje flagi i wiąże fałszywe tony wesołego śpiewu. Kto słucha uważnie, ten usłyszy raz zagłuszony śpiewem, to znów wybijający się ponad śpiew dziecięcy blaszany bębenek. To pewnie syn kupca kolonialnego. Jest trochę kopnięty. „Gloriaviktoria” i „wiedewiedewittjuchheirassa” to refren tej wręcz nie kończącej się piosenki: wiążenie się do chóru staje się pomału obowiązkiem. Rozglądanie się: „Dlaczego ten jeszcze nie?” Popatrywanie spod oka:

„Państwo Ropinsky też śpiewają. Nawet stary Sewatzki, zagorzały socjał, robi to samo. No to już. Tylko odwagi! Skoro śpiewają ze wszystkimi pan Zurek i referendarz Broński, choć obaj pracują przy placu Heweliusza”. „Wiedewiedewittbumbum”. A pan profesor? Nie może przynajmniej wypuścić tego wiecznego cukierka i udawać, że on też? „Gloriaviktoria!” Dziecięcy wózek na czterech wysokich kołach stoi pusty na uboczu. Polyskuje czarno i spękane. „Wiedewiedewittjuchheirassa!” Papa Brunies chce wziąć Jenny na ręce i ulżyć jej słupkom tłuszczy w lakierkach z klamerką. Ale jego uczniowie — „Gloriaviktoria!” — zwłaszcza gimnazjalista Walter Matern, odradzają mu. Eddi Amsel śpiewa z innymi: „Wiedewiedewittjuchheirassa!” Ponieważ jest grubym chłopakiem, ma piękny, miękki jak aksamit chłopięcy sopran, który w pewnych miejscach refrenu, choćby przy „...juchheirassaaaaa”, perli się srebrzyście. Taki głos nazywają najwyższym. Wielu ogląda się chcąc zobaczyć, gdzie tryska wdzięczne źródło.

I oto, jako że piosenka o Kolumbie wbrew oczekiwaniom ma ostatnią zwrotkę, śpiewają pieśń żniwną: „Zaladawałempelenwóz”. A teraz, choć coś takiego lepiej śpiewa się wieczorem: „Czyż jest piękniejszy kraj”. Eddi Amsel stawia na głowie swój chłopięcy sopran grubasa. Brunies ssie ostentacyjnie i zapala drwiące iskierki. Matern pochmurnie pod bezchmurnym niebem. Dziecięcy wózek rzuca samotny cień...

Gdzie jest Tulla?

Jej kuzyn odśpiewał wraz z innymi sześć zwrotek piosenki o Kolumbie. Wyłączył się w trakcie siódmej zwrotki. Już tylko morskie powietrze, nie ma zapachu kleju kostnego; bo August Pokriefke stoi z żoną i głuchoniemym Konradem po zachodniej stronie kończącego molo trójkąta a wiatr z północno-wschodniego zmienił się raptem na wschodni. Pokriefkowie odwracają się plecami do morza. Śpiewają. Także Konrad otwiera usta w odpowiednich momentach, wydyma je bezdźwięcznie i podczas niezbyt udanej próby odśpiewania kanonu „Panie Janie, panie Janie” nie opuszcza żadnego wejścia.

Gdzie jest Tulla?

Jej bracia Siegesmund i Alexander ulotnili się. Jej kuzyn Harry widzi obydwo na falochronie. Próbuje tam nurkowania. Siegesmund ćwiczy salto i skok z podpórki. Ubranie braci, przyciśnięte butami, leży na wietrznej odnodze mola. Tulli nie ma z nimi. Od mola w Jelitkowie — można dojrzeć nawet duże molo sopockie — zbliża się zgodnie z rozkładem parowiec wycieczkowy. Jest biały i ciągnie za sobą dużą wstęgę czarnego dymu, jak parowce na rysunkach dzieci. Ci, co chcą z Brzeźna dostać się parowcem do Nowego Portu, tłoczą się na końcu mola po lewej stronie. Gdzie jest Tulla? Chłopcy z Jungvolku jeszcze śpiewają, ale już nikt ich nie słucha, ponieważ parowiec coraz bardziej się powiększa. Również Eddi Amsel wycofał swój sopran. Dziecięcy bębenek porzucił rytm pieśni i poddaje się stukotowi maszyny: jest to parowiec „Szczupak”. Ale parowiec „Łabędź” wygląda zupełnie tak samo. Tylko parowiec kołowy „Paul Beneke” wygląda inaczej. Po pierwsze, ma koła łopatkowe; po drugie, jest większy, dużo większy; a po trzecie, kursuje na trasie Gdańsk Długie Pobrzeże — Sopot — Gdynia — Hel i do Jelitkowa oraz Brzeźna w ogóle nie zawija. Gdzie jest Tulla? Z początku wygląda to tak, jakby parowiec „Szczupak” wcale nie miał zamiaru przybić do brzeżeńskie-go mola, potem jednak obraca się i staje bokiem przy molo szybciej, niż człowiek zdąży pomyśleć. Wzbija pianę nie tylko przy dziobie i rufie. Ociągając się drepce w miejscu i belta morze. Rzuca się liny: pacholki trzeszczą. Tytoniowobrazowe poduszki obojowe łagodzą wstrząsy przy przybijaniu. Wszystkie dzieci i kilka kobiet oblatuje strach, bo parowiec „Szczupak” zaraz będzie ryczał. Dzieci zatykają uszy, rozdziawiają usta, trzęsą się na zapas: a on ryczy głębokim, na koniec chrapliwie kiksującym głosem i stoi przycumowany. Znow można li-ząc lody, ale kilkoro dzieci na pokładzie parowca i

na molo placze, nadal zatyka uszy i wpatruje się w komin, ponieważ wie, że parowiec „Szczupak”, zanim odbije, zaryczy jeszcze raz i wypuści białą parę, która cuchnie zgnilymi jajkami.

Gdzie jest Tulla?

Piękny jest biały parowiec, kiedy nie szpecą go plamy od rdzy. Parowca „Szczupak” nie szpeci ani jedna, tylko flaga Wolnego Miasta na rufie i proporzycy towarzystwa żeglugowego „Wisła” są wyblakłe i wystrzępione. Jedni schodzą z pokładu — drudzy wchodzą na pokład. Tulla? Jej kuzyn spogląda za siebie: po prawej stronie mola niezmiennie stoi tylko dziecięcy wózek na czterech wysokich kołach. Rzuca wykrzywiony cień z godziny jedenastej, który zlewa się w jedno z cieniem balustrady mola. Do tej gmatwaniny cieni zbliża się chudy, nie pogmatwany cień: z dołu nadchodzi Tulla. Była tam, gdzie rozkolysane wodorosty, zaczarowani wędkarze, odbywające ćwiczenia cierniki. Wspina się po schodach kościasta, w krótkiej sukience. Jej kolana uderzają w szydełkowy rąbek. Pokonawszy schody rusza wprost do wózka. Ostatni pasażerowie wchodzą na pokład parowca „Szczupak”. Kilkoro dzieci placze w dalszym ciągu albo już od nowa. Tulla spłotła ręce na plecach. Chociaż w zimie ma skórę sinobiałą, szybko się opala. Na suchy żółtawy brąz. Brąz kleju stolarskiego omija ślady po szczepieniach: jedna dwie trzy cztery wysepki wielkości wiśni na lewym ramieniu pozostają blade i nie do przeoczenia. Każdy parowiec sprowadza mewy ze sobą — zabiera mewy ze sobą. Prawa burta parowca z lewą burtą końca mola wymienia słowa: — I wpadnij znowu. I zanieś film do wywołania, tacy jesteśmy ciekawi. I pozdrów wszystkich, słyszysz? — Tulla stoi przy pustym wózku. Parowiec ryczy wysoko głęboko i kiksuje. Tulla nie zatyka uszu. Jej kuzyn chciałby zatkać uszy, ale tego nie robi. Gluchoniemy Konrad, między Erną a Augustem Pokriefkami, spogląda na kilwater parowca i zatyka sobie obydwie uszy. Zmięta brązowa jak papier pakowy torebka leży w nogach wózka. Tulla nie bierze cukierka. Na falochronie dwaj chłopcy walcą z trzecim, dwaj wpadają do wody, wynurzają się, cała trójka się śmieje. Profesor Brunies wziął już jednak Jenny na ręce. Jenny nie wie, czy ma płakać z powodu ryku parowca. Profesor Brunies i jego uczniowie radzą jej, żeby nie płakała. Eddi Amsel zawiązał na chusteczce cztery węzłki i powstała w ten sposób czapkę włożył na swoje rude włosy. Ponieważ zazwyczaj i tak wygląda śmiesznie, zawiązana na węzłki chusteczka nie czyni go śmieszniejszym. Walter Matern wpatruje się pośpiesznie w biały parowiec, który dygocząc odsuwa się od mola. Mężczyźni, kobiety, dzieci, chłopcy z Jungvolku, z czarnym proporczykiem na pokładzie, machają rękami śmiejąc się wołając. Mewy krążą, spadają, wznoszą się i zerkają oczkami w krzywo przykręconych głowach. Tulla Pokriefke lekko trąca nogą prawe tylne koło dziecięcego wózka: jego cień prawie się od tego nie ruszył. Mężczyźni kobiety i dzieci pomału odrywają się od lewej balustrady na końcu mola. Parowiec „Szczupak” wypuszcza czarny dym, obraca się ze stukotem i malejąc szybko bierze kurs na Nowy Port. Złobi w spokojnym morzu spieniony, natychmiast zacierający się ślad. Nie wszystkie mewy podążają za nim. Tulla działa: odrzuca w tył głowę z warkoczami, wysuwa ją do przodu i pluje. Jej kuzyn rumieni się po same uszy. Rozgląda się, czy jeszcze ktoś widział, jak Tulla pluła do wózka. Przy balustradzie po lewej sterzy trzylatek w marynarskim ubranku. Jedwabna wstążka z wyszytym złotą nitką napisem „SMS Seydlitz” okala jego marynarską czapkę. Końce wstążki powiewają leniwie na północno-wschodnim wietrze. Na brzuchu ma zawieszony blaszany dziecięcy bebenek. Z jego pięści wyrastają sfatygowane drewniane pałeczki. Nie bebeni, ma niebieskie oczy i patrzy, jak Tulla po raz drugi pluje do pustego wózka. Wiele letnich butów, pantofli z żaglowego płótna, sandałów, lasek spacerowych i parasolek od słońca zbliża się do końca mola, gdy Tulla celuje po raz trzeci.

Nie wiem, czy oprócz mnie i syna kupca kolonialnego jeszcze ktoś był świadkiem tego, jak moja kuzynka trzy razy po kolei napluła do pustego wózka Jenny, a potem chuda i gniewna poczłapała wolno w stronę domu zdrojowego.

Kochana Kuzynko,

nie mogę jeszcze zaprzestać stawiania Cię na migoczących deskach brzezińskiego mola. Pewnej niedzieli następnego roku, ale w miesiącu o tej samej nazwie, czyli w burzliwym i obfitującym w meduzy sierpniu, kiedy mężczyźni, kobiety i dzieci z torbami plażowymi i gumowymi zwierzętami ponownie opuścili zakurzone przedmieście Wrzeszcz i pojechali do Brzeźna, żeby w większości rozłożyć się na dzikiej i płatnej plaży, żeby w mniejszości spacerować po molo, w dzień, kiedy to osiem flag miast nadbaltyckich i cztery flagi ze swastyką zwisały wiotko z dwunastu masztów, kiedy nad Oksywiem zbierało się na burzę morską, kiedy meduzy ogniste parzyły, a nie parzące białoniebieskawe rozkwitały w ciepłym morzu, w pewien sierpniowy dzień zatem Jenny się zgubiła.

Profesor Brunies kiwnął głową. Walter Matern wyjął Jenny z wózka, a Eddi Amsel nie uważał i Jenny przepadła w odświeżenie wystrojonej ciżbie. Burza nad Oksywiem wisiała w powietrzu. Walter Matern nie znalazł Jenny. Eddi Amsel nie znalazł. Ja ją znalazłem, ponieważ szukałem mojej kuzynki Tulli: zawsze szukałem Ciebie, a znajdowałem przeważnie Jenny Brunies.

Wówczas, gdy od zachodu zanosilo się na burzę, znalazłem obie, a Tulla trzymała za obrozę naszego Harrasa, którego za pozwoleniem mojego ojca wolno mi było wziąć ze sobą.

Na jednej z kładek, które biegły wzdłuż i wszerz pod pomostem mola, na końcu ślepej kładki, a więc w ślepej uliczce, znalazłem obie. Zasłonięta przez krzyżulce i wsporniki, w białej sukieneczce, w zielonym, mieniącym się świetle, w półcieniu — nad nią: szurgotanie lekkich letnich butów; pod nią: kapanie chełbotanie bulgotanie poskrzypywanie — przycupnęła pulchna strapiona zapłakana: Jenny Brunies. Bo Tulla ją nastraszyła. Tulla kazała naszemu Harrasowi poliznąć Jenny po twarzy. I Harras usłuchał Tulli.

— Powiedz: gówno — powiedziała Tulla i Jenny powtórzyła za nią to słowo.

— Powiedz: mój ojciec pierdzi na okrągło — powiedziała Tulla i Jenny potwierdziła to, co profesorowi zdarzało się od czasu do czasu.

— Powiedz: mój brat kradnie, co popadnie — powiedziała Tulla.

Ale Jenny odrzekła: — przecież ja wcale nie mam brata, naprawdę.

Wtedy Tulla wyciągając rękę sięgnęła pod kładkę i wydobyła trzęsącą się, nie parzącą meduzę. W dwie dłonie musiała wziąć białawo szklisty budyń, w którego flakowatym środku zbiegały się niebiesko-fioletowe żyłki i gruzelki.

— Zjesz ją teraz i to tak, żeby nie zostało — rozkazała Tulla. — To nie ma żadnego smaku, no już. — Jenny ani się ruszyła, więc Tulla pokazała jej, jak się je meduzy. Wepchnęła w siebie dwie pełne łyżki, zbełtała w ustach galaretowatą masę i przez szparę między obydwoma górnymi siekaczami strzyknęła strużką brei tuż koło lewego ucha Jenny. Wysoko ponad mołem słońce zostało już nadgryzione przez czoło burzy.

— Widziałś, jak to się robi. Zrób teraz sama.

Twarz Jenny układała się do placzu. Tulla zagroziła: Mam kazać psu? — Zanim Tulla zdążyła poszczuć naszego Harrasa na Jenny — z pewnością nie zrobiłby jej nic złego — przywołałem go gwizdem do nogi. Nie od razu usłuchał, ale głowę wraz z obrozą zwrócił ku mnie. Miałem go. Na górę jednak, co prawda jeszcze w oddali, grzmiało. Tulla, tuż obok, płaśnieła mi pozostałość meduzy na koszulę, przepchnęła się i znikła. Harras chciał biec za nią. Dwa razy musiałem wołać: — Stój! — Lewą trzymałem psa, prawą ująłem dłoń Jenny i zaprowadziłem ją na przedburzowe molo, gdzie profesor Brunies i jego

uczniowie szukali Jenny wśród spłoszonych spacerowiczów, wołali: — Jenny! — i obawiali się najgorszego.

Jeszcze przed pierwszym porywem wiatru personel zdrojowiska ściągnął osiem różnych i cztery takie same flagi. Papa Brunies trzymał pałak wózka: wózek dygotał. Z góry spadły pierwsze krople. Walter Matern wsadził Jenny do wózka: dygotanie nie ustalo. Również kiedy znaleźliśmy schronienie i profesor Brunies rozdygotanymi palcami dał trzy słodowe cukierki, wózek wciąż dygotał. Burza, teatr wędrowny, nie szczędząc efektów szybko pociągnęła dalej.

Mojej kuzynce Tulli

przyszło na tym samym moło głośno wrzeszczeć. Wtedy umieliśmy już się podpisać. Jenny nie jeździła już w dziecięcym wózku, lecz małymi kroczkami chodziła, jak my, do szkoły Pestalozziego. Punktualnie nadeszły wakacje z uczniowskimi biletami, plażową pogodą i wiecznie nowym brzeźnieńskim mołem. Na dwunastu masztach flagowych moła łopotało teraz, kiedy wiał wiatr, sześć flag Wolnego Miasta i sześć flag ze swastyką, które należały już nie do zarządu zdrojowiska, ale do brzeźnieńskiej grupy partyjnej. A zanim wakacje się skończyły, przed południem krótko po jedenastej, utopił się Konrad Pokriefke.

Twój brat, Kędzierzawa Główna. Który śmiał się bezgłośnie, włączał się w śpiew, rozumiał wszystko. Nigdy już nie będzie rozmów na mię: łokcie, czoło, dolna powieka, palce skrzyżowane koło prawego ucha, dwa palce policzek przy policzku: Tulla i Konrad. Teraz paluszek odgięty w dół, ponieważ pod falochronem...

To była wina zimy. Dała się mocno we znaki konstrukcji moła lodem, odwilżą, krą i lutowymi burzami. Zarząd zdrojowiska co prawda jako tako wyszykował moło; pomalowane na biało i wyposażone w nowe maszty flagowe lśniło wakacyjnie, ale część starych pali, połamanych głęboko pod powierzchnią wody przez lawice lodowe i ciężkie fale przybojowe, sterczała jeszcze zdradziecko i przyniosła zgubę młodszemu bratu Tulli.

Chociaż kąpiel przy falochronie została w owym roku zabroniona, nie brakowało chłopaków, którzy przypluwając z dzikiej plaży brali sobie falochron za cel i traktowali go jak wieść do skoków. Siegesmund i Alexander Pokriefkowie nie wzięli brata ze sobą; sam popłynął za nimi po piasku, przebiegał rękami i nogami, jak się dało, i potrafił utrzymać się na wodzie, choć niezgodnie z przepisami. Cała trójka skoczyła razem z falochronu jakieś pięćdziesiąt razy i pięćdziesiąt razy się wynurzyła. Potem chłopcy skoczyli razem jeszcze siedemnaście razy i wynurzyli się tylko szesnastą raz. Nikt by tak szybko nie spostrzegł, że Konrad nie wypłynął, gdyby nasz Harras nie zachowywał się jak szalony. Z moła policzył kogo trzeba, biegał teraz po falochronie tam i z powrotem, poszczekiwał niepewnie tu i tam, w końcu stanął i zaczął skomleć ku niebu.

Akurat przybił parowiec wycieczkowy „Łabędź”; jednakże cały tłum stłoczył się po prawej stronie moła. Jedynie łodziarz, który nigdy niczego nie pojmował, nadal obwoływał swoje smaki: — Waniliowe, cytrynowe, marzankowe, truskawkowe, waniliowe, cytrynowe...

Tylko buty zrzucił Walter Matern i z balustrady moła skoczył na głowę. Zanurzył się dokładnie na wysokości owego miejsca, które wskazał Harras, najpierw skomlać, potem szurgając obu przednimi łapami. Eddi Amsel trzymał buty przyjacielu. Ten wypłynął, znów dał nurka. Na szczęście Jenny nie musiała na to patrzeć: profesor siedział z nią pod drzewami w parku zdrojowym. Dopiero z pomocą na przemian to Siegesmunda Pokriefke, to znów jakiegoś mężczyzny, który jednak nie był ratownikiem, udało się wydobyć głuchoniemego Konrada, którego głowa uwięzła między dwoma palami ufamanymi tuż przy dnie.

Ledwie położyli go na pomoście, pojawili się ratownicy z aparatem tlenowym. Parowiec „Łabędź” odezwał się po raz drugi i podjął swój wycieczkowy



G. Grass w Gdańsku w 1981 r.

Fot. K. Jakubowski

kurs. Nikt nie wyłączył łodziarza: — Waniliowe, cytrynowe, marzankowe... — Twarz Konrada była sina i obrzękła. Miał żółte dlonie i stopy jak wszyscy topielcy. Między palami skaleczył się w prawe ucho rozrywając sobie płatek: jasnoczerwona krew spływała na deski. Jego oczy nie chciały się zamknąć. Kędzierzawa czupryna pozostała pod wodą kędzierzawa. Wokół jego ciała, które po utopieniu wydawało się drobniejsze niż za życia, rosła kałuża wody. Podczas prób odratowania — zgodnie z przepisami podłączyli mu aparat tlenowy — zatykałem Tulli usta. Kiedy odłączyli aparat, ugryzła mnie w rękę i zagłuszając łodziarza długo potem wrzeszczała wniebogłosy, bo nie mogła już godzinami bezgłośnie rozmawiać z Konradem na mię, policzek przy policzku, posługując się palcami, dotykając czoła i czyniąc znak miłości: skrycie w szopie na drewno, chłodno pod pomostem moła, po kryjomu w rowach strzeleckich lub całkiem jawnie, a mimo to tajnie na ruchliwej ulicy Elzy.

Kochana Tullu,

Twój wrzask, jak się okazało, rozbrzmiewał i rozbrzmiewał: jeszcze dziś siedzi mi w uchu zachowując wniebogłosowy ton.

Naszego Harrasa przez następne dwa lata nie dało się zaprowadzić na falochron. Zostawał z Tullą, która również unikała moła. Jednomysłność tych dwójga poprzedziły pewne zaszłości:

Latem tego samego roku, lecz na krótko przed utopieniem się głuchoniemego Konrada podczas kąpiele, Harras został wezwany na krycie. Policja znalazła rodowód psa i raz lub dwa razy do roku przysyłała list podpisany przez podporucznika nazwiskiem Mirchau. Mój ojciec nigdy nie odpowiedział odmownie na te listy utrzymane w dość rozkazującym tonie; po pierwsze, nie chciał, zwłaszcza jako stolarz, zadzierać z policją; po drugie, krycie dokonywane przez takiego reproduktora jak Harras przynosiło za każdym razem niezłą sumkę; po trzecie, ojciec nie ukrywał, jaki jest dumny ze swego owczarka: kiedy obaj wyruszali na tę płatną ceremonię, każdy mógł sądzić, że to nie Harrasa, ale mojego ojca policja wezwwała do krycia.

Po raz pierwszy mogłem pójść z nimi: nie uświadomiony wprawdzie, ale swoje wiedzący. Ojciec mimo upału w garniturze, który właściwie wkładał tylko idąc na zebranie cechu stolarzy. Statecznie ciemnoszara kamizelka opinała mu brzuch. Na głowie miał welurowy kapelusz, w ustach jasnobarzowe cygaro z tych po piętnaście fenigów sztuka. Ledwie Harras został spuszczonej z łańcucha i unieszkodliwiony — jako że szło się do policji — przy pomocy kagańca, ruszył ostro dając dowód swej zadawnionej przyzwyczajonej polegającej na braku respektu dla smyczy: znaleźliśmy się na Strzyży Górnej szybciej, niżby to, sądząc po okazałej reszcie cygara, wydawało się możliwe. (cdn.)

Działalność Armii Krajowej na Pomorzu nie do-
czekała się jeszcze opracowania. Mało też znani są
dowódcy zgrupowań partyzanckich. O jednym z nich
— poruczniku Alojzym Bruskim „Grabie” pojawiają
się w literaturze, a zwłaszcza prasie obszernie
wzmianki, ale tylko wzmianki, albowiem ten legendar-
ny dowódca największego zgrupowania partyzanckiego
AK G-200 „Swierki” w Borach Tucholskich nie do-
czekał się pełnej biografii. Relacje partyzantów a tak-
że informacje czytelników nie oddają wprawdzie ca-
łej osobowości tego człowieka, ale jednoznacznie ak-
centują zarówno wolę walki, jak i bohaterską, pa-
triotyczną postawę. Ta ocena społeczna dowodzi, że
po upływie wielu lat od dramatycznej śmierci „Gra-
ba” nie wygasła pamięć o jego najpiękniejszych czło-
wieczych wartościach i że nadal zyskują one w ser-
cach wielu rodaków należną cześć. Ta jednomyślnie
pozytywna opinia została zamazana fałszywym obra-
zem zawartym w cyklu „Łuna nad Borami” Jerzego
Jaśkowiaka, zamieszczonym w „Dzienniku Wieczor-

nym”. (Wcześniej ten sam autor wspominał A. Brus-
kiego w dość ciepłych słowach). Jaśkowiak pisząc o
grupie Łupaszki przybyłej wiosną 1946 r. do Borów
Tucholskich i tam dopuszczającej się terrorystycznych,
rabunkowych napadów, między innymi podaje: „Łu-
paszko miał przez pewien czas ułatwione zadanie.
Przybywając do Borów Tucholskich trafił na gotową
bazę i dobre zaplecze, bowiem przystąpiła do niego
także część ludzi z okupacyjnego partyzanckiego zgru-
powania AK „Graba”, z samym zresztą Grabem, któ-
ry do dyspozycji Łupaszki oddał swoje leśne bunkry,
magazyny i nade wszystko rozległą sieć wywiadowczą,
którą dysponował w okresie walk z hitlerowcami”.
Powyższe twierdzenie jest kłamstwem. Jakże bowiem
aresztowany 7.06.1945 r., a potem stale więziony we
Wronkach, aż do wyroku śmierci 17.09.1946 r., Grab
mógł przekazać Łupaszce swoje agendy wiosną 1946
roku? Tej mistyfikacji, zmyślonemu kłamstwu odbiera-
jącemu godność i szacunek, urągającemu pamięci
zmarłego pragnę przeciwstawić prawdę.

SPEŁNIŁ ŻOŁNIERSKI OBOWIĄZEK

Henryk Szymanowicz

Jako zastępca i przyjaciel Graba chcę przedsta-
wić historię jego żołnierskiego życia. Pragnę poka-
zać, jak rodzinne gniazdo pielęgnujące religijne, ka-
szubskie, narodowe tradycje ukształtowało osobowość
i charakter tego syna ziemi pomorskiej. Pragnę po-
kazać, jak ten żołnierz z urodzenia służył ojczyźnie,
walczył w czasie kampanii wrześniowej 1939 roku i
wierny przysiędze wojskowej przeciwstawiał się oku-
pantowi, działając w konspiracji, a potem w party-
zance na Pomorzu.

Alojzy Bruski urodził się 7 kwietnia 1914 r. w Pie-
chowicach, w b. powiecie kościerskim. Tutaj w dzie-
ciństwie nauczył się miłości do ludzi i ziemi ojczys-
tej. Wypiełgnowana na chrześcijańskiej miłości reli-
gijność rodziny wpłynęła na życiową postawę Gra-
ba — żarliwą religijność, życzliwe otwarcie na wszyst-
kich ludzi.

Rodzice, Jan i Maria, utrzymywali się z gospodar-
stwa rolnego. Pomimo nie najlepszej, powszechnie zna-
nej trudnej sytuacji gospodarczej w rolnictwie, dzięki
wzajemnej troskliwości i pracowitości każdy z ro-
dzieństwa otrzymał zgodne ze swoim zamiłowaniem
wykształcenie. Alojzy od 1921 r. zaczął uczęszczać do
miejscowej dwuklasowej szkoły powszechnej, po ukoń-
czeniu której w 1925 r. zdał egzamin wstępny i został
przyjęty do Państwowego Gimnazjum Klasycznego w
Kościerzynie. Był wzorowym uczniem, maturę pisem-
ną zdał z wynikiem bardzo dobrym i został zwolniony
z egzaminu ustnego. W gimnazjum wstąpił do filo-
matów i drużyny harcerskiej im. gen. Józefa Hallera
(4.12.1927 r.). W drużynie pełnił różne funkcje, do
zastępowego włącznie. Jako aktywny druh otrzymał
9 sprawności harcerskich oraz instruktorskich. Tutaj
odbyło się jego prawdziwe przejście od dzieciństwa do
pełnej dojrzałości. Rzetelne wychowanie, solidna na-
uka i przyjęcie prawa harcerskiego za drogowskaz ży-
cia stworzyły fundament przyszłej drogi życia, której
najistotniejszym elementem było dobro ojczyzny. Nic
więc dziwnego, że po zdaniu matury w 1934 r. zgod-
nie z zamiłowaniem i fizycznymi predyspozycjami
postanowił poświęcić się służbie żołnierskiej. W 1934 r.
skierowany do odbycia czynnej służby wojskowej w
Szkołę Podchorążych Rezerwy w Różanej, już po

wstępnym okresie zaklasyfikowany został do zawo-
dowej Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Ma-
zowieckiej. Po trzech latach służby, w 1938 r. został
przydzielony do 72 pp w Radomiu. Tam służył aż do
wybuchu wojny, biorąc przedtem udział w mobilizacji,
zwłaszcza organizowaniu i zestawianiu nowych jed-
nostek wojskowych, kierowanych do miejsc koncen-
tracji. Kiedy już po przełamaniu bohaterskiego opo-
ru granicznego hordy hitlerowskie wtargnęły w głąb
rozpacziwione broniącego się kraju, w jednym z os-
tatnio sformowanych batalionów strzelców, cofają-
cych się ku Warszawie przed przeważającymi siłami,
znalazł się porucznik Alojzy Bruski. O udziale A.
Bruskiego w akcji bojowej prowadzonej dnia 15.09.
w miejscowości Miłosna, wspomina były dowódca 103
batalionu, kapitan Bronisław Góralczyk:

„... na bardzo wąskiej uliczce stała kolumna 6 sa-
mochodów pancernych, samochodów osobowych i 3 moto-
cykle. Wszystkie ustawione z isticie niemiecką syste-
matycznością, w ciasnym zgrupowaniu, zderzakami do-
tykając się wzajemnie. Załogi odpoczęwały. W tym
momencie przyszło nasze uderzenie. Moment zas-
koczenia był stuprocentowy. Niemcy nie zdążyli wró-
cić do samochodów pancernych, przez co nie mogli
użyć broni maszynowej ani sprzętu i ruszyć z miej-
sca. Popadali na ziemię i z krótkiej broni ręcznej
razili nas z odległości 6 metrów, dlatego straty
nasze były minimalne — 3 poległych. Gdy walka
rozgorzała, dowódca plutonu ckm porucznik Bruski
ustawił karabin maszynowy na skrzyżowaniu ulic,
w odległości 6 metrów od boku kolumny, i pocis-
kami przeciwpancernymi zniszczył całą kolumnę.
Kawałki opancerzenia leciały jak drzazgi. Porucznik
Bruski — »Kaszub« — prowadził ogień aż do wy-
czerpania amunicji, mimo iż pozostała obsługa ka-
rabinu już nie żyła. Karabinowy i taśmowy tu właś-
nie polegli. Straty nieprzyjaciela 7 zabitych, w tym
generał von Fritsch — jeden z trzech oficerów, któ-
rych widziałem na skrzyżowaniu ulic przed rozpo-
częciem walki”.

Po bezskutecznym oporze, gdy wojska hitlerow-
skie opanowały kraj, porucznik Alojzy Bruski —
tak jak wielu wówczas żołnierzy tułaczy — uniknął

niewoli i przedostał się na Pomorze. Tu jednak ze względu na powszechnie szalejący terror, jako zawodowy oficer nie mógł powrócić do rodzinnego domu, zwłaszcza że rejon Kaszub zamieszkiwało sporo Niemców żądnych odwetu. Zatrzymał się u krewnych w Tczewie i tu, przy wydanej pomocy narzeczonej oraz przyjaciół, udało mu się zalegalizować swój pobyt na stałe. Niebawem po otrząśnięciu się z gorzkiej klęski, wierny przysiędze wojskowej spełniał swój żołnierski obowiązek — organizował na Pomorzu walkę podziemną.

W niezwykle trudnych, specyficznych warunkach konspiracyjnego działania na Pomorzu, opierając się o grono przyjaciół i bliskich znajomych, przyjmując pseudonim „Drwał”, zorganizował oraz kierował obwodem ZWZ-Tczew, rozbudowanym w miarę wzrostu organizacyjnego do Inspektoratu AK tczewsko-chojnickiego. W trakcie akcji scaleniowej na podległym terenie utrzymywał ożywione kontakty z Tajną Organizacją Wojskową „Gryf Pomorski” i osobiście spotykał się z ks. płk. Józefem Wryczą. Ponadto nawiązał kontakty z Polską Armią Powstania, której szereg, niestety, były już penetrowane przez agentów gestapo. To ostatnie wydarzenie błyskawicznie wykorzystali organa tajnej policji niemieckiej, usiłującej wytropić nie rozpoznane dotąd szeregi AK. Okazało się, że akcja scaleniowa wymagała największego ryzyka osobistego bezpieczeństwa, bowiem policja rzeczywiście miała rozstawione sidła pułapki, doprowadzając wiosną 1943 r. do licznych aresztowań na terenie Tczewa, w następstwie czego został również zdekonspirowany „Drwał”. Spalony w pracy organizacyjnej, musiał przejść na inny teren. Rozkazem Komendy Podokręgu Północno-Zachodniego — „Mosięż” z początkiem maja 1943 r. porucznik Alojzy Bruski ps. „Grab” został dowódcą zgrupowania partyzanckiego AK „Swierki”.

Oddział w sile około 30 ludzi, stacjonujący w rejonie Lipinek, przejął od jego dotychczasowego komendanta Stefana Gussa „Dana”, który został skierowany na stanowisko oficera organizacyjnego inspektoratu chojnickiego — obwódów Sępólno-Tuchola, z jednoczesnym zadaniem utworzenia w rejonie Cekcyna nowego oddziału partyzanckiego. Te organizacyjno-personalne rozwiązania okazały się bardzo rozsądne. Wysokiej postury „Dan” miał w sobie coś z watażki, co dodawało mu, jako dowódcy oddziału partyzanckiego, swoistego splendoru. Jednakże ten oficer czasu wojny nie miał odpowiedniego przeszkolenia wojskowego i stąd kwestie związane ze szkoleniem oddziału były zaniedbywane. Grab natomiast, jako oficer zawodowy, z właściwą starannością przystąpił do praktycznego szkolenia bojowego, kładąc szczególny nacisk na morale całego oddziału. Te działania, przyciągające jak magnes, skupiły wokół Graba różne luźne grupy ludzi ukrywających się przed aresztowaniami w lesie. Wkrótce po przeszkoleniu i zreorganizowaniu grupy te zostały przekształcone w pododdziały i oddziały zgrupowania partyzanckiego AK Graba i niebawem stały się pełnowartościowymi jednostkami bojowymi.

Kim był Grab? Gdy pierwszy raz ujrzałem Graba u mnie na punkcie w „Katakumbach”, gdzie przybył wraz z ppor. „Michałem”, wówczas komendantem Inspektoratu Bydgoszcz, dla omówienia przebiegu na „Bory”, nigdy nie przypuszczałem, że po upływie roku, uwikłany w akcję scaleniową, dotknięty dekonspiracją, zmuszony będę jak on szukać schronienia w Borach Tucholskich. Niestety, ostatnie półrocze 1944 r. było okresem wyjątkowo nielaskawym dla partyzanckiego bytowania, gdyż Pomorze stanowiło już zaplecze dla niemieckich tyłowych formacji frontowych. Zatem i w Borach Tucholskich nasyconych zewsząd hitlerowcami nasze zgrupowanie, współpracujące z jednostkami desantowymi polsko-radzieckimi, zwłaszcza por. Kazimierza Waluka „Żelaznego”, coraz częściej musiało stawać czoła licznym oblacom oraz wykonywać coraz trudniejsze zadania. Zwłaszcza intensywna praca radiostacji przekazujących do centrali informacje wywiadowcze stała się przedmiotem namiarów przez samochody radiopelengacyjne a nawet samoloty. Specyficzne warunki partyzanckiego bytowania — trwanie na zapleczu, wśród wojsk nieprzyjacieli-

skich — przewyższały w skali trudności wysiłek żołnierza frontowego, który miał przecież za sobą wolny kraj oraz bezpośrednie zaplecze, gwarantujące zaopatrzenie, pomoc lekarską i opiekę szpitalną. Piszę o tym dlatego, by uzmysłwić, ile wysiłku fizycznego i psychicznego musiał wykrzesać w sobie walczący często w beznadziejnych sytuacjach partyzant, ten z Borów Tucholskich również. Piszę także dlatego, by pokazać, jak przeżycia okupacyjne stały się źródłem naszej przyjaźni. Przyjaźni najszlachetniejszej, opartej na braterstwie wspólnie przelewanej krwi, znajdującej potwierdzenie w codziennym przeżywaniu wspólnego trudu, wysiłku i nieszczęścia jako ostatecznego próbnika prawdy.

Dzisiaj, gdy rozmyślam po przeszło 40 latach o tamtych czasach, jawi się zawsze przede mną postać Graba: średniego wzrostu (około 175 cm) i przeciętnej wagi (około 75 kg), ze skoordynowaną precyzją wszelkich ruchów, objawiającą się zwłaszcza w równym, zdecydowanym, typowym dla osób wojskowych kroku. Była to zresztą typowa sylwetka dobrze prezentującego się oficera zawodowego. Z sylwetką harmonizowały regularne rysy twarzy, z głęboko osadzonymi w ciemnej oprawie oczami i czarną, lekko już siwiejącą czupryną.

Jego stosunku do podwładnych nie można nazwać serdecznie wylewnym, ale poczesne miejsce w odnośniku do ludzi zajmowała zawsze głęboka życzliwość, twarda i męska, jak wszystko u niego. Trudne warunki życia partyzanckiego starał się łagodzić wprowadzając do oddziału atmosferę rodzinnej życzliwości, zarówno w relacjach służbowych, jak i współżyciu koleżeńskim. Dla starszych wiekiem i tych, którzy byli żołnierzami września lub posiadali przeszłość, zawsze był bratem, młodszym okazywał opiekunczą, wręcz ojcowską troskliwość. Nie traktował podporządkowanych sobie partyzantów jak rekrutów lub szeregowców powołanych do wojska, ale jako rzeczywistych ochotników — bliskich jego sercu przyjaciół. Dbał nie tylko o wyszkolenie bojowe swoich partyzantów, ale także o właściwe wyżywienie, zaopatrzenie i zakwaterowanie oddziału. Starannie wybrane w terenie miejsca stałego postoju były odpowiednio zagospodarowane. Oprócz ziemianek — miejsc kwaterunkowych — kopano studnię, budowano schrony, magazynek żywnościowy oraz kuchnię zdolną przygotować w czasie dnia 3 posiłki, w tym smaczne obiady przyrządzane przez znakomitego kucharza „Franca”. Nie opodal obozu, w dyskretnym miejscu, znajdowało się zawsze urządzenie sanitarne zwane latryną. Nie zapominał też Grab o potrzebach duchowych swoich partyzantów, zwłaszcza sferze religijnej. W miejscu stałego postoju zewnętrznym wyrazem wiary ojców był duży, około 3-metrowej wielkości krzyż brzozy, u stóp którego na podwyższeniu z pnia stała mała statua Najświętszej Marii Panny Królowej Polski (ofiарowana przez ks. Jana Ożgę — konspiracyjnego duszpasterza opiekującego się Obozem Pracy w Potulicach). Obowiązek przestrzegania ciszy powodował, że podczas codziennych apeli nie śpiewano, lecz odmawiano „Kiedy ranne wstają zorze”, a wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy” oraz „Rotę”. W ostatnim półroczu 1944 roku, gdy nasilające się walki zmuszały oddział do ciągłych przemieszczeń, zdarzały się przypadki, że Niemcy, po wtargnięciu do opuszczonego przez nas obozu, znieważali i niszczyli krzyże. Nie chcąc dopuszczać do profanacji, zaniechaliśmy kontynuowania tych niewątpliwie pięknych żołnierskich tradycji. Z inspiracji Graba obozowe ogniska przesiąknięte były treściami patriotycznymi, zbiorowo nucono pieśni narodowe, ludowe, żołnierskie. Miały też akcenty żartobliwe. Powszechną wesołość potrafił wzbudzić „Tolek”, mający predykcje komiczne. Jego wystąpienia pełne nieprzeciętnego dowcipu wzbudzały zawsze największy aplauz.

Grab był gorącym patriotą, wielbicielem gen. Władysława Sikorskiego i czuł się jego żołnierzem. Kontynuował powszechną zasadę apolityczności wojska, do której był przyzwyczajony nie tylko z racji spełnianej służby oficera zawodowego i późniejszych zaleceń naczelnego wodza gen. Władysława Sikorskiego, ale przede wszystkim z własnej natury, absolutnie nieskorej do uprawiania zawilich dywagacji politycznych, wszelkiego jątżenia, intryg oraz zawiś-

ci osobistych i partyjnych. Nie słowem, ale czynem zbrojnym dawał dowody głębokiego patriotyzmu i mógł bez obawy powtarzać wypowiedziane przez naczelnego wodza słowa: „Bóg patrzy w serce moje i zna intencje, które są czyste a jedynym dążeniem



Alojzy Bruski „Grab”

jest wolna Polska. Ku tej Ojczyźnie was prowadzę i za pomocą Bożą — doprowadzę”. I rzeczywiście, na Pomorzu, w Borach Tucholskich, Grab i jego zgrupowanie partyzanckie coraz bardziej stawało się symbolem Polski walczącej. Jednakże naszkicowana osobowość Graba nie byłaby pełna, gdybym pominął jego wizję przyszłej, wolnej Polski. Pomimo wspomnianej awersji politycznej, jako człowiek inteligentny doceniał rolę i znaczenie politycznego działania zwłaszcza na arenie międzynarodowej. Był realistą i zwolennikiem głębokich przeobrażeń społeczno-gospodarczych w naszym kraju. Opowiadał się za przekształceniem państwa na struktury demokracji ludowej. Graba wizja pokrywała się ze słowami pieśni powszechnie śpiewanej przez przybyłych w okresie późniejszym żołnierzy grup desantowych polsko-radzieckich, a zapowiadającej, że: Będzie wielka rzecz, pospolita rzecz, potęga wyrośnie z nas na pochwałę wsi, na pochwałę miast... i że szklany stanie dom, a potem... w oku błysnie Iza”.

Grab nie był żadnym szowinistą narodowym ani nacjonalistą. Zasady szeroko pojętego humanizmu jakie wyniósł z domu, skłaniały go do poszanowania każdego człowieka, bez względu na pochodzenie, rasę, wyznanie czy wykształcenie; oscylowały raczej w kierunku internacjonalizmu. Najlepszym przykładem był nasz oddział partyzancki, skupiający uciekinierów z niewoli 5 jeńców radzieckich, 1 Francuza, 1 Anglika i 1 Austriaka — traktowanych bez jakichkolwiek dyskryminacji, na równych prawach i obowiązkach z pozostającymi w oddziale Polakami. Jednak Grab, tak jak każdy prawy Polak, wyniósł z domu rodzicielskiego przekonanie o godności narodowych wartości, którą łączył z honorem osobistym i, jak mało kto, rozumiał znaczenie polskiej tożsamości narodowej, religijnej, kulturowej. Sam skromny, lubił skromność i nie cierpiał lizusostwa, wazelinarstwa oraz nienawidził blagierstwa. Nie znosił snobów i pyszałków. Nienawidził drobniaków zatruwających życie. Ucząc wyjaśniał, że z każdej sprawy należy wyluskać istotę, a reszta musi się dostosować do tego jednego zagadnienia. W czasie repetycji szkoleniowych cenił zawsze myśl najprostszą, ale własną i nie lubił recytacji regulaminowych. Zasady uni-

tarnego szkolenia żołnierskiego zastąpił z braku podręczników opracowanym przez siebie zarysem ćwiczeń partyzanckich, które systematycznie wprowadzał w życie. Objęta podstawowym szkoleniem musztra daleko odbiegała od koszarowych wzorców, kroku defiladowego tudzież innego paradnego drylu — stanowiła zaledwie lekkie muśnięcie władania bronią, formowania niezbędnych szyków zwartych i była jedynie przejawem obowiązującej dyscypliny oraz zewnętrznej spójności oddziału. Znacznie staranniej zajmowano się sztuką precyzji celowania.



Przysięga w Szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej w 1934 r.

Do szczególnej perfekcji doprowadzono celność rzutu granatem, wpajając przekonanie, że jest to jedyna artyleria partyzanckiego zasięgu, która nawalał swego ognia może przełamać pierścień wroga i ułatwić wyjście z okrążenia. Najwięcej jednak zapалу poświęcano ćwiczeniom bojowym, uwzględniającym specyfikę operatywnych działań w lesie, następujących z reguły w starciach bliskich, gwałtownych, zaskakujących. Doskonalono więc bystrość spostrzegania, umiejętność maskowania i zajmowania odpowiedniego stanowiska ogniowego w zależności od konfiguracji terenowej, co ogólnie rzecz biorąc wyrabiało nawyk szybkiego reagowania. Na podstawach wyjściowych, w przyjętych szykach bojowych — tyralierze, roju — zwracano uwagę na współdziałanie ogniowe poszczególnych sekcji, grup. Elementarne obowiązki służby wartowniczej zostały pogłębione czynnościami czujki, jako ubezpieczenia placówki — oddziału na postoju. Wskazywano na doniosłe znaczenie patroli rozpoznawczych, spełniających często zadania samodzielnych oddziałów zwiadowczych, na rolę szperacza ubezpieczającego szpicę, oddział w marszu. Umiejętności bojowe — zwiadowcze podbudowano przeszkoleniem dywersyjno-sabotażowym oraz uzupełniono niezbędnymi wiadomościami z zakresu terenoznawstwa i topografii, a więc odczytywania mapy, orientacji terenowej, marszu na określony azymut itp. Wiadomości i nawyki bojowego działania były w codziennej praktyce nie tylko sprawdzane, lecz pogłębiane, bowiem patrole wysyłane w celach zwiadowczych, aprowizacyjno-rekwizycyjnych wykonywały swe trudne obowiązki przeważnie nocą, w ciężkich warunkach terenowych i atmosferycznych, podczas deszczów, silnych mrozów lub zamieci śnieżnych. Stąd też Grab wyznaczając poszczególnym patrolom zadania pozornie ponad siły i możliwości, nie tylko wychowywał podwładnych, ale, co ważniejsze, nie pozbawiał ich satysfakcji z samodzielnego wykonywania często nie banalnych i prostych obowiązków. Jednakże ostatecznej weryfikacji umiejętności i cnót żołnierskich dokonywała walka, zwłaszcza w przypadkach okrążeń. Biorąc udział w walkach miałem okazję obserwować reakcje Graba zarówno w czasie z góry przygotowanych przez nas akcji bojowych, jak i w nagłych, narzuconych sytuacjach — zaskoczeń, pułapek, okrążeń. W każdej sytuacji okazywał się świetnym dowódcą, zachowującym spokój, opanowanie, właściwą ocenę położenia,

a w samym działaniu realizm, zimną odwagę i duże doświadczenie. Rozkazy wydawał krótkimi, precyzyjnie wypowiedzianymi zdaniami. Te cechy wpływały na morale podwładnych, ujawniającym się w żołnierskim brawurowym zawołaniu: „wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”.

Niemcy z reguły przystępowali do akcji w sposób stereotypowy, dobrze nam znany, przy tym działając z „duszą na ramieniu” popełniali wiele błędów. Nie chcę opisywać wszystkich dramatycznych starć, przytoczę dalej tylko trzy najbardziej charakterystyczne akcje bojowe, aby lepiej zobrazować osobowość Graba i jego zdolności dowódcze. Najpierw jednak syntetycznie zilustruję taktykę Niemców i stosowaną przez Graba koncepcję. Przeciwnik, kompleksowo przeczesując oddzielone od siebie dukami leśnymi poszczególne kwartały — działki młodnika ustawiał na przeciwnych skrzyżowaniach ciężkie karabiny maszynowe, z których każdy strzelaniem na wprost blokował dwie przesieki, tworząc w ten sposób zwartą ze wszystkich stron zapórę ogniową, bez ryzyka rażenia własnych pozycji. Okalające z trzech stron linie leśne były obsadzone szczerlnie kordonem, a od nasady utworzonego w ten sposób worka wkraczała tyraliera uzbrojonych po zęby hitlerowców. Aby wyjść z owych matni przystępowaliśmy do kontrataków, które polegały na trójęzłonowym równoczesnym paraliżującym działaniu. Przede wszystkim na pierwsze starcie z nami narażała się wkraczająca w głąb gęsto porośniętego młodnika tyraliera wroga, która, po dopuszczeniu na bardzo krótką, zaledwie kilkumetrową odległość, stanowiła dla nas doskonale ukrytych (na linii obrony) widoczny, łatwy do pokonania cel. Zwykle nasze opanowanie do ostatniej chwili, precyzyjne strzelanie i wola walki stanowiły dostateczny cios obezwładniający przeciwnika, szerzący przerażenie, zamieszanie i w konsekwencji ucieczkę. Niektórzy z partyzantów, aby spętować groźbę położenia, dołączali swoje okrzyki w języku niemieckim do wzywających pomocy Niemców oraz wykrzykiwali myłace komendy, które dodatkowo paraliżowały i dezorganizowały oddziały niemieckie. Równolegle, nie mniej ważne zadanie realizowała 5-osobowa sekcja ukryta na skraju zagajnika, która z odległości 60—80 metrów ogniem erkaemu i strzelców wyborowych wiązała dla odwrócenia uwagi stanowisko nieprzyjacielskiego ckm, znajdujące się na skrzyżowaniu dróg. Po tym przygotowaniu następowała trzecia, najważniejsza faza, przesadzająca o przełamaniu okrążenia i wyjściu z kotła. Grab wychodził ze słusznego założenia, że oddział do ostatecznego szturmu należy koncentrować na przyległym boku skrzyżowania, w odległości około 50 metrów od nieprzyjacielskiej obsługi ckm, zaabsorbowanej wymianą ognia z sekcją naszego rkm, którą w pierwszej kolejności należało zlikwidować, aby nie zagrażała oddziałowi ogniem przy przekraczaniu duktu. Końcowy przebieg operacji polegał na celnym obrzuceniu granatami stanowiska ckm przez dwóch najlepszych miotaczy oraz zdecydowanym poderwaniu do szturmu całego oddziału, który po przekroczeniu przesieki z brawurowym okrzykiem rzucał się na przeciwnika i likwidował najbliższą linię bocznego ubezpieczenia wroga. Zdezorientowany nieprzyjaciel zatracał na chwilę zdolność manewrowania, co nam wystarczało dla oderwania się od pogoni. Znacznie gorzej bywało w okresie zimy, kiedy na śniegu pozostawały ślady, wówczas nasze oderwanie miało charakter bardziej dramatycznych zmagani. Należy jednak przyznać, iż okrążenia zdarzały się bardzo rzadko, gdyż czujki ubezpieczające miejsce postoju w porę sygnalizowały zbliżającego się nieprzyjaciela, co pozwalało na podjęcie kontrakcji zaskakującej wroga jeszcze przed dokonaniem zamierzonego przez niego manewru. Równocześnie wykorzystywaliśmy nasze trafne spostrzeżenia z dotychczasowych poczynań nieprzyjaciela, który do ostatniego półroczu wojny przeczesywał las z iście niemiecką pedantycznością i systematycznością, ale tylko na ściśle określonym terenie administracyjnym, w obrębie jednego powiatu. Wystarczyło zatem podczas trwania nasilonych obław w powiecie świeckim przejść granicę sąsiedniego powiatu, np. starogardzkiego, by korzystać z bezpiecznego spokoju.

Najlepiej jednak nasz partyzancki matecznik (miejsce postoju) zabezpieczała doskonale zorganizowana sieć ochronna, która we właściwym czasie przekazywała bezbłędnie informacje o zamiarach wroga, zwłaszcza o interesujących nas obławach. Celowała w tym pełna osobistej uroki Niemka polskiego pochodzenia — Ani Bunge ps. „Hela”, która rozkończając wielu „Leutnantów” potrafiła od swych wielbicieli wydobyć czule przeproszenia, że nie będą mogli przybyć w określonym terminie na spotkanie, gdyż muszą w rejonie... przeprowadzić obławę przeciwko polskim bandytom. Wiele bezcennych informacji przekazywali współpracujący z nami leśnicy — Cieślik z Dębowego i Gilgenazt z Kotówki. Niemcy bowiem dla uniknięcia wszelkich zakłóceń związanych z organizowaniem obław z reguły uprzedzali o nich właściwych leśników, zakazując dokonywania w danym dniu i rejonie wszelkich prac leśnych. Oczywiście sygnały te były przez nas skrupulatnie wykorzystywane. Zwykle nocą opuszczaliśmy narażony na przeczesywanie teren, aby o świcie zająć bezpieczny kwartał leśnego młodnika, w sąsiedztwie którego kontynuowane były roboty związane z gospodarką leśną. Bardzo ważnym źródłem informacji były rozmowy telefoniczne niektórych leśników — partyjnych Niemców, podsłuchiwane umiejętnie przez leśniczego Cieślika, u którego właśnie znajdowała się centralka łącząca poszczególne leśnictwa. Nieocenione usługi oddawała nam wspaniała konspiratorka, pani Jadwiga Bogdańska pracująca w gminie Przewodnik. Wraz z mężem Kazimierzem i synem Władysławem, zwanym przez nas „Mackiem”, otaczali partyzantów wyjątkową serdecznością i dobrocią. Ich gorącą miłość do Ojczyzny, serdeczna troska i poświęcenie zasługują na wieczną, już pośmiertną, pamięć. Mały pastuszek „Maciek”, wypędzający na leśną polanę krowy, był ostatnim ogniwem łączności. Zawsze w porę potrafił podrzucić w umówione miejsce — przy mostku na drodze do Starej Huty — ważne, interesujące meldunki. Ale nie tylko ci, wymienieni z wdzięcznością, byli oczami i uszami naszego partyzanckiego zgrupowania. Od 1941 roku istniała prężna placówka AK w Lipinkach, której byłem założycielem. Funkcję komendanta pełnił Józef Piechocki „Borowiak”, zastępców: Stefan Czerwiński „Mleczarz” i Bronisław Manikowski „Kruźel”, którego wspierała żona Benedykta „Dziedziczka”. Aktywnymi uczestnikami ruchu oporu byli również Boninowie, Kwaśniewscy, Cukras, Gwizdała i wielu, wielu innych. Dzięki ich ofiarnej i wszechstronnej pomocy otrzymywaliśmy w najtrudniejszych warunkach podstawowe produkty żywnościowe — ziemniaki, mąkę, kaszę i inne reglamentowane towary. W ich domach były punkty kontaktowe, przerzutowe, meliny na składowanie amunicji, środków opatrunkowych itp. Do rodziny Koper „Emilki” w Warlubiu przewożono z Bydgoszczy pocztę kurierską. Wszyscy oni byli współautorami naszej działalności. (cdn.)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli cenisz sobie „Pomeranie” i chcesz pismu pomóc, to skłoń swego przyjaciela, bliską osobę do zaprenumerowania naszego miesięcznika.

Opłata na cały rok wynosi
960 zł.

Kwotę tę można wpłacać przekazem pocztowym na konto Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego: PKO I O/M Gdańsk nr 19510-5890-132.

Pierwsza biografia Sługi Bożego Konstantyna Dominika

Józef Borzyszkowski

Postać Sługi Bożego ks. bpa Konstantyna Dominika (1870—1942) żywa jest wciąż w świadomości i serdecznej pamięci mieszkańców rodzinnych Kaszub i całego Pomorza, przede wszystkim w diecezjach chełmińskiej i gdańskiej, na terenie których spędził swoje skromne i pracowite życie. Będąc kandydatem na ołtarze czczony jest jako człowiek święty, a jego życie budzi zainteresowanie współczesnych. Pisano o nim dotąd często i sporo, ale wyłącznie na łamach prasy. Ks. dr Henryk Ormiński napisał i wydał własnym sumptem pierwszą i obszerną biografię, która powinna dotrzeć do licznych czytelników, przede wszystkim tych z Pomorza, ale również z głębi kraju.

Ks. bp K. Dominik urodził się w rodzinie chłopskiej, jako syn soltysa w Gnieździe, należącego do nadbałtyckiej parafii swarzewskiej, w której kościele króluje Patronka Polskiego Morza i Kaszubskich Rybaków, koronowana przed 50 laty Matka Boża Swarzewska. Był wychowankiem słynnego pelplińskiego Collegium Marianum i absolwentem gimnazjum chełmińskiego. Po ukończeniu Seminarium Duchownego w Pelplinie pracował jako wikariusz w parafii św. Ignacego w Gdańsku-Oruni. Rychło zauważono jego zalety i mianowano w 1898 r. kapłanem klasztoru i szpitala sióstr miłosierdzia w Chełmnie oraz katechetą tamtejszego liceum żeńskiego. Z chwilą powstania konwiktów dla uczniów męskiego gimnazjum chełmińskiego słynnego z działalności filomackiej, doszły obowiązki prefekta. W 1911 r. powołano go na stanowisko subregensa (wice-rektora) i ojca duchownego Seminarium w Pelplinie, gdzie w 1920 r., po powrocie Pomorza do Polski, przejął funkcję rektora. Już wówczas wychowankowie

uczelnii uznali go za wzór wychowawcy i kapłana. W 1928 r. został biskupem sufraganiem diecezji chełmińskiej, najbliższym współpracownikiem ordynariusza ks. bpa Stanisława Okeniewskiego. Wśród treści licznych telegramów gratulacyjnych, które przywołuje autor książki, znaleźć można słowa: „Pan Bóg znać wysłuchał gorących próśb kapłanów i wiernych, że dał nam Ciebie, najukochańszy z wszystkich księży” (s. 130). Jako biskup nadal ujmował ludzi swoją pracowitością, dobrocią, życzliwością i pokorą, zgodnością słów i czynów. Będąc już schorowanym człowiekiem przeżył tragiczny polski wrzesień i „pelplińską jesień” 1939 roku, kiedy to hitlerowcy zamordowali prawie wszystkich księży w stolicy diecezji. Nie opuszczając domu pozostawał duchowym przewodnikiem żyjących kapłanów diecezji chełmińskiej. W styczniu 1940 roku na rozkaz Gauleitera Alberta Forstera wywieziono go do szpitala w Gdańsku. Wywiezienie to potraktowano powszechnie jako formę uwięzienia. W kwietniu 1940 r. ks. bp Dominik umieszczony został jako kapłan u sióstr elżbietanek przy Rynku Siennym (Plac 1 Maja), gdzie odwiedzali go rodacy, także uczestnicy pomorskiego ruchu oporu — Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Kaszubski” (później „Pomorski”). Zmarł w szpitalu NMP (klinika przy ul. Kieturakisa) po spóźnionej operacji wyrostka robaczkowego, 7 marca 1942 r. Pochowany został tymczasowo na cmentarzu parafialnym w Gdańsku-Oruni. W 1949 r. po ekshumacji spoczął uroczystie na cmentarzu w Pelplinie, obok zamordowanych kolegów — członków kapituły chełmińskiej. Jego mogiła od początku jest celem licznych indywidualnych i zbiorowych pielgrzymek.

obsamętóny — opętany
obsąd — wyrok, osąd
obsądzony — skazany
oskarżyciel — oskarżyciel
obstojec — wytrwać, przetrwać, ostać się
obszacować — oszacować, wycenić, ocenić
obszólęc — oszukać, okpić
obszterkowac — zwlekać, opóźniać
obszterkowanie — zwłoka, zwleknięcie,
ociąganie się
obucé — szaty, ubiór, odzież
obuti — odziany, ubrany
od pokónów — od początku świata
odczidka — riposta, cięta odpowiedź
oddawac — 1. oddawać, zwracać; 2. odbijać, odtwarzać: obraz, myśli, głos
oddżekowac so — pożegnać się
oddżekowanie — pożegnanie
odecknac — ocknać się, obudzić się
odkazac — zawiadomić
odwiadowac — odwiedzać
oderac — oglądać, czerpać wiadomości przez obserwację
ogadowac so — odpiierać zarzuty, bronić się słownie

jedniô — jedność, zjednoczenie się
jednorodnota — jednorodność, jednolitość
jelë — jeśli, jeżeli
jeżlë — ob. jelë
jigo — jarzmo
jistno — tak samo, podobnie
jistny — taki sam, podobny
jiwerno — ob. jistno
jiwerny — ob. jistny
juwerno — ob. jistno
juwerny — ob. jistny
kamisti — kamienisty, skalisty
kamizna — skała, kamienne podłoże
karno — grono
kawle — losy
kask (-a) — trochę
klepac — pukać
klëczné — jałmużna, datek dla ubogich
klôdci — kajdany, więzy
knap — ledwie
khëga — księga
knëzka — książka
ko — przecież, toć
kocô wiara — sekta

W latach 1964—1965 odbył się w Pelplinie proces informacyjny z myślą o beatyfikacji. Od tego czasu proces toczy się w Rzymie. Bp Dominik ogłoszony Sługą Bożym darzony jest wzrastającą czcią: mnożą się działania i modlitwy o rychłą jego beatyfikację. Do oczekiwanego przez wiernych faktu ma również przyczynić się omawiana książka.

Praca ks. Ormińskiego jest obrazem życia Sługi Bożego, zachowanym i pielęgnowanym w pamięci jego najgorętszych czcicieli, pokazanym jednak na tle dziejów Pomorza w XIX i XX wieku, z szczególnym uwzględnieniem wątków narodowego i religijnego, zwłaszcza zmagani miejscowej społeczności polskiej z germanizacją w okresie zaboru i eksterminacją w latach hitlerizmu. Nie jest to jednak monografia ściśle naukowa ani historyczna, stanowi przykład współczesnej hagiografii. Kontynuuje, można powiedzieć, dobre (J. I. Kraszewski swego czasu powiedział wzorowe) tradycje Pomorza w zakresie tworzenia tzw. literatury dla ludu, składają zawsze potrzebnej a zamiebaney w ostatnim półwieczu.

Ks. Ormiński pracując w duszpasterstwie na Kaszubach ukończył na KUL-u studia i doktorat z zakresu socjologii. Niedawno osiadł w Kartuzach. Jako wiejski proboszcz dokładnie poznał rodzinne strony ks. bpa Dominika a także jego obraz zachowany wśród najbliższych ziomków. Książka napisana jest w stylu kaszubskim, czyta się ją wartko (nie-liczne przypisy) i z zainteresowaniem, choć niekiedy ze zmiennymi wrażeniami. Autor bowiem świadomie oddziałuje na uczucia czytelnika.

Baza źródłowa prezentowanej biografii jest dość jednorodna, ale bogata. Ks. Ormiński przywołuje przede wszystkim wspomnienia pośmiertne, opublikowane po II wojnie światowej przez przyjaciół i wychowanków Sługi Bożego, takich jak: ks. prof. dr Tadeusz Glemma, ks. dr Franciszek Jank, ks. prof. dr Antoni Liedtke i ks. dr Franciszek Manthey. Wymienia też biografie Klemensa Derca — znanego działacza kaszubskiego, zmarłego przed kilkunastu laty kuzyna biskupa, której maszynopis przechowywany jest w zbiorach Biblioteki Gdańskiej PAN. Ci, którzy znają opracowanie K. Derca zauważą, iż stanowiło ono pierwszorzędne źródło dla autora omawianej książki. Poza tym autor bardzo często powołuje się na liczne

relacje — znajomych, ziomków, krewnych i czcicieli ks. bpa Dominika, z sędziwym i twórczym ks. kan. Józefem Grützmacherem (obecnie w Kartuzach) na czele. Materiał uzupełniający czerpie też z literatury historycznej, częściej raczej tej dawnej i popularno-naukowej. Można by tę książkę potraktować jako dzieło historyczne, naukowe i wytykać różne niedostatki warsztatowe, niezgodności w chronologii i faktografii, dotyczące przede wszystkim tła losów bohatera czy też jednakowe traktowanie realnych faktów i subiektywnych odczuć ludzi reprezentujących pokolenie odeszłe i współczesnych. Nie sądzę, by była to właściwa droga. Mamy bowiem do czynienia nie tyle z opracowaniem historiograficznym, co właśnie z hagiografią, a tej przysługują nieco inne prawa.

Książka ks. dr H. Ormińskiego wypełnia znacznie dotkliwą lukę przede wszystkim w literaturze historycznej i hagiografii pomorskiej, jednocześnie uzmysławia pilną potrzebę podjęcia naukowych badań dotyczących życia ks. bpa K. Dominika i Kościoła na Pomorzu w XIX i XX wieku. Ale już w obecnej postaci stanowi niezły punkt wyjścia do powstania naukowej biografii Sługi Bożego. Zasoby źródłowe i literatura, do której nie dotarł autor omawianej książki, są być może bogatsze niż te wykorzystane. Myślę przede wszystkim o aktach zgromadzonych w czasie procesu informacyjnego i innych przechowywanych m.in. w Rzymie. Trzeba też sięgnąć do zasobów Archiwum Diecezji Gdańskiej w Oliwie i zbiorów archiwów państwowych w Gdańsku i Bydgoszczy. Przykłady wykorzystanych przez ks. Ormińskiego materiałów archiwów parafialnych Kiełpina i Kartuz wskazują także dalszy kierunek poszukiwań. Kwerenda musi objąć również prasę. Postać ks. bpa Dominika jest szczególnie interesująca m.in. jako przykład dość rzadkiego na Pomorzu i w Polsce łącznika zwaśnionych, często jednoznacznie wrogich, społeczności polskiej i niemieckiej, cieszącego się u swoich także opinią gorącego patriotę małej ojczyzny — Kaszub i wielkiej — Polski (odznaczony Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta), a także szacunkiem Niemców. Tym samym w Kościele może być ks. bp Dominik patronem swojej rodzinnej ziemi i działań zmierzających do pielęgnacji i rozwoju kaszubszczyzny oraz pokojowego współżycia Polaków i Niemców.

W pracy H. Ormińskiego są m.in. bardzo cenne, interesujące, o dużej sile przekonywania liczne cytaty. Do najciekawszych zaliczyłbym fragment tekstu kazania wygłoszonego w czasie drugiego pogrzebu Sługi Bożego w Pelplinie przez jego przyjaciela, wybitnego filozofa, człowieka tej ziemi, a zarazem człowieka dwóch kultur — polskiej i niemieckiej, ks. prof. dra Franciszka Sawickiego. Jako motto tego kazania ks. Sawicki wybrał słowa z Pisma św. „Oto

kopista — t.s. (pisark, co so zajmōł przepisywanim tekstów przed wëlëżenim drëku)

koprowina — miedziaki, drobne pieniądze

kôza — skrócone: kôzała

kraje zemi — krańce ziemi

krajewiôn — obywatel

krajewiônstwo — obywatelstwo

krëcziew — laska

krëjamko — skrycie, ukradkiem, w tajemnicy

krëjamno — ob. krëjamko

krëjamnosc (krëjamnota) — 1. tajemnica; 2. skrytość

krëjamny — tajemny, ukryty

krodzy — 1. krócej; 2. bliżej (ob. krótko)

krómôrz — kramarz, sklepikarz, przekupień

krótko — 1. krótko; 2. blisko (ob. krodzy)

ksążka — książka (ob. knëzka)

ksëga — księga (ob. knëga)

kula — dół, jama

kuli — ile

kulniszcze — nora, legowisko

nôleżnik — członek, uczestnik

nômili — najchętniej

nôprzód — najpierw, wpierw

nôstëpstwo — następstwo, konsekwencja

nôszëkowni — najręczniejszy, najwprawniejszy

nôtëra — natura, rzecz wrodzona, przyroda

o cemnicą — po ciemku

o przëpôłnië — w porze obiadowej, południowej

o szabat — podczas szabatu, w szabat

o zawitrze — nazajutrz, o poranku

ob noc — 1. podczas nocy, w nocy; 2. na noc

oberznac — tu: obrzezać

oberznienië (oberznicëcë) — tu: obrzeżanie

obënda — okolica, obszar

objawa — przejaw, symptom, objaw, wyraz

objimac — obejmować

obrzëszëc so — zobowiązać się

obrzëszk — obowiązek

obrzëdowi — obrzędowy, rytualny

obrzëzanië — obrzezanie

kapłan wielki, który podobał się Bogu i nie znalazł się podobny Jemu". W kazaniu tym ks. Sawicki m.in. powiedział: „Zaiste mieliśmy kapłanów świątobliwych, którzy przewyższali nawet ks. Biskupa Dominika tą lub ową cnotą heroiczną. A jednak on był jedynym i nie znalazł się podobny Jemu. Nie było właściwie nic nadzwyczajnego w jego cnocie i pobożności, ale wszystko było w nim zrównoważone (...). Był kapłanem świątobliwym i był miłym, towarzyskim, naturalnym i kulturalnym człowiekiem, był jak mówimy — świętym nowoczesnym. (...)

Przed siedmiu laty odbył się pierwszy pogrzeb ks. Biskupa w Gdańsku. Pomimo wojny i okupacji pogrzeb ten był wielką manifestacją. Nie był to właściwie pochód żałobny, lecz raczej tryumfalny. Nam wszystkim się zdawało, że nie prowadzimy zmarłego do grobu, lecz wprost do bram niebieskich, by oddać tę duszę świętą w ręce aniołów: In paradisum deducant te angeli! Teraz wrócił do nas, i złożymy ciało jego na naszym cmentarzu, jak tego sobie życzył. Spocznie tam obok naszych Księżów Męczenników. Miał iść razem z nimi na śmierć, teraz spocznie obok nich, bo do nich należał. I z grobu przemawiać może będzie więcej jeszcze niż za życia. Odwiedzać go będą kapłani i wierni. Modlić się będą za niego, bo o to prosił. Ale modlić się także będą do niego, żeby się wstawił za nimi do Boga. Bo jesteśmy pewni, że on jest i będzie wielkim naszym patronem, patronem Pelplina, patronem diecezji, patronem Polski, którą tak bardzo kochał. (...)” (s. 212 i 213).

Na koniec warto dodać, że omawiana książka ukazała się w Kartuzach i jest dziełem tamtejszej drukarni. Poza zasadniczym tekstem ks. Ormińskiego i ciepłym „Słowem wstępnym Jego Eksceleńcy Księdza Biskupa Ordynariusza” Mariana Przykuckiego, zawiera liczne fotografie (szkoda, że mimo dobrego papieru często zbyt mało kontrastowe) ks. biskupa, miejsc i ludzi, z którymi był związany. Autorem fotografii i reprodukcji jest Alfons Klejna. Okładkę projektował Jan Misiek, a nie zawsze doceniana praca redaktorską wykonała Joanna Konopacka. ■

Henryk Ormiński, Sługa Boży Książd Biskup Konstantyn Dominik, Kartuzy 1986, s. 267, 11 000 egz., cena 500 zł.

Jak popularyzować kaszubszczyznę?

Bogumiła Cirocka

W ubiegłym roku Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wzbogaciła rynek księgarski książką Augustyna Dominika, autora wydanego w 1983 roku „Tóny z Pustk” — zbiorku świetnych w swej prostocie, bezpretensjonalnych i zabawnych kaszubskich gadek. Nowa książka nosi tytuł „Gawędy kaszubskie”. Autor część zasadniczą poprzedził krótkim wstępem, w którym zwraca uwagę na najważniejsze charakterystyczne cechy mowy kaszubskiej — „jednego z dialektów słowiańskich”. Mówi o odmiennym akcentowaniu, zmianie samogłosek, używaniu archaizmów. Robi to, by przybliżyć przyszłym czytelnikom swoje teksty, które napisał w „języku literackim z zachowaniem niektórych wyrażen kaszubskich”.

Takie kształtowanie języka utworu kojarzy się z pierwszej chwili z tzw. stylizacją gwarową. Lecz jest to błędne spostrzeżenie, z kilku powodów. Po pierwsze, język nie jest stylizowany, bo pojawiające się zwroty i wyrażenia kaszubskie są tylko czymś w rodzaju ozdóbek zdań pisanych z zasady w całości po polsku, z zachowaniem struktur języka literackiego. Po drugie, nawet te słowa kaszubskie, które występują w tekście są spolszczone, tzn. przystosowane do polskiej fleksji. Po trzecie, w wypowiedziach postaci mówiących po kaszubsku nie ma żadnej konsekwencji (co nie jest zarzutem, bo i Wyspiański tak robił). Po czwarte, czy można mowę kaszubską sprowadzać do poziomu gwary?

I tak oto pojawił się bardzo istotny problem: w jakim więc języku zostały napisane gawędy Dominika?

Nie jest to ani polski język literacki, ponieważ często występują struktury charakterystyczne dla kaszubszczyzny, np. „Strawę miały ugotowane gburki”, „nic się nie odzywać”, ani kaszubski: „E chtëżby to w taką pogodę i tak późno mógł się zjawić?”,

niedowierztwo — niedowiarstwo
niegwēsnota — niepewność
nielusy — niechlujny, ordynarny
nieobdōny — nieposkromiony, niesłabnący
nierobilstwo — nieróbstwo, lenistwo
nierząd — cudzołóstwo, nierząd w rozumieniu prawa żydowskiego
niesama — w ciąży, brzemienna
nieubētk — niepokój
niezgara — nienawiść
niēcęc — przeczyć (ob. przēkowac)
nimota — niemoc
noc — 1. noc; 2. północna strona świata (ob. norda)
nocny — 1. t.s.; 2. dotyczący północnej strony świata
norda — północna strona świata
nordowi — dotyczący północnej strony świata
nowacz — tu: nowinkarz
nowożēnc — nowożeniec
nō — na („nō miē”, „nō to” — na mnie, na to)
nōdpis — tytuł, nagłówek
nōkōz — nakaz

kuńsztowny — 1. sztuczny; 2. wyszukiwany, kunsztowny; 3. artystyczny
le — jeno, tylko
legalny — t.s.
leno — ob. le
lepsze: „na jejich lepsze” — na ich korzyść
letēchno — leciutko, delikatnie, dyskretnie
letko — 1. lekko; 2. łatwo
lēznosc — okazja, sposobność
lēkac so (lēkac so) — lękać się
lēpē — wargi (w przenośni: usta)
lūbczi — przyjemny (ob. lubny)
lubny — ob. lūbczi
ludkowie — zdrobnienie od: lēdze (w polskim tekście „trzędko mał”)
łakota — pożądanie, żądza (ob. chēlpnota)
ławelnica — tron
łono — naręcze
maklewny — namacalny, konkretny
mēst — chyba, prawdopodobnie (ob. wiērē)
mēster — mistrz
mia — skrócone: miała

„Muszymy się naradzić, jak z tego wyleźć”. Bardzo cenne jest autorskie zamierzenie spopularyzowania kaszubszczyzny „w szerszym kręgu czytelników”, ale czy ta książka może spełnić tę rolę?

„Gawędy kaszubskie” są mieszaniną dwóch języków, z których każdy ewokuje odmienny, odrębny sposób myślenia i przeżywania. Odnosi się wrażenie, jak gdyby pisarz tłumaczył swoje teksty i czasem zostawiał coś, ot tak, dla okraszenia, choćby niepełnie harmonizowało to z całością. I rzeczywiście 23 utwory w zbiorze są dosłownymi tłumaczeniami gadek z „Tóny z Pustki”, które tam brzmią bardzo dobrze, są interesujące, pełne ludowego poczucia humoru. Wystarczyło je przełożyć, by zrodziły się nieoczekiwane i raczej niezamierzone efekty, gdy nie bardzo wiadomo, co jest świadomym i celowym zabiegiem autora, a co niepoprawnością językową. Ciekawe ile w tym tłumaczeniu jest inicjatywy samego wydawnictwa? Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak podkreślić, że w książce są też teksty zupełnie udane, w których połączenie dwóch systemów prowadzi do ciekawych wyników, a nie kojarzy się z tzw. barbaryzacją. Myślę o utworach: „Gbur-szachrarz” i „Jak Feliks dogodził swojej kobiecie”.

Sprawa języka jest z pewnością jedną z najważniejszych, bo on najczęściej decyduje o takim, a nie innym odbiorze utworu, ale nie można pominąć i pozostałych aspektów publikacji. Tomik zawiera 41 (ponumerowanych) utworów reprezentujących różne gatunki. Autor w przedmowie nazywa siebie gawędziarzem, w tytule występuje określenie „gawęda”, warto byłoby więc zastanowić się czy ta nazwa gatunkowa jest adekwatna do wszystkich umieszczonych w zbiorze tekstów.

„Gawęda” bywa nazywany utwór przeznaczony do przedstawienia ustnego, z bezpośrednio zaznaczoną obecnością słuchacza, podkreślonym dobitnie autentyzmem zdarzeń, miejsc i postaci. W omawianej książce odnajdujemy sporo takich typowych gawęd, które rzeczywiście mogłyby być opowiedziane, ale... No właśnie, mogłyby. Większość bowiem utworów zaprezentowanych w tomiku nosi wyraźne piętno tekstów pisanych. Ich język jest książkowy i „literacki”, co czasem brzmi nieco nienaturalnie. Daje się to

szczególnie odczuć przy porównaniu z tekstami piisanymi po kaszubsku przez Augustyna Dominika.

W „Gawędach kaszubskich” jest sporo gadek naprawdę interesujących, dobrze skomponowanych, z celną pointą. Mam na myśli teksty krótsze, jedno, dwustronicowe (np. „Jak koń bez skóry do domu wrócił”, „W Ośrodku Zdrowia”). Przy utworach dłuższych zdarza się autorowi gubić główną myśl, co burzy kompozycję i prowadzi do niejasności. Zarzut ten nie dotyczy większości tekstów drukowanych w poprzedniej książce Dominika. Utwory krótkie, które zaliczylibym do typowych gawęd, zawierają tak wielką dawkę prawdziwego komizmu, że zapominamy o kształcie językowym, dając się wciągnąć anegdocie. Duża część utworów sytuuje się na pograniczu baśni, legendy i podania. Rozpoczynają je słowa: „Przed wielu, wielu laty...” albo „Działo się to przed latami latecznymi...”, jak np. „Zaklęty zamek”, „O dobrym jeleniu i złym wilku”. W tych baśniach obecne są kaszubskie nazwy miejscowe, z troską o topograficzną ścisłość lokalizuje się opowiadane zdarzenia. Motywy zaklętego zamku, śpiących rycerzy, diabelskich kamieni odczuwamy jako typowo kaszubskie, ale powiązanie ich z elementami baśni ludowych innych regionów zatarło specyficzną atmosferę, której można było oczekiwać. W kilku utworach, które umownie zaliczam do grupy „baśniowych”, występuje „opowiadacz” o autentycznym nazwisku, co ma potwierdzić jego pełną wiarygodność. Ten narrator, kaszubski gawędziarz, jest jakby najbardziej predestynowany do tego, by wyjaśniać pochodzenie tajemniczych znaków na kamieniach, bo trwa w nim przekazywana z pokolenia na pokolenie pamięć o przeszłości.

Kolejna grupa tekstów obejmuje te, które dotyczą współczesności lub niezbyt odległej przeszłości: lat wojen i okupacji. Tu autor-narrator sytuuje się jako bezpośredni obserwator zdarzeń, ewentualnie słuchacz opowieści snutych przez innych. Jest wśród nich kilka utworów nieudanych, pozbawionych pointy. Ich obecność w tomiku motywuje jedynie to, że przedstawiają obrzędy i obyczaje świąteczno-noworoczne oraz podkreślają wagę kultywowanych wciąż na Kaszubach tradycji. W opowiadaniach historycznych,

miec namklé — nie zwracać uwagi, lekceważyć, okazywać obojętność
miectwo — majątek, własność
miészki — 1. portmonetka, trzos; 2. woreczek
miéwca — właściciel, posiadacz
miodny — słodki
miono — imię
mitczy — miękki
młujnowi — młynowy, młyński
mocko — bardzo
moralnota — moralność
moralny — t.s.
mownosc — 1. rozmowność; 2. wielomówstwo
mowny — 1. rozmowny; 2. językowy
możnota — możliwość, szansa
môg — umysł, rozum
môl — miejsce
môltech — posiłek
môlczëc — milczeć
mścëcéł — mściciel
muczkowac — policzkować, bić po twarzy
mudło — model, wzorzec, typ
mul — mól (owad)
muszëc — zmuszać

na — ta (ob. nen)
na chutcziego — naprędce, pochopnie
na jejich lepsze — na ich korzyść („na swoje lepsze” — na swoją korzyść)
na osôbce — osobno, na osobności
na wëroszenié — na wyrost, nad miarę
nacéchowóny — nakreślony, naznaczony
nadczydka — wzmianka
namaklac — namacać
narzëdzëc — naprawić (narzëdzywelë — naprawiali)
nastëpca — t.s.
nastëpnik — potomek
natëchstopach — natychmiast
nen — ten (ob. na)
néczci — resztki
nëch — tych (ob. nen, na)
niasta — niewiasta
nibë — niby
nie darwac — nie być zobowiązany, nie potrzebować
nie zgarac na kogo — nienawidzić kogo
niebëlly — niegodziwy, niedobry, niesolidny
niebieszi — niebiański, dotyczący nieba, niebieski

DOM Mój dom
żyje własnym życiem
oddycha
zmierzyłem tętno ścian
jest w normie
wiara zakłeta jest w fundament
a topola obejmująca
ramieniem strudzone
okna
milczy
nie chce nic powiedzieć

KOWAL Niesiony o zmierzchu
przez wiejską ścieżkę
widziałem palenisko w kuźni
strzelające milionami gwiazd
wyciszając się powoli
pozdrowilem kowala
umęczonego od zadawania razów
w kowadło
Jego oczy odbijały święte ognie
oczyszczenia

mówiących o czasach niewoli zawarta jest spora porcja wiadomości dotyczących losu i postawy Kaszubów w tych trudnych latach; mocno podkreślona ich nieustanna walka o polskość, świadomy patriotyzm (np. w „Kazaniu po niemiecku”, „Ostatnich wyborach”, „Gwiazdce 1944” — utworze bardziej publicystycznym niż literackim).

Na uwagę zasługuje szata graficzna, dzieło Cypriana Kościelniaka. Całość utrzymana jest w czarno-białej tonacji (nie wynika to chyba z trudności poligraficznych). Pozbawione barw rysunki nie tyle ilustrują tekst, co go interpretują, stanowiąc nowy wieloznaczny tekst nadbudowany nad pierwszym. ■

Augustyn Dominik, *Gawędy kaszubskie*. Warszawa 1985, LSW, s. 142, cena 160 zł.

Cassubiana w słowianoznawstwie Tadeusz Lipski

„Ossolineum” wydało w serii „Slavica” 44. pozycję pt. „Znaczenie prac Włodzimierza Andriejewicza Francewa dla słowianoznawstwa polskiego” (Wrocław 1986) autorstwa Romualdy Pegierskiej-Piotrowskiej. Niektóre fragmenty tej rozprawy traktują o problematyce kaszubskiej w pracach uczonego. W. A. Francew był rosyjskim sławistą, przez pewien czas pracującym na Uniwersytecie Warszawskim, a od 1921 roku związanym z Uniwersyteciem Karola w Pradze. Zajmował się przede wszystkim dziejami słowianoznawstwa i w tym aspekcie również badaczami kaszubszczyzny. Uświadamiając sobie swe związki z Rosją (ojciec był Rosjaninem, matka Polką), zwrócił szczególną uwagę na tych pomorczanów, którzy w jakiś sposób współpracowali z uczonymi rosyjskimi. Stąd zainteresowanie K. C. Mrongowiuszem i F. Ceynową. Francew chciał zrehabilitować w oczach Polaków Ceynowę, którego reputacja podupadła po jego udziale w „Zjeździe Słowiańskim 1867 roku w Moskwie”. R. Pegierska-Piotrowska wspomina też o kontaktach W. A. Francewa z „Gryfem” i jego redaktorem A. Majkowskim. Rosyjski uczonego nie wniósł nic nowego do polskiego słowianoznawstwa, jego prace mają charakter faktograficzny. Tak też należy traktować jego wypowiedzi o problematyce kaszubskiej. Jeśli jednak odnotowujemy to nazwisko ze względów chociażby bibliograficznych, to warto poszerzyć nieco pewne informacje, które znalazły się w książce R. Pegierskiej-Piotrowskiej.

W podrzdziale zatytułowanym „Francew o projektach Samuela Bogumiła Lindego” autorka wspomina o projekcie opracowania przez Lindego słownika języka słowiańskiego, języka, którym w przyszłości posługiwałyby się wszystkie narody słowiańskie. Temu zagadnieniu poświęcona została praca „Panslawistyczne osobliwości leksykalne S. B. Lindego i jego projekt stworzenia wspólnego języka słowiańskiego” (Ossolineum, Wrocław 1980). Jej autorem jest Tadeusz

Lewaszkiewicz. Przytacza on bogaty materiał osobliwości leksykalnych Lindego. Wśród setek wyrazów znalazłem 9, których nie używa się w języku polskim, a znajdują się w „Słowniku gwar kaszubskich” B. Sychty. Linde nie kwalifikował ich jako pochodzących z polskiego czy kaszubskiego (kaszubszczyzna nie miała wówczas opracowanego słownika, cały wiek dzieli S. B. Lindego od ks. B. Sychty), lecz np. z windyjskiego, rosyjskiego, czeskiego, raguzańskiego czy kroackiego. Jest to niewątpliwie jakaś wskazówka, że kaszubszczyzna wyrasta głęboko z pnia słowiańskiego obok polszczyzny. Druga uwaga dotyczy K. C. Mrongowiusza. Na s. 123 R. Pegierska-Piotrowska pisze: „Adam Junosza Rościszewski w liście do Hanki wspomina, że Szafarzik radzi skłonić Mrongowiusza do wydania słownika kaszubskiego, który ten ma podobno gotowy”. W przypisie do tego zdania czytamy: „Chodzi chyba o jakiś inny słownik, nie ma bowiem żadnych danych, aby Mrongowiusz przygotowywał słownik kaszubski”. A jednak chodzi rzeczywiście o słownik kaszubski. Wyjaśnia tę sprawę Ewa Czerniakowska w interesującym artykule „Słowniki Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza” („Pomerania” 9/1985). Na koniec ciekawostka, której bohaterami są obaj wyżej wymienieni uczeni. W archiwum Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk przechowywane jest następujące sprawozdanie:

„Kolega Linde doniósł iż w tym czasie odebrał 3-ci Rocznik Towarzystwa Pomorskiego Historii i Starożytności zawiązanego w Szczecinie 1826 pod opieką N. Królewica Następcy Tronu Pruskiego. — Trzeci ten rocznik znajduje on jeszcze ważniejszym i ciekawszym od dwóch poprzedzających. Przedewszystkiem zastanawia uwagę nad trzema głównymi rzeczami w nim zawartymi

1° Nad Mapą Grobowcową

2° Nad Kamieniami z napisami

3° Nad językiem czyli Dyalektem Kaszubskim (...)

Co do Kaszubskiego Dyalektu, gdy niezmordowany nasz Kolega X. Mrongowiusz w Gdańsku, już wiekiem i słabością zdrowia wstrzymywanym zostaje w swoim zapale, wyręcza go mianowicie w odbywaniu potrzebnych w tym widoku podróży Nauczyciel Szkoły Choynickiej JP. Brillowski atoli ten co do ostatecznego wypadku różni się zdaniem od Mrongowiusza utrzymując że Kaszubska Mowa, powinna być uważana nie tak za osobny prowincjonalny Dyalekt, iako raczej za zepsutą w następstwie czasów coraz to bardziej Polszczyznę, które to zepsucie nawięcej uderza przez wymawianie prawie w każdej właści odmienne, a częstokroć tak przykre, że trudność największą wystawia w oddawaniu tej pronuncjacji przez pismo. Atoli ci bądź to bądź wielką przysługę uczynił X. Mrongowiusz objawieniem tłumaczenia Katechizmu przez X. Pontana z roku 1643 nowej edyc. który w tym Roczniku Pomorskim wydrukowanym został i poczytany iest za pomnik Dyalektu Kaszubskiego...”

Tekst ten opublikowała w XXXV roczniku „Języka Polskiego” (3/1955) Janina Siwkowska. Powszechne zainteresowanie problematyką kaszubską jest świadectwem, że kaszubszczyzna stanowi ważne ogniwo w wielkiej rodzinie języków słowiańskich. ■

POTULICE

-droga przez mękę

Zygmunt Milczewski

Potulice to dawna wieś dworska koło Nakła, przy drodze do Pily. Tutejszy pałac wraz z zabudowaniami (m.in. kaplicą) i majątkiem ziemskim (365 ha) należał przez wiele lat do hrabiów Potulickich. Kiedy 17 października 1932 r. zmarła ostatnia z rodu hrabina Aniela Potulicka, majątek — zgodnie z jej testamentem — dostał się Katolickiemu Uniwersytetowi w Lublinie, a pałac Towarzystwu Chrystusowemu dla Polonii Zagranicznej (Chrystusowcom) z przeznaczeniem na seminarium duchowne księży misjonarzy pracujących wśród uchodźstwa polskiego. Warto przypomnieć, że twórcą tego zgromadzenia był kardynał August Hlond, prymas Polski w latach 1926—1948, występujący również jako opiekun emigracji polskiej. Po formalnym założeniu Towarzystwa (wrzesień 1932 r.), przybył do Potulic ks. Ignacy Posadzy i wraz z kilkoma kandydatami rozpoczął działalność.

W chwili wybuchu II wojny światowej Chrystusowcy posiadali dom macierzysty, nowicjat i drukarnię. Jesienią 1939 grupa młodych zakonników opuściła swoją siedzibę, uchodząc do domów rodzinnych. Po drodze niektórzy zginęli albo znaleźli się za kratami niemieckich aresztów jako osoby podejrzane.

Terror hitlerowski na Pomorzu nie ominął oczywiście Potulic. Gestapo weszło do wsi prosto z Bydgoszczy, by 27 października zabrać ks. Stanisława Grabowskiego, magistra nowicjatu, oraz 8 nowicjuszy (4 kleryków i 4 braci pozostałych dla ochrony mienia). Przewiezieni oni zostali do więzienia w Bydgoszczy, potem do Gdańska, skąd po przesłuchaniu skierowano ich do tworzącego się obozu koncentracyjnego w Stutthofie, a następnie z większą już grupą więźniów do Sachsenhausen i Dachau¹. Według ustnej relacji Stanisławy Florczak, pracowniczki majątku potulickiego przed wojną, a w okresie okupacji więźniarki miejscowego obozu, dalszą grupę 12 braci Chrystusowców przytrzymały miejscowe władze policyjne. Zatrudniono ich jako pracowników fizycznych w warsztatach obozowych i zaliczono do stanu osobowego więźniów. Tak więc Towarzystwo Chrystusowców w Potulicach przestało istnieć. Jego działalność uznały władze okupacyjne za szkodliwą i niebezpieczną dla III Rzeszy.

Pałac z przynależnościami i majątkiem przekazano w pierw ekspozyturze Głównego Urzędu Powierniczego — Wschód (Haupttreuhandstelle — Ost) w Bydgoszczy, ale już 15 listopada 1940 podporządkowano Centrali Przesiedleńczej (Umsiedlungszentralstelle) z siedzibą w Gdańsku. Na jej kierownika oddelegowano zastępcę szefa gdańskiego Urzędu Tajnej Policji Państwowej (Geheime Staatspolizei-leitstelle) SS-Sturmbannführera dra Helmuta Hansa Wolffa. Bezpośredni przełożony Wolffa, sprawujący nadzór nad Centralą, inspektor policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa (Inspekteur der Sicherheitspolizei und des Sicherheitsdienstes) okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie dr Heinrich Willich wydał w lutym 1941 rozporządzenie, że „zadaniem Centrali Przesiedleńczej jest w pierwszym rzędzie wysiedlenie lub ewakuacja osób narodowości nieniemieckiej w celu stworzenia możliwości osadniczych dla niemieckich osadników”².

Nieco więcej na ten temat powiedziano już w memoriale z 25 listopada 1939, opracowanym na polecenie Urzędu Rasowo-Politycznego NSDAP (Rassenpolitisches Amt): „O problemie traktowania ludności byłych obszarów polskich z narodowo-politycznego punktu widzenia”. Zdaniem autorów tego

dokumentu, dra Ericha Wetzla i dra Güntera Hechta, winno się dążyć do tworzenia tu jednolitej pod względem rasowym, narodowo-politycznym i duchowo-psychologicznym ludności niemieckiej. Aby tego dokonać, należało wg autorów:

1) zniemczyć wszelkie nadające się do tego elementy;

2) ludność nie nadającą się do zniemczenia wysiedlić do polskiego obszaru resztkowego³ (Generalnej Guberni — przyp. autora);

3) na jej miejsce sprowadzić Niemców.

W pałacu potulickim dość szybko zlokalizowano obóz zbiorczy o nazwie Sammellager Schloss Potulitz, zamieniając go 22 lipca 1941 w obóz przechowania (Auffangslager Lebrechtsdorf). Komendantem (Lagerkommandant) już jesienią 1940 roku został SS-Hauptsturmführer Waldemar Tennstaedt, podległy inspektorowi H. Willichowi. Nadzór nad więzieniem w Potulicach sprawowała w tym czasie 14-osobowa straż z podoficerem policji ochronnej (Schutzpolizei).

POWOŁANIE ADMINISTRACJI OKUPACYJNEJ W WEJHEROWIE I WYSIEDLENIA LUDNOŚCI

Z dniem 10 września 1939 zorganizowano w Wejherowie starostwo (Landratsamt). Funkcję Landrata, a zarazem Kreisleitara NSDAP pełnił przez całą wojnę Heinz Lorenz. Nieco później powstał w Wejherowie zarząd miejski (Stadtverwaltung). Taki sam utworzono w Pucku. Obszar powiatu w okresie okupacji niemal pokrywał się z granicami administracyjnymi sprzed wojny. W ramach struktur wiejskiego samorządu terytorialnego powołano 16 gmin (Amtsbezirke) i 119 gromad (Kleingemeinde). Według spisu ludności zarządzanego przez Gauleitera (3—6 grudnia 1939), powiat liczył 92 943 mieszkańców, w tym 7017 Volksdeutsche i 3274 Reichsdeutsche, przybyłych tu głównie z Rzeszy i Wolnego Miasta Gdańska po 9 września 1939 (wkroczenie Wehrmachtu do Wejherowa). Pozostała ludność to Polacy.

Na polecenie Centrali Przesiedleńczej wywozy ludności z powiatu morskiego do Potulic i GG rozpoczęły się w listopadzie 1940 roku⁴, a więc wcześniej niż w innych powiatach Pomorza. Akcją kierował Powiatowy Sztab Osadniczy (Ansiedlungsstab) z siedzibą w Wejherowie, na którego czele stanął Landrat i Kreisleiter H. Lorenz. Poza tym w skład sztabu wchodził odpowiedzialni terenowo: Ortsgruppenleiter, Amtskommissar, Ortsbauernführer oraz przedstawiciele żandarmerii (na wsi) i policji (w miastach). Bezpośrednio rozliczani za sprawne przeprowadzenie akcji byli funkcjonariusze służby bezpieczeństwa: SS-Unterscharführer Ali Bodendorf z Wejherowa, SS-Scharführer Ernst Dawid z Polchowa, SS-Scharführer Hans Hoppe z Rum-Zagórze, SS-Unterscharführer Dietrich Labbe z Wejherowa, Rotenführer Paul Kant ze Starzyna, SS-Scharführer Anton Mix z Gościcina, SS-Sturmmann Aleks Musa z Sopieszyna i SS-Sturmmann Paul Salay z Pucka.

Z powiatu morskiego wywieziono do Potulic: w 1940 roku 123 osoby, w 1941 roku — 528, w 1942 roku — 1246, w 1943 roku — 251, w 1944 roku — 162. W rozbiu na poszczególne miejscowości wyglądało to w latach 1940—1944 następująco: Barłomino — 15 osób, Będargowo — 73, Bieszkowice — 6, Bładzinko — 24, Bojano — 51, Borek — 7, Brudzewo — 60, Celbowo — 14, Chłapowo — 15, Chwaszczyno — 10, Ciechocino — 4, Cisowa — 17, Czastkowo — 5, Dana — 4, Darżlubie — 74, Dąbrówka — 24, Dobrzeżewo — 66, Domatowo — 22, Donimierz — 73, Głazica — 11, Głodowo — 1, Gniezdźewo — 66, Goszczyno — 25, Gościcino — 11, Grabowiec — 20, Jeldzino — 2, Karliko-



Rodziny polskie przed drutami



Dzieci w obozie

wo — 45, Kartoszyń — 10, Karwia — 12, Kłanino — 18, Koleczkowo — 84, Kosakowo — 8, Krokowa — 16, Krotoszyń — 15, Kuźnica — 1, Linia — 9, Lisewo — 12, Lubocino — 56, Luzino — 4, Lebcz — 50, Łebno — 2, Mieroszyń — 15, Miłwino — 2, Mińkowiec — 31, Mrzezino — 86, Nadole — 6, Niepoczułowie — 27, Osłonino — 21, Osowa — 1, Parszczyce — 9, Pierwoszyń — 13, Pogórze — 11, Polchowo — 51, Polczyń — 63, Przetoczyno — 5, Puck — 5, Reda — 20, Redyszewo — 49, Rekowo — 14, Robakowo — 3, Rozewie — 5, Rumia-Zagórze — 8, Sławoszyń — 28, Sławutowo — 56, Smolno — 36, Smażyń — 24, Sobieńczyce — 16, Starzyń — 25, Strzelno — 112, Strzepez — 3, Sulicze — 59, Swarzewo — 69, Szemud — 51, Świecino — 10, Tępcz — 4, Tyłowo — 19, Ustarbowo — 3, Warszawko — 8, Wedlino — 20, Wejherowo — 17, Werblina — 76, Wiczlino — 14, Wielka Wieś — 15, Wielki Kacik — 58, Zarnowiec — 41, Żelistrzewo — 25.

W miejsce wymordowanych lub wywiezionych Polaków sprowadzono Niemców z krajów ościennych (w sumie 4341 osób). Osiedleni oni zostali w powiecie morskim w następujących miejscowościach: Chłapowo, Darżlubie, Gościcino, Kielno, Koleczkowo, Krokowa, Linia, Luzino, Lebcz, Smażyń, Strzelno, Szemud i Zarnowiec. Pewną ich liczbę zatrudniono w przemyśle, administracji publicznej, handlu, gospodarce i szkolnictwie.

Wysiedleńcy z powiatu to głównie ludność wiejska, często rodziny wielodzietne, właściciele wzorowo prowadzonych gospodarstw rolnych. Wywózki następowały bez uprzedzenia, zwykle w porze nocnej lub wczesnym rankiem. Mieszkania i obejścia musiały pozostać nienaruszone, wolno było zabrać tylko bagaż ręczny. O dacie akcji decydował Sztab Osadniczy. W ustalonym dniu formowano z wysiedlanych transporty kolejowe, kierując je do stacji docelowej Nakło, a stamtąd do Potulic, względnie (w latach 1940—1941) do Generalnej Guberni. Często wysiedlano rodziny, których synowie uchylali się od służby wojskowej w Wehrmachcie, dezertowali z wojska niemieckiego lub odmawiali wpisu na niemiecką listę narodowościową, a także rodziny wspierające partyzantów TOW „Gryf Pomorski”. Dla przykładu po bitwie oddziału ppor. A. Loepera z Wehrmachtem 29 lutego 1944 r. w rejonie Koleczkowa natychmiast wysiedlono do Potulic 26 rodzin z Koleczkowa, Bojana i Kielna.

Sposób traktowania więźniów w Potulicach nie odbiegał daleko od warunków w obozach koncentracyjnych. Panował głód, gdyż racje żywnościowe wydawano poniżej przyjętych norm. Ciasne pomieszczenia były zimą słabo ogrzewane, a przy tym pozbawione urządzeń sanitarnych. Wobec powyższego, jak również z braku lekarstw, szerzyły się choroby zakaźne, szczególnie u dzieci. Mimo to, zgodnie z regulaminem, reżim w obozie ustanowiono bardzo surowy. Bicie za niesubordynację było na porządku dziennym, a wobec opornych stosowano karcery. Zdarzały się także przypadki morderstw.

Według obliczeń W. Jastrzębskiego, przez obóz w Potulicach przeszło w okresie od 1 sierpnia 1941 r. do 20 stycznia 1945 r. około 20 tys. osób, a począwszy od połowy 1940 r. — około 25 tys. więźniów.

W rządzie obozów hitlerowskich na Pomorzu zajęły Potulice miejsce szczególne, obnażając okrucieństwo i bestialstwo hitlerowców wobec dzieci. Już w październiku 1939 r. w Wejherowie A. Forster w przemówieniu do miejscowych Volksdeutschtów zaznaczył m.in.: „Polaków należy wytepić od kołyski”. Natomiast w 1943 r. na jednym z zebrań akuszerki w Grudziądzu wystąpiła Niemka z Gdańska wzywająca do jak najmniejszej troski o dzieci polskie¹. W latach 1940—1945 zmarło w obozie potulickim 1297 ustalonych imiennie więźniów (328 poza obozem), w tym 767 dzieci w wieku do 15 lat². Znalazła się w tej liczbie grupa dzieci z ZSRR odłączona od rodziców, których zamordowano w Oświęcimiu. Według szacunkowych danych, z powiatu morskiego zmarło około 160 dzieci i nie ustalona liczba więźniów w starszym wieku.

2 stycznia 1945 r. w godzinach porannych dwie kolumny więźniów potulickich podjęły pod strażą esesmanów wymarsz w kierunku Nakło-Piła. W Pile czołówka nadchodzącego z zachodu frontu rozproszyła konwój hitlerowców i więźniowie z godziny na godzinę stali się wolni. Kolejna grupa doszła już tylko do Nakła, skąd esesmani uciekli w popłochu. Więźniowie i tym razem uszli cało.

Historia obozu w Potulicach zakończyła się 21 stycznia 1945 roku, kiedy to do wsi weszły pierwsze oddziały wojsk polskich i radzieckich. Witła ich grupka starszych więźniów oraz wynędzniałych dzieci.

¹ Ks. W. Jacewicz, ks. J. Woś: *Martyrologium polskiego duchowieństwa rzymsko-katolickiego w latach 1939—1945*, Warszawa 1981, t. IX, z. V.

² W. Jastrzębski: *Potulice — hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy*, Bydgoszcz 1967.

³ W. Jastrzębski, J. Szilling: *Okupacja hitlerowska na Pomorzu Gdańskim w latach 1939—1945*, Gdańsk 1979.

⁴ Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Bydgoszczy, Zespół SD — Sonderreferat Gotenhafen 1940—1945 (Referat Specjalny Służby Bezpieczeństwa SD), Gdynia, kartoteka Lager Lebrechtsdorf.

⁵ Cz. Madajczyk: *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, Warszawa 1970, t. I, s. 271 (przypis).

⁶ J. Libiszewski: *Obóz Potulice* (maszynopis), Archiwum Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, Bydgoszcz 1977.

CZŁOWIEK

Człowiek to drewno
Spółony
Łęst z drzewica
Szmęrgniony
Tający śnieg
Przemijô jak cén
Je
Bél
Ni ma
Je
Jak długo
Mdze wiecznosc

Alojzy
Nagel

Z dziejów elektryfikacji Gdyni i nie tylko

Wojciech Wila

Przeglądając stare, pochodzące sprzed II wojny miesięczniki „Przeglądu Elektrotechnicznego” — organu Stowarzyszenia Elektryków Polskich, można dowiedzieć się ciekawych rzeczy dotyczących dziejów gospodarczych np. Pomorza. Można także, zabawiając się w oceny porównawcze — jak choćby dzisiejszej sytuacji energetycznej i tej z przeszłości, a zwłaszcza jej rozumienia i zdolności zaspokajania potrzeb — pozbyć się przy okazji zbytecznego balastu kompleksów. Wynik takiej analizy może bowiem okazać się wiele pouczający, a refleksje powodowane przeglądaniem dawnych publikacji technicznych orzeźwiające i krzepiące, zwłaszcza gdy przedmiotem jest Gdynia, chluba Polski lat międzywojennych.

Na przykład: wzrost zużycia energii elektrycznej w powstającym organizmie miejsko-portowym Gdyni. Chociaż są to tylko suche liczby, ich wymowa jest jednoznaczna i wyraźna. Otóż w pierwszych latach Gdynia powiększyła zużycie energii elektrycznej prawie 50-krotnie. Oto, gdy w 1925 roku potrzebowano zaledwie 25 460 kilowatogodzin, to już w roku następnym zużyła 76 712 kWh, a w następnych latach: w 1927 — 152 510, w 1928 — 417 997, w 1929 — 765 358 i w 1930 — 1 258 671 kWh, czyli 50 razy więcej niż w roku 1925. Również i wtedy myślano o racjonalizacji zużycia energii. „Przegląd Elektrotechniczny” z roku 1931 w numerze 4 pisał, że w 1929 opracowano program inwestycyjny na dalsze pięć lat, przystosowany do potrzeb — jak wtedy mówiono — Wielkiej Gdyni. Miasto (!) w celu uzyskania odpowiednich funduszy zaciągnęło pożyczkę szwajcarską na sumę 4 mln. franków. Pieniądze te miały spowodować rozbudowę sieci elektrycznej stale rozrastającej się Gdyni oraz przyległych 12 gmin wiejskich i 9 obszarów dworskich Kaszub. Była to prognoza pięcioletnia, i to na lata kryzysu gospodarczego i tzw. wojny gospodarczej polsko-niemieckiej. W roczniku wcześniejszym, w numerze 6 z 1930 r. podano, że Gdynia zamierza w krótkim czasie przystąpić do budowy własnej elektrowni, która pokryłaby zapotrzebowanie miasta. Koszt inwestycji szacowano na kwotę 5 200 000 zł, a jej rozpoczęcie miało nastąpić w roku 1930, zaś zakończenie — w 1935. Dotąd bowiem Gdynię zasilala Pomorska Elektrownia Krajowa „Gródek” Sp. Akc. w Toruniu, z którą umowę zawarto do roku 1944.

Z Gdynią związany jest rozwój przedwojennej pomorskiej energetyki. Jak zanotowano w numerze 8 z 1928 r., pierwsza faza elektryfikacji linii przesyłowej energii Żur — Gdynia została zakończona 30 marca 1928 roku ustawieniem w podstacji Gdynia ostatniej konstrukcji żelaznej. W ten sposób Pomorska Elektrownia Krajowa „Gródek” łączyła linią o napięciu 60 tys. woltów — wówczas najdłuższą w Polsce, bo liczącą 138 km — Gródek z Gdynią. Również i sama elektrownia Żur, należąca do Pomorskiej Elektrowni Krajowej „Gródek”, była wówczas największą polską elektrownią wodną. 18 grudnia 1929 r. został napełniony wodą zbiornik, a 20 uruchomiono pierwszą turbinę o mocy 60 tys. KM i 22 grudnia napięcie o wartości 60 kV z Gródka przez Żur popłynęło nową linią do Gdyni, na razie przez kilka godzin, była to bowiem próba rozruchu. W „Przeglądzie” odnotowano (1930 nr 2), że „nowa elektrownia w Żurze przedstawia się imponująco”. Posiadała ona zresztą wiele innowacji technicznych, np. na sposób amerykański wykonaną rozdzielnię napowietrzną,

tną „pod gołym niebem”. 15 lutego 1930 r. prezydent prof. dr Ignacy Mościcki otworzył ten zakład. Uroczystość połączono z obchodami 10-lecia ponownej przynależności Pomorza do Polski. Na starych kartach zachowała się także informacja o samej budowlu, którą wówczas uznano za wzbogacającą krajobraz, a to poprzez powstanie jeziora o powierzchni 448 ha, otoczonego lasami. Odnotowano też, że spiętrzone wody zalały 18 grudnia 1929 roku dwa mosty w Tleniu, leśny most w Grzybku oraz drewniany w Skrzyniskach. Przedtem jednak pobudowano nowe, żelbetonowe mosty i nowe drogi dojazdowe w Tleniu i Grzybku. Jest też wiadomość, że Pomorska Elektrownia Krajowa „Gródek” obfotografowała stare mosty i drogi, by — jak napisano — „dokumentować potomnym dawny wygląd zalanych okolic”.

Pomorska Elektrownia Krajowa „Gródek” otrzymała zresztą koncesję z ministerstwa robót publicznych na elektryfikację woj. pomorskiego, poznańskiego, 10 powiatów woj. warszawskiego i łódzkiego. W numerze 8 z 1930 r. odnotowano, że zagraniczni kapitaliści zgodzili się na to, by „Gródek” zachował w przyszłości 51 proc. udziałów. Wcześniejszy numer 7 informował o podjęciu przez pomorski sejmik krajowy uchwały na zaciągnięcie przez „Gródek”, na potrzeby elektryfikacji wspomnianych terenów, pożyczki zagranicznej w wysokości 3 mln. zł. Nadto uchwalono, iż należy stopniowo likwidować udział akcjonariuszy prywatnych, by w przyszłości „Gródek” stał się wyłączną własnością pomorskiego sejmiku krajowego.

Prężny magistrat gdyński dbał i o komunikację miejską, i to w wydaniu nowoczesnym. W roku 1930 w numerze 4 podano, że podpisano w tej sprawie umowę z Towarzystwem Komunikacji Automobilowej. Przewidywano uruchomienie od marca linii „trolejbusowej” tj. „tramwaju elektrycznego bez szyn” do Oksywie tak, by na lato była ona gotowa! Prócz tego w tymże roku planowano wprowadzenie komunikacji autobusowej miejskiej do Chyloni i Sopotu... I tak można by snuć wspomnienia o gospodarczych problemach Gdyni i Pomorza, w których suwerenność gospodarczą, pożyczki zagraniczne, inicjatywy lokalne, rozwój przemysłu i urbanizacja tworzą harmonijne współzależności.

Tu można jeszcze wspomnieć — też za „Przeglądem Elektrotechnicznym” (1930 nr 1) — o ciekawym związku gospodarczym Pomorza i Podhala, czego „kontynuacją” jest może w jakiejś mierze obecna przyjaźń Związku Podhalań i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Otóż Stocznia Gdańska, mocno związana z Polską, podpisała w 1929 roku umowę z Zakopanem na dostarczenie zespołu prądotwórczego: silnika spalinowego o mocy 600 KM i prądnicy dla rozbudowującej się elektrowni podhalańskiej. Stocznia udzieliła nadto gminie kredytu w wysokości 800 000 zł, który Zakopane zobowiązało się spłacać do 1 kwietnia 1930 roku w formie udziału stoczni w inkasowaniu należności za prąd w wysokości 1/3 opłaty. (Były to czasy!)

Wygląda więc na to, że wszystko już było: problemy i sposoby ich rozwiązania, kredyty, kryzysy, wielkie potrzeby a i troska o potomnych. Tylko, że jakoś sobie z tym dawniej poradzono. Może więc zamiast wymyślać stare i mówić o rzekomym postępie, spytać się przeszłości — po prostu poznać ją?

Gody 1986

Okruchy świątecznej tradycji

Tadeusz Lipski

Zapatrzonego w niebo człowieka z uwagą przygląda się zmaganiom światła z ciemnością. Zawsze wielką radością napawał dzień, który potrafił przeciwstawić się hegemonii nocy. Według kalendarza na 1986 rok, od 20 grudnia dzień liczył 463 minuty, noc 977 minut. 25 dzień grudnia był zwiastunem blasku, oderwał bowiem nocy jedną minutę i obdarował nią dwa następne dni. Od 28 grudnia każda kolejna noc zaczęła tracić po minucie, by tuż po Nowym Roku oddawać zachłannym dniom po dwie, trzy, cztery, pięć i coraz więcej minut. A wszystko zaczęło się 25 grudnia¹. W tym dniu od 274 r. świętowano w Rzymie Dies Natalis Solis Invicti (Dzień narodzin niezwyciężonego słońca). Natomiast 1 stycznia, gdy blasku przybywać zaczęło coraz więcej i szybciej, czczono boga Janusa, wyrażając swą radość entuzjastyczną zabawą. Jeszcze w wiekach średnich obchodzono o tej porze w Paryżu „święto szalonych”, którego żywiołowości przez długie wieki nie dało się wyhamować. Pamiętając o sile tradycji, Kościół starał się pogańskie dotąd święta wypełnić chrześcijańską treścią. Gdy ciemność cofnęła się przed światłem, postanowiono obchodzić narodziny Prawdy. Od IV wieku 25 grudnia jest więc dniem Bożego Narodzenia. Natomiast dzień 1 stycznia uzyskał w VI wieku status święta Obrzezania Pańskiego. Tak w odwiecznej wędrówce za zwycięskim światłem wpisał człowiek te szczególne daty do swego kalendarza.

Czas adwentowy uboższy jest teraz w obyczaje niż np. przed ćwierć wiekiem. Zniknęły z krajobrazu światła latarni, którymi oświetlali sobie drogę zmierzający na 6 rano do wielkiej świątyni mieszkańcy okolicznych wsi. Dziś roraty gromadzą ludzi o 7.00 lub o 17.00. Od lat nie odwiedzają domów tzw. gwiazdki (co robią ci — stosunkowo liczni wówczas we wsiach — młodzieńcy, którzy grą na własnym akordeonie uświetniają m.in. i te adwentowe wędrówki? Czy nie warto ich odszukać?). W przeddzień Wigilii lub 24 grudnia przed południem ubierana jest choinka, strojona przede wszystkim według pomysłu dzieci i w znacznej części zdobiona ich własnymi wyrobami. Po południu wszyscy zmierzają ku domowi. Z nastaniem mroku rozpoczyna się wieczór wigilijny, która zachowując swoje religijne oblicze, zmieniła nieco postać zewnętrzną. Do zupełnej rzadkości należy siano pod obrusem, spadła liczba potraw, które jednak, zgodnie ze wskazaniami Kościoła, są postne (śledzie, ryby słodkowodne, kapusta z grzybami, jajka itp.). Często jeszcze zostawia się jedno wolne nakrycie dla Bliskiego Nieznajomego. Wieczór zaczyna się od przełamywanych opłatkiem życzeń (każdy z każdym). Tę część rodzinnego spotkania prowadzi najstarszy z obecnych. Po wieczery okazuje się, że Gwiazdor (nie mylić z Mikołajem, który obdarowuje dzieci 6 grudnia, wkładając drobne upominki w wyczyszczone buty!), wykorzystując naszą nieuwagę, zostawił podarunki czy to pod drzwiami, czy pod choinką, kiedy nikogo akurat w pokoju nie było. Coraz rzadziej Gwiazdor osobiście stawia się, by porozmawiać z szczęśliwymi obdarowanymi. Paczuski najczęściej zawierają przyodziewek, zabawki i słodycze. Dorosli lubią znaleźć paczkę kawy. Życzby sobie należało, aby Gwiazdor przed świętami odwiedzał księgarnie. Wieczór upływa pod znakiem radości i kolędy. Nie wychodzą do lasu myśliwi, dając w tę noc, jak i w noc z 1 na 2 listopada, wytchnienie lesnej zwierzynie. O północy rozpoczyna się Pasterka, gromadząca w świątyni sporo ludzi. Do rzadkości już należą piechurzy, przybywający z odległych wiosek na nabożeństwo. Ogromna większość „zabiera się jakąś okazją”. Życie w pierwsze

święto Bożego Narodzenia toczy się w gronie rodzinnym, 26 grudnia mają najczęściej na odwiedziny krewnych i bliskich znajomych. Natrętnym świątecznym gościem jest, niestety, telewizor, którego większość z nas już nie potrafi wyprosić. Coraz częściej się zdarza, że wymiana świątecznych wrażeń polega na omówieniu programu telewizyjnego. Ratujmy się przed tym zniewoleniem! Okres poświęcony przypomina wzmiankowane francuskie „święto szalonych”, nie pozbawione jednak głębszej refleksji. W sylwestrowe popołudnie ludzie chodzą jakby podekscytowani. Dzień jak co dzień, a jednak wyczuwa się wówczas jakieś misterium czasu. W kościele nabożeństwo wieczorne. Drży serce, kiedy w ciszy wieczoru rozlegają się błagania Psalmu 50 — „Miserere...” Wielewianie noc tę spędzają na balu, na spotkaniach domowych, w samotności. Sylwestrowe ciemności kryją tych, którzy kontynuując dawne zwyczaje, pozbawiają domostwa bram i furtok. Niegdysiejsze złośliwe kawały stępiły swe ostrza, mimo to zapobiegliwi chronią ogrodzenia łańcuchami czy kłódkami, lub sami usuwają furtki, później przynajmniej nie muszą ich szukać. Nie wyniesiesz ty, wyniosą inni. Gdy zegary biją północ, słychać huk petardy i ryk syreny przeciwpożarowej — to tradycyjne powitanie Nowego Roku, znak, że pora składać sobie życzenia. W tym roku dźwięki syreny przeszły mieszkańcom Wielą dreszczem. Było to nie tyle powitanie nowego, co wspomnienie tragicznego w wydarzenia minionego roku: ogień pochłonął dwie ofiary. Pochylmy głowy przed cierpieniem tych ludzi, połączmy się w bolesnej zadumie z ich rodzinami. Akurat tu, we Wielu, w tym roku syrena przełomu lat nie wieściła radości. Oby milczała do następnej sylwestrowej nocy, do siego roku. ■

¹ Historię różnych świąt omawia Ludwik Stomma w swej pracy „Słońce rodzi się 13 grudnia”, LSW, Warszawa 1981.

Gody 1986

Na Gochach

Krystyna i Marian Fryda

Aż do początków XX w. tereny Kaszub zamieszkałe przez Gochów stanowiły jedną parafię z siedzibą w Borzyszkowach. Fakt ten niewątpliwie wpłynął na ujednolicenie zwyczajów w obchodzeniu przeróżnych świąt i uroczystości zarówno kościelnych jak i świeckich, oczywiście z zachowaniem pewnych elementów lokalnej tradycji w poszczególnych wsiach. Dzisiaj, w miejsce jednej parafii istnieją cztery z siedzibami w Borowym Młynie, Borzyszkowach, Brzeźnie Szlacheckim i Zapceniu. Ale stare więzi wspólnoty parafialnej wydają się być obecne wszędzie.

Jednym z najbardziej uroczystych obchodzonych świąt jest Boże Narodzenie. Wiąże się z nim liczne stare obyczaje kultywowane w większości wsi Gochów. Świąteczne dni poprzedza adwent, który rozpoczyna jednocześnie nowy rok kościelny. Dawniej rozpoczynał się tuż po św. Marcinie (11 XI), stąd zwano go „czterdziestnicą”. Dzisiaj, to nie czterdziestki dni, ale cztery niedziele przed Wigilią Bożego Narodzenia. W pierwszej z nich, w niektórych wsiach, np. w Brzeźnie Szlacheckim zawieszają się uroczystości w kościele wianek z czterema świecami: w każdą kolejną niedzielę zapala się jedną z nich, w ostatnią palą się wszystkie cztery.

Z początkiem adwentu rozpoczynają swą „służbę” kolednicy, zwani na Gochach „gwiazdkami”. Okres ich „pracy” kończy święto Trzech Króli. W skład poszczególnych zespołów koledniczych wchodzi cała gama przebierańców. Jest więc tradycyjny kozioł, bocian, niedźwiedź, diabeł i anioł. Prezentowany repertuar zależy głównie od inwencji poszczególnych grup. Dziś ogranicza się on zwykle do odśpiewania kolęd, rzadziej przedstawienia krótkiej inscenizacji i złożenia życzeń. Wszystko odbywa się spokojnie i

uroczyście. Dawniej to bywało inaczej — wzdychają starsi, pamiętający „starą” Polskę. Diabeł ploszył dzieci i podszczypywał dziewczętą, niesamowite harce wyprawiał opasany grochową niedźwiedź. Warunkiem otrzymania poczęstunku od gospodarza domu była sprawność kozła, który musiał przeskoczyć przez podstawione mu krzesło. Tuż przed II wojną światową po całych Gochach chodziła grupa — nazwijmy ich — zawodowych szopkarzy w składzie: Franciszek Krauze, Paweł Lemańczyk i Piotr Trzeciński. W każdym domu, do którego wstępowali, prezentowali swój program złożony z inscenizacji bożonarodzeniowej i kolęd, przygrywając na własnych instrumentach.

Także w czasie adwentu organiści i ministranci roznoszą po domach opłatek.

Wreszcie nadchodzi Wigilia, dzień tak oczekiwany, zwłaszcza przez dzieci. Od rana trwa pracowita krzątania w kuchni i obejściu. Zadaniem chłopców jest przynieść z lasu z dawna już upatrzoną choinkę. Jej przyozdabianiem zajmują się głównie dzieci, które wykonują we własnym zakresie przeróżne łańcuchy z papieru i słomy, pajace z wydmuszek jajek. Całości dopełniają tradycyjne bombki, jabłka i cukierki oraz tak zwane orzechy — kształtne kulki zrobione z potartej marchwi i maki, upieczone w piecu. Tradycyjne, woskowe świece, które dawniej wyrabiano w każdym domu, zostały zastąpione wymyślnymi często w swych kształtach świełkami elektrycznymi.

Gorączkowe przygotowania dobiegają końca. Jeszcze tylko z kuchni dobiegają odgłosy przestawiania garnków i patelni, ale i one wkrótce umilkną. Na niebie, od wschodniej strony, pojawia się pierwsza gwiazda. Wszyscy domownicy zasiadają przy wigilijnym stole, nakrytym świątecznym, białym obrusem. Przed rozpoczęciem wierzery zapala się świece. Na choince, po odśpiewaniu jednej z kolęd i odczytaniu fragmentu ewangelii św. Łukasza ojciec rodziny składa wszystkim obecnym życzenia, łamiąc się z nimi oplatkiem. W niektórych domach okrucy wigilijny opłatek otrzymują także zwierzęta domowe. Dopiero teraz na stole pojawia się: zupa grzybowa lub owocowa z kluskami i brzadem — czyli suszonymi owocami. Kolejno podaje się rybę z ziemniakami. W tym dniu ściśle przestrzegany jest zwyczaj abstenencji alkoholowej.

Po skończonej wierzery do domu, gdzie są mniejsze dzieci, przybywa „prosto z nieba” oczekiwany z utęsknieniem Gwiazdor, którego funkcję najczęściej sprawuje wcześniej umówiony i przygotowany sąsiad. Otrzymać od niego paczkę może jednak dziecko dopiero po zdaniu odpowiedniego egzaminu ze znajomości wierszy, piosenek czy wreszcie pacierza. Czasami i dorośli przed otrzymaniem prezentu muszą przejść egzaminacyjne męki. Worek z prezentami pusty, dzieci żegnają Gwiazdora kolędą. Do zobaczenia za rok!

Przed północą wszyscy, którym pozwalają na to siły i zdrowie, wyruszają na pasterkę. W wielu rodzinach istnieje zwyczaj budzenia ze snu wszystkich zwierząt domowych — i one muszą czuwać, gdy zabrzmi uroczyste „Bóg się rodzi...”

Pierwszy świąteczny dzień większość rodzin spędza we własnym gronie. Dzieci, często do południa, odsypiają pasterkę oraz gwiazdorowe emocje. Tego dnia w wielu domach nie gotuje się w ogóle obiadu. Dopiero następnego składa się rodzinne wizyty. Gospodynie prześcigają się w kulinarnych popisach. Obok tradycyjnych potraw z drobiu czy wieprzowiny często na stołach pojawiają się wymyślne dania rodem z ... książki kucharskiej.

Kończą się święta. Teraz parę dni przerwy, w czasie których trwają przygotowania do sylwestrowych uciech i zabaw.

W ostatnim dniu starego roku w kościołach odbywają się wieczorem uroczyste nabożeństwa, w czasie których księża dokonują parafialnych obrachunków. We wsiach, gdzie pozwalają na to warunki, odbywają się tradycyjne zabawy sylwestrowe. Większość jednak powita Nowy Rok w rodzinnym gronie, przy telewizorze i butelce czegoś mocniejszego. Wraz z wybiciem godziny 24 rozlega się bicie dzwonów, grzmia strzały z dubeltówek i wybuchają petardy.

ŻARNOWIEC!

(...) Jest obecnie budowana elektrownia jądrowa „Żarnowiec” o mocy 1760 megawatów, w bieżącym pięcioletnim kosztem 110 mld zł, a w II etapie — 136 mld zł. Można zrozumieć pogląd, że energetyka jądrowa stanowi konieczność, choć jest niebezpieczna, lecz z drugiej strony trzeba też wziąć pod uwagę opinię austriackiego specjalisty Eda Schmidta, iż obecna pierwsza generacja elektrowni atomowych ze swą awaryjnością o prawdopodobnym okresie trzy — czteroletnim będzie umierać, natomiast ich druga generacja zacznie się dopiero za 30, 40 lat. (...)

STEFAN GÓRNIŚIEWICZ

„30 procent”, Tygodnik Powszechny, nr 49/86 r.

(...) Ta budowa zaczęła się 1 kwietnia 1982 roku, rozpoczęcie robót podstawowych nastąpiło 1 października 1984 r. (...)

To właśnie na tej konferencji [sprawozdawczo-wyborczej Komitetu PZPR Budowy EJZ, która odbyła się w listopadzie] inwestor szczerze przedstawił stan zaawansowania budowy. Po 4 latach (45 proc. czasu planowanego na realizację elektrowni) wykonano zakres finansowy w stosunku do całej inwestycji za ledwie w 11,8 proc. (stan w dniu 30 września br.) zamiast planowanego zaawansowania 16,2 proc. W chwili obecnej niewykonanie zadań wzrosło do 9 miliardów 719 milionów złotych, w tym w robotach budowlano-montażowych 5 miliardów 901 milionów złotych. W rezultacie tego opóźnienia nawet zakładając, że budowa przedłuży się do roku 1991 — pozostanie do wykorzystania około 87 miliardów złotych liczonych według cen 1982 roku. Z tego zaś wyliczyć nietrudno, że rokrocznie na budowie trzeba będzie przerobić po 22 miliardy złotych, kwotę, jaką wykorzystano łącznie w latach 1982—1986. (...) Zamiast w zgodzie z ostatnim harmonogramem zatrudniać na budowie 7300 pracowników, pracuje tam 3300 osób (...).

Prawdą jest, że na przedłużenie cyklu budowy znaczący wpływ miało rygorystyczne zaostreżenie kryteriów bezpieczeństwa po tragedii w Czarnobylu. I tak już bardzo ostre rygory jakościowe, technologiczne zaostreżono do tego stopnia, że na wielu odcinkach, np. w reaktorowni prace przebiegały nierytmicznie, notowano wielomiesięczne przestoje, spowodowane brakiem materiałów o wymaganych parametrach. Polski przemysł nie jest bowiem przygotowany do produkcji wyrobów, jakich wymaga energetyka jądrowa. Musiało minąć kilka miesięcy, zanim cementownia w Małogoszczy, jedyna zdolna do tego, wyprodukowała odpowiedni cement dopuszczalny do zużycia na budowie. Istnieją kłopoty ze stalą, rurami austenitycznymi do kanalizacji w elektrowni, argonem używanym przy spawaniu rur i praktycznie ze wszystkimi materiałami, używanymi na tej budowie. (...)

WŁODZIMIERZ WODECKI

„W Żarnowcu jak po grudzie”,
Głos Wybrzeża, nr 284/86 r.

Wszyscy składają sobie nawzajem życzenia noworoczne na lepszy i pomyślniejszy rok.

Z ogólnego zamieszania i wesołości korzysta grupa lokalnych dowcipniśców, których wyczynów nie da się jednak w żaden sposób porównać z dokonaniem ich ojców i dziadów.

Dziś sylwestrowe psoty ograniczają się zwykle do niewinnego przestawiania bram, luźnych płotów, a w najgorszym wypadku zatykania kominów. A dawniej? Opowiadał mi mój ojciec, jak to w sylwestrową noc, około 1934 r., w Borowym Młynie „nieznani sprawcy” wyprowadzili na skutny lodem staw wozy

konne z całej wsi. Powymieniano w nich koła, dysze i kłonicie. Dodatkowo, popłatano wszystko tak misternie, że przez cały następny dzień właściciele poszukiwali swych pojazdów, zrazu weseli, ale później coraz bardziej gniewni.

Niekiedy wyczyn sylvestrowych swawolników miały na celu ośmieszenie konkretnych osób. I tak, w kilka lat po II wojnie światowej, w noc sylwestrową, w centrum jednej ze wsi Gochów ustawiono przyniesioną zza stodoły jednego z miejscowych gospodarzy nowiutką „wygódkę”. Na jej drzwiach, tuż pod wyciętym serduszkiem, zawisła tablica pochodząca ze sklepu spożywczego, którego właściciel był zagorzałym zwolennikiem założenia we wsi spółdzielni produkcyjnej, chcąc jednocześnie — czego nie

ukrywał — zostać jej przewodniczącym. Po tym wydarzeniu stał się przedmiotem licznych dowcipów.

Zastanawiałem się, dlaczego dzisiejsze, nowoczesne żarty są tak niewinne — brak pomysłów? Chyba nie. Powód jest inny. Ponieważ sylwestrowe psoty często zaczynały przekraczać granice zdrowego rozsądku, całą sprawą zajęła się milicja, hamując wybujałą wyobraźnię złośliwych często dowcipniaków. Tu należy jeszcze dodać, że przed II wojną światową sprawcom sylwestrowych „wyców” uchodziło wszystko zazwyczaj „na sucho”, nawet gdy skarga na nich trafiała do wójta.

Ostatnim akcentem świąt Bożego Narodzenia jest dzień Trzech Króli. Rozbiera się w tym dniu choinkę — symbol tak radosnych świąt.

LISTY

TRUMNY BYŁY NAKRYTE SZTANDAREM FRANCUSKIM

Chcę sprostować częściowo niezgodną z prawdą informację w artykule K. Ciechanowskiego pt. „Oni byli w Wehrmachcie” („Pomerania” nr 10, 1986 r.). Na s. 39 K. Ciechanowski pisze o egzekucji pięciu Polaków — żołnierzy 38 niemieckiej dywizji grenadierów. Otóż w dniu 20 marca 1943 r. rozstrzelano tylko dwóch patriotów kaszubsko-pomorskich: Zygmunta Grochockiego z pow. starogardzkiego i Józefa Grzędzickiego z pow. kartuskiego, co wynika z ustnej relacji świadków egzekucji — Roszkowskiego i innych współtowarzyszy, którzy zostali skierowani do kompanii karnej, jak również z dokumentów dotyczących ekshumacji zwłok, przesłanych mojej rodzinie przez Polaka z Nantes we Francji — J. Chrapeckiego w 1947 r. Wiadomo również, że Janowi Mejerowi życie ocalili partyzanci z Francuskiego Ruchu Oporu, którzy niedługo przed wykonaniem wyroku śmierci uwolnili go z więzienia. Jaki był los dwóch pozostałych — A. Majewskiego i A. Schützmana — tego nie wiem, jednakże nie zostali rozstrzelani wspólnie z Grochockim i Grzędzickim.

Na zakończenie pozwalam sobie przytoczyć treść odpisu francuskiego dokumentu dotyczącego ekshumacji, przetłumaczonego przez p. Chrapeckiego. Jednocześnie wyjaśniam, że błędnie podano tam datę 21 marca zamiast 20 marca 1943 r., gdyż na przysłanej nam z Francji fotografii nagrobka J. Grzędzickiego (zamieszczonej w artykule R. Ciemińskiego w „Tygodniku Kulturalnym”) wyraźnie figuruje data 20 marca 1943 r.

Oto treść dokumentu:

„Magistrat m. Nantes
W roku 1947, dwudziestego dziewiątego kwietnia, o godz. 9 rano, zadośćuczyniając życzeniu wyrażonemu przez P. Ministra byłych wojskowych w liście jego z dnia 8 kwietnia 1947 i zgodnie z instrukcjami jakie otrzymałem od administracji miejskiej:

Ja niżej podpisany Georges Digo, inspektor przysięgły cmentarzy miasta Nantes oświadczam, że zarządziłem ekshumację zwłok PP: Grzędzickiego Józefa i Grochockiego Zygmunta, patriotów

polских rozstrzelanych dnia 21 marca 1943 r., aby ich przenieść z sekcji niemieckiej na cmentarz „Pont du Cens”, gdzie byli pochowani od dnia 22 marca 1943 r., do sekcji sprzymierzonych na tym samym cmentarzu.

Podczas ekshumacji obie trumny sosnowe zostały znalezione w stanie nie do użytku; zostały zastąpione trumnami dębowymi o grubości desek 21 mm. Oba ciała zostały pozbawione mundurów niemieckich, które ich nakrywały i zostały zastąpione całunami przyniesionymi na ten cel.

Podczas ich przeniesienia trumny nakryte były sztandarem francuskim i ukwiecone.

Były pochowane o godz. 9.30 w sekcji sprzymierzonych (Anglików, którzy zginęli w czasie nalotów na Nantes w 1943 r. — p. K. G.) w następującym porządku:

P. Grzędzicki Józef, w sekcji L, 1 rząd, 23 grób

P. Grochocki Zygmunt, sekcja L, 1 rząd, 24 grób.

Z chwilą, gdy groby zostały zasypane, dwa krzyże betonowe modelu bieżącego z napisami zostały ulokowane na mogiłach. Zgodnie z instrukcjami otrzymanymi, załączam niniejszy protokół oraz kosztorys ekshumacji.

Inspektor
podpis nieczytelny”

(na kopii oryginału 2 pieczętki)
W uzupełnieniu dodaje, że ekshumację przeprowadzono dzięki interwencji Ambasady PRL w Paryżu.

Kazimierz Grzędzicki
Gdańsk

DWOREK JANTA-POLCZYŃSKICH I ETRUSKOWIE

Jestem pilnym czytelnikiem Waszego miesięcznika. Problematyką regionu pomorsko-kaszubskiego interesowałem się zawsze. Już w Gimnazjum Neoklasycyzm w Grudziądzu, gdzie zdałem maturę w 1937 r., zapoznano nas z gwarą kaszubską i historią Kaszub. (...)

W numerze 11 z ub. roku przeczytałem ze smutkiem, że dworek rodowy Polczyńskich w Komorzy Wielkiej przeznaczono do rozbioru. Wielka to strata dla kultury regionalnej i ogólnonarodowej. Należałoby tą sprawą zainteresować społeczeństwo, celem zorganizowania akcji na rzecz odbudowy dworku. Aleksander Janta-Polczyński — autor wspaniałej książki „Lustra i refleksy”, utalentowany reportażysta, poeta — zamierzał przecież przeznaczyć dworek na cele społeczne. (...)

W nr 10 Marian Kwapiński przypomniał w artykule „Portret czy bogini?” sprawę ceramicznych masek pośmiertnych znalezionych na Pomorzu w 1874 r., używanych powszechnie przez Etrusków. (...) W

1984 r. ukazała się w Jugosławii książka pt. „Czy Etruskowie byli Słowianami?” Antoni Barłot i Ivan Rebac po 40 latach badań napisów etruskich doszli do wniosku, że Etruskowie zamieszkujący ongiś dzisiejsze tereny Włoch używali języka słowiańskiego, że byli pochodzenia słowiańskiego. Ciekawa to hipoteza i być może tłumaczy ożywione kontakty handlowe między Etruskami a Słowianami.

Czesław Opalka
Grudziądz

NA MARGINESIE DYKCJONARZA

Dobrze, że „Gdański dykcjonarz” Jerzego Sampa najpierw ukazuje się w „Pomeranii”. Umożliwia to wskazywanie na jego nieścisłości i domaganie się jego rozszerzenia po to, aby — gdy ukaże się w odrębnej publikacji — było to dzieło w pełni godne polecenia. Oto moje uwagi do trzeciego odcinka „Dykcjonarza” („Pomerania”, nr 12/86):

ELBLĄSKA powinna nazywać się, jak dawniej, „Długie Ogrody”, podobnie jak SWIERCZEWSKIEGO — „Nowe Ogrody”, KALINOWSKIEGO — „Targ na Raki”, a LENINGRADZKA — „Podwale Przedmiejskie”. Trzeba zebrać wszystkie zmiany historycznych nazw ulic i wystąpić oficjalnie o przywrócenie nazw dawnych, historycznych. Tako rzeczce Jerzy Waldorff („Polityka”, nr 52/86): „Pozbawieni zabytków (a historyczne nazwy ulic są zabytkami — JK), a więc zapleczka historii i własnej kultury, przestaniecie być ludźmi-obywatelami narodu, zamieniając się w numerowane stado, niezdolne do obrony swej narodowej tożsamości!”

J. Samp napisał, że „po ostatniej wojnie ulicę (Elbląską) znacznie poszerzono, m.in. kosztem jednej z naw kościoła Św. Barbary”. Sugeruje to, że okaleczono ten kościół, a tymczasem zburzenie jego nawy południowej, późniejszej niż nawa główna, było nie raną zadaną temu kościołowi, ale przywróceniem mu pierwotnego kształtu (Gdańsk, jego dzieje i kultura. Arkady 1969, s. 234).

Ponadto warto napisać, że witraże tego kościoła są dziełem doc. art. mal. Barbary Massalskiej (22 I 1927 w Warszawie — 20 III 1980 w Gdańsku) zrealizowanym w latach 1972—1975, dziełem tak znakomitym, że w albumie witraży świata (L. Leo, S. Seddon, F. Ste-

phens: Stained-Glass, London 1976, s. 126) reprezentują one Polskę wspólnie z witrażami trzech krakowiaków: Stanisława Wyspiańskiego, Józefa Mehoffera i Henryka Uziembly oraz gdańszczanina Andrzeja Kuleszy. W sumie, w tym znakomitym, światowym wydawnictwie 40 procent wartości wymienienia, na tym poziomie, witraży artystów polskich znajduje się na Kaszubach (Gdańsk i Władysławowo). I jeszcze szczegół: to co J. Samp wziął w witrażach kościoła Św. Barbary za (w podtekście jednolite) były kolorowego szkła, to są w rzeczywistości bańki szklane z wewnętrzną pustką, przez co zwiększa się izolacyjność cieplna tych ścian-witraży, a artystka uzyskiwała w wyniku zastosowania takiego materiału inne, niż by uzyskała stosując wyłącznie jednolite bryły szkła, wrażenia kolorystyczne.

Ponadto, gdy pisze się o poszczególnych obiektach stojących (dziś lub dawniej) przy danej ulicy, to trzeba podawać ich numery porządkowe, np. adres pałacu Mniszców, który stał tu do 1905 roku brzmiał: Długie Ogrody 88/89.

GARNCARSKA biegnie do mostu nie „na Raduni”, jak to napisał J. Samp, ale na Kanale Raduni.

I druga uwaga. Gdy się wymienia istniejący tu (Garncarska 32) sklep papierniczy, to godzi się chyba także wspomnieć, że tuż obok, przy Garncarskiej 30 była przed wojną polska księgarnia, a księgarnie zajmowały się wówczas także sprzedażą artykułów papierniczych, pod firmą „R. Czarliński, następcą A[lojzy] J. Pilarczyk”. Ważniejsza to wiadomość, niż doniesienie, że w „dziś istniejącym sklepie papierniczym (Garncarska 32) prawie nie ma papieru toaletowego.

Janusz Kowalski
Gdańsk

Apel Społecznego Komitetu Rozbudowy Muzeum Bitwy n. Bzurą

Społeczny Komitet Rozbudowy Muzeum Bitwy n. Bzurą zwraca się z apelem o pomoc w rozbudowie Muzeum — wzniesieniu pawilonu wystawowego — symbolu pamięci o żołnierzach armii „Pomorze” i „Poznań”. Dotychczasowa siedziba — mała rotunda — pomieścić może jedynie małą wystawę. Komitet prosi gorąco wszystkich Polaków w kraju i za granicą o składanie darów na adres Społecznego Komitetu — Kutno, Pl. 19 Stycznia 21, konto PKO O/Kutno nr 61610-49618-132 (wpłaty krajowe) oraz konto PKO S.A. O/Łódź nr 5, 47042-1524-7870-1428342 (wpłaty z zagranicy).

DZWONY W SIERAKOWICACH

W listopadowym numerze „Pomeranii” Marek Cybulski („Sierakowickie dzwony” s. 32) podał ciekawe informacje, które są w pew-

nym sensie sprzeczne z danymi zawartymi w „Słowniku gwar kaszubskich” ks. B. Sychty. Autor przy haśle „zvón” napisał „lud w Sierakowicach nie pozwilił sobie zabrać dzwonów w 1915 r.” Można więc przypuszczać, że w tym roku je ukryto. Informacja usłna Leona Gojtowskiego wskazuje jednak, że nastąpiło to w 1917 r. (tak też podaje Cybulski). Było to prawdopodobnie w miesiącu wrześniu, gdyż po zakopaniu dzwonów zasiano na tym polu żyto ozime.

Leon Piotrowski, który brał udział w tej akcji, był chyba z zawodu kowalem. Jan Gojtowski syn Jana został powołany do wojska po ukryciu dzwonów. Warto również wspomnieć o udziale Peplińskiego, który pilnował, czy ktoś nie nadchodzi.

Może ktoś pamięta dokładne daty? Data ponownego zawieszenia dzwonów w kościelnej wieży w 1919 r. jest chyba możliwa do ustalenia. Ciekawy jest również dalszy ich los. Prawdopodobnie zdjęto je ponownie w 1942 r. Jakiś czas oglądano je jeszcze leżące przy kościele. Później zabrano je i nie wróciły chyba już na swoje miejsce. Może jednak istnieje któryś z ukrytych w 1917 r. dzwonów? Historię tę warto byłoby bliżej poznać. Niezależnie od wyników tych dociekań można chyba zakładać, że wszystkie dzwony w starym kościele parafialnym w Sierakowicach będą dzwonili bezpłatnie, gdy um-

DARY

Dary, które otrzymujemy od Czytelników i Sympatyków pomagają nam w wydawaniu poszczególnych numerów. Ten numer swoimi darami wsparli: Mieczysław Kwidziński z Łęborka — 1040 zł; Nieznany Ofiarodawca — 1000 zł; X. Stanisław Szarowski z Pieców — 1500 zł; Franciszek Zarembski ze Skarszew — 540 zł; Irena Młodanowicz ze Swornegaci — 1000 zł; Izabela i Andrzej Różanowiczowie z Katowic — 1000 zł; Danuta i Jerzy Trawiccy z Zukowa — 400 zł; zespół poetycko-muzyczny Barbary Pisarek z Kartuz — 2000 zł; uczestnicy wycieczki z Chmielna na III Galowy Koncert Zespołów Folklorystycznych w Gdańsku — 2600 zł; Józef Borzyszkowski z Gdańska — 60 000 zł; X. Marian Szlagowski z Sopotu — 3000 zł; Teresa Wilga z Sopotu — 2000 zł; Jan Grzenia z Koleczkowa — 1000 zł; Jan Weber z Gdańska — 1000 zł; X. Franciszek Jank z Pielplina — 5000 zł; Roma Żołędowska z Łodzi — 500 zł; Maria Czarnowska z Gdańska — 500 zł; Renata Cieniewicz z Gdańska — 540 zł; Leon Fajtek z Gdyni — 540 zł; Bolesław Połatyński z Bytowa — 500 zł; Augustyn Hirs z Kartuz — 500 zł; X. Alfons Strela z Jabłonowa — 1000 zł; słuchacze IV roku Studium Kulturalno-Oświatowego w Gdańsku — 2300 zł; X. Bolesław Lewiński z Karwi — 1040 zł; Kazimierz Kossak-Głowczewski z Gdyni — 1000 zł; Paweł Brzeski z Kanady — 30 000 zł; Kazimierz Makurat z Kanady — 10 000 zł; Czesław Opalka z Grudziądza — 3000 zł; X. Dominik Ziółkowski z Francji — 4000 zł; Janina Miętka z Gdyni — 1000 zł; Edmund Kukliński z Gdyni — 250 zł; T. Klynstra z Warszawy — 2000 zł; X. Zbigniew Kulwikowski z Zelistrzewa — 1040 zł; Jadwiga Fryszka z Radogoszczy — 500 zł; Edmund Okrój z Bolesławca — 540 zł; Maria i Bogdan Pająkowscy ze Świecia — 1000 zł; Marcin Bianga z RFN — 1080 zł.

Panowie Paweł Brzeski i Kazimierz Makurat z Kanady wraz z wymienionymi wyżej darami przesłali następujące słowa: „Za ofiarny wkład pracy i na dalszy pomyślny rozwój czasopisma kaszubskiego”. Dziękujemy.

Z honorarium autorskiego zrezygnowali: Jerzy Łysk z Pucka, Stanisław Sierko z Gniewa, X. Kazimierz Raepke z Borzyszków, Wacław Odyniec z Gdańska, Małgorzata Jakusz z Kartuz, Ludwik Bach z Rumi, Zygmunt Orzeł z Pucka, Edmund Pepliński z Gdańska, przekazując na rzecz „Pomeranii” sumę 7310 zł.

Wzrosły również wpływy ze sprzedaży darów twórców ludowych. W chwili obecnej wynoszą one 105 420 zł.

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy. Dary można wpłacać na konto PKO I O/M Gdańsk nr 19510-5890-132.

rze ostatni (?) wybawca ich „po-bratymców” (?). Tak to chyba kiedyś obiecano. Dodać należy, że według kaszubskiego wierzenia „Głos dzwonów odprowadza duszę na tamten świat...”

Marian Jeliński
Swarzędz

Z ŻYCIA ZRZESZENIA

POŻYTECZNY PATRONAT

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Tczewie doceniając pracę zespołu amatorskiego „Pieśni i Tańca — Kolejarz”, pragnąc jego rozwoju objęło nad nim patronat. W dniu 18 grudnia ub.r. decyzję oddziału i gratulacje przekazali na spotkaniu z zespołem i kadrą instruktorską Michał Spankowski — prezes i Andrzej Sliżewski — skarbnik. Zespół zaproszony został na koncerty w czasie imprez Powitania Wiosny i Spotkań Nadwiślańskich. (Jot-ka)

SPOTKANIE Z JANEM DRZEŹDŻONEM

1 grudnia ubiegłego roku w auli Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Gdańskiego (przy ulicy Wita Stwosza 55) Oddział Gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego zorganizował spotkanie ze znanym pisarzem Janem Drzeżdżonem, poświęcone omówieniu jego ostat-

nio opublikowanej książki „Współczesna literatura kaszubska”. Zainicjowano w ten sposób planowany cykl imprez, w których zamierza się omawiać nowe publikacje dotyczące kaszubszczyzny.

Spotkanie prowadzone przez Jerzego Sampa (uczestniczyło około sześćdziesięciu osób) zapoczątkował Marek Cybulski odczytaniem szkicu krytyczno-literackiego, pisma Krystyny Muzy, noszącego tytuł „Oblicza literackie Jana Drzeżdżona”.

W dyskusji poruszano wiele problemów związanych z twórczością pisarza. Oczywiście skupiając się na „Współczesnej literaturze kaszubskiej”. Za najcenniejszą część pracy uznano aneks, w którym sami twórcy literatury kaszubskiej, omawiani przez autora, opowiadają o swojej drodze do kaszubszczyzny. Zwrócono też uwagę na pewne mankamenty publikacji, jedna z dyskusyjantek wysunęła zastrzeżenia wobec stosowanej w książce metody badawczej. Jan Drzeżdżon odpowiedział na większość postawionych mu pytań, wyraził swój stosunek do omawianej pracy i na koniec przeczytał kilka interesujących fragmentów ze swojej najnowszej książki pod tytułem „Twarz lodowca”, która w tej chwili powinna być już dostępna w księgarniach. (B. Cir.)

SPOTKANIE PRZEDSTAWICIELI ZG ZK-P I WŁADZ WOJ. GDAŃSKIEGO

Na początku nowego roku (6.01.1987 r.) przedstawiciele Prezydium Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego: Józef Borzyszkowski (prezes), Stanisław Pestka (wiceprezes), Tadeusz Gleinert (sekretarz) i Tadeusz Bolduan zostali przyjęci przez sekretarza KW PZPR w Gdańsku Jolantę Mironiuk. W rozmowie uczestniczyli również: Leon Brancewicz — wicewojewoda gdański, Władysław Tuminowski — kurator oświaty i wychowania Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, Maria Jajszyska — zastępcą kierownika Wydziału Ideologicznego i Informacji KW PZPR, Marian Najmowicz — wicedyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku, Janusz Zemla — wicedyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego i Anna Starostecka z tegoż wydziału. Na prośbę pani sekretarza przedstawiciele Zrzeszenia przedstawili postanowienia uchwały X Zjazdu Delegatów ZK-P, poinformowali o zamierzeniach naszej organizacji oraz o sprawach wymagających decyzji i pomocy władz wojewódzkich.

Nasze wnioski dotyczyły: podjęcia przez władze oświatowe inicjatyw Zrzeszenia w zakresie regionalizacji nauczania; zwiększenia pomocy finansowej z Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury, w tym na rzecz „Pomeranii”; wsparcia finansowego budowy Domu Kaszubskiego; poparcia starań Zrzeszenia o stałe prawa wydawnicze.

W trakcie trzygodzinnej rozmowy, która przebiegała w rzeczowej i serdecznej atmosferze, przedyskutowano powyższe problemy. Wiele czasu zajęła sprawa regionalizacji nauczania. Kurator Władysław Tuminowski poinformował o staraniach władz oświatowych zmierzających do wzbogacenia programu wychowawczego szkół o elementy wiedzy o regionie, wymieniając dwa konkursy organizowane wspólnie ze Zrzeszeniem, patronaty nad licznymi szkolnymi zespołami regionalnymi, izby pamięci itp. Delegacja Zrzeszenia podkreśliła, że te niewątpliwie zasługujące na uznanie poczynania dotyczą głównie zajęć pozalekcyjnych, a chodziłoby o wprowadzenie elementów wiedzy o regionie do programów poszczególnych przedmiotów (języka polskiego, historii, geografii, przyrody, wychowania muzycznego i plastycznego), gdyż wiedza o ziemi najbliższej powinna być podstawą wychowania patriotycznego całej młodzieży. Z regionalizacją nauczania w szkołach wiąże się konieczność opracowania materiałów metodycznych, przygotowania odpowiednich wydawnictw, zorganizowania systemu dokształcania nauczycieli. Ten postulat Zrzeszenia został przyjęty ze zrozumieniem.

Dyskusja na temat spraw finansowych wykazała, że nie możemy liczyć na znaczące zwiększenie pomocy w tym zakresie. Na działalność 24 organizacji społecznych w województwie w br. jest

przeznaczona kwota zaledwie 15 mln złotych. Możliwe jest jedynie, tak jak w latach ubiegłych, dofinansowanie imprez Zrzeszenia i części wydawnictw książkowych. Niemniej sprawa „Pomeranii” ma zostać podjęta w połowie roku, kiedy będzie się dzielić nadwyżkę budżetową. W realizacji budowy Domu Kaszubskiego zdani będziemy na własną przedsiębiorczość, chociaż rysują się pewne możliwości wynikające z faktu, że budowę tę rozpoczęto i kontynuuje się pracą i działalnością społeczną.

Ze strony władz wojewódzkich mamy deklarację wsparcia naszych wysiłków w uruchomieniu różnorodnej działalności gospodarczej. Uzyskane z innych źródeł środki na budowę Domu Kaszubskiego, poprzez Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury, będą przekazane w całości Zrzeszeniu.

W rozmowie poruszono również inne aspekty działalności Zrzeszenia, jak upowszechnianie tradycji, upamiętnianie zasłużonych ludzi i wydarzeń. Mowa była również o stosunku do PRON — nasza delegacja podtrzymała dotychczasowe stanowisko Zrzeszenia.

Na zakończenie rozmowy sprecyzowano ustalenia:

1. Jeszcze w styczniu dojdzie do spotkania z gdańskimi władzami oświatowymi w sprawie regionalizacji nauczania. Zostaną przedyskutowane materiały z tego zakresu przygotowane przez Zrzeszenie w latach 1980—1981 oraz rozpatrzone zostanie dalszy tok prac związanych z wprowadzeniem regionalizacji w życie.

2. W styczniu Zrzeszenie przedłoży wniosek o dofinansowanie imprez i wydawnictw książkowych.

3. Wniosek o dofinansowanie „Pomeranii” zostanie rozpatrzony w czerwcu, kiedy znana będzie wysokość nadwyżki budżetowej WRN.

Na koniec spotkania pani sekretarz stwierdziła, że władze są otwarte na współpracę i pomoc Zrzeszeniu w miarę swoich możliwości, a jako przykład tej otwartości podała fakt przyznania przez Komitet Wspierania Inicjatyw Społecznych, działający przy organie KW PZPR „Głosie Wyrzeża”, dotacji na budowę pomnika na grobie Bernarda Chrzanowskiego na Oksywiu. Zaproponowała też cykliczne, mniej więcej co pół roku, spotkania z przedstawicielami Zrzeszenia, niezależnie od kontaktów w wypadku doraźnych potrzeb.

Propozycja ta została przyjęta z zadowoleniem przez delegację Zrzeszenia. T.G.

CHOINKI, OPLATKI, WIECZORY GWIAZDKOWE

Styczeń upłynął w niektórych oddziałach Zrzeszenia pod znakiem uroczystości godowych. Chojniki, opłatki i wieczory gwiazdkowe organizuje się coraz częściej. Imprezy te stwarzają okazję do utrwalania więzi koleżeńskich między członkami, przyczyniają się do popularyzacji kultury kaszubskiej, niejednokrotnie też do powstania nowych inicjatyw.

Bodaj najbardziej uroczystą oprawę miał opłatek w naszym stołecznym oddziale, w Gdańsku, 29 stycznia z udziałem biskupa gdańskiego Tadeusza Gocłowskiego. Po odczytaniu przez ks. Bogusława Głodowskiego ewangelii w języku kaszubskim, liczne grono obecnych w domu parafialnym przy kościele NSPJ w Gdańsku-Wrzeszczu przywitał prezes oddziału Jerzy Samp, który jednocześnie podsumował ostatni okres działalności Zrzeszenia i przedstawił najważniejsze wydarzenia czekające naszą społeczność w bieżącym roku. Serdeczne, pokrzepiające życzenia księdza biskupa dla społeczności zrzeszonej zostały przyjęte bardzo gorąco. Równie gorąco oklaskiwano koncert kółd kaszubskich w wykonaniu zespołu dziewczęcego Renaty Gleinert oraz występ młodzieżowego zespołu z Wejherowa, który przedstawił program złożony z kaszubskich pieśni i poezji o tematyce religijnej. Ten nowy zespół operujący autentyczną, czystą kaszubszczyzną powstał z inicjatywy prezesa oddziału Zrzeszenia w Rumi Ludwika Bacha, a w jego skład wchodzi: Ewa Bryłowska, Ewa Pranga, Elżbieta Westfal, Jerzy Bryłowski i Wincenty Pipka. Na koniec uroczystości opłatkowej słowa podziękowania złożył prezes Zrzeszenia Józef Borzyszkowski.

Oddział Gdański zorganizował także 25 stycznia choinkę dla dzieci. Ponad sto dwadzieścia milusińskich, którzy przybyli na tę imprezę wraz z rodzicami i dziadkami do domu parafialnego przy kościele NSPJ we Wrzeszczu, bawili się przy dźwiękach zespołu „Duał”, otrzymali podarki od Gwiazdora, a także ugoszczonych zostało herbata i słodyczkami. W konkursie na recytację poezji kaszubskiej zwyciężyła czteroletnia Ania Bachówna. Całość prowadził prezes „Pomeranii” Mariusz Szmidka. Impreza, starannie zorganizowana przez zarząd Oddziału Gdańskiego, przyniosła wszystkim obecnym wiele satysfakcji.

3 stycznia członkowie klubu „Pomerania” zaprosili do swojej checzy dzieci z Borzestowskiej Huty i Łączyńskiej Huty. Dzieci uczyły się kołd kaszubskich i otrzymały prezenty gwiazdkowe. Wesołą zabawę umilały figle godowych przebrańców. Wcześniej, 13 grudnia ub.r. Pomarańcy dzielili się w swej checzy opłatkiem. Przy wigilijnym stole zasiadło blisko sześćdziesiąt osób.

8 stycznia, po mszy św. odprawionej w kościele NMP Wspomożenia Wiernych w Rumi spotkali się na uroczystości opłatkowej członkowie miejscowego oddziału Zrzeszenia i zaproszeni goście z Gdańska, Gdyni, Leśniewa i Pucka. Ponad dziewięćdziesiąt osób zgromadzonych na tej uroczystości wysłuchało ewangelii w języku kaszubskim, a następnie dzieląc się opłatkiem, składało sobie życzenia. W dalszej części spotkania wystąpił wspomniany już zespół z Wejherowa, który tego dnia dał swój premierowy koncert. Nad organizacją uroczystości czuwał Henryk Kluk.

Członkowie Oddziału Słupskiego wraz z rodzinami spotkali się na uroczystości opłatkowej 12 stycznia w Ośrodku Teatralnym WDK „Rondo”. Program artystyczny, przygotowany specjalnie dla dzieci, zaprezentowali pracownicy WDK. Dzieci otrzymały również podarki od Gwiazdora. (s.j.)

Uroczysty wieczór gwiazdkowy Oddziału Lęborskiego odbył się 16 stycznia w klubie Stowarzyszenia PAX. Oprócz wspólnego śpiewania kołd, zgadywanki historyczno-religijnej dla dzieci, wysłuchano po raz pierwszy chóru kaszubskiego „Lewino” pod kierownictwem Jana Formeli, który powstał przy oddziale w Lęborku. Dwunastoosobowy chór zaśpiewał dawno niesłyszaną polską i kaszubską koledy oraz pieśni o ziemi lęborskiej. Ponadto tego wieczoru można było poznać się z wydawnictwami ZK-P, które rozprowadza Genowefa Oss.

Następnego dnia odbyła się podobna uroczystość w oddziale Zrzeszenia w Jasieniu. Impreza odbyła się w salce katechetycznej z udziałem dzieci szkolnych, młodzieży i rodziców. Oprócz opłatkowych życzeń uroczystość tę okraszały występy dzieci recytujących wiersze i śpiewających koledy kaszubskie oraz chóru działającego przy oddziale, który śpiewał kaszubskie koledy Józefa Ceynowy, Stefana Fleksa, ks. Antoniego Peplńskiego, Leona Roppa, ks. Bernarda Sychty i inne. Następnie odbyła się zgadywanka historyczno-religijna i przybył Gwiazdor rozdzielający podarki. Wiele było przy tym uciechy i radości. (St.F.)

Członkowie Oddziału Gdynińskiego spotkali się na uroczystości opłatkowej 24 stycznia. Zapoczątkowała spotkanie msza św. koncelebrowana pod przewodnictwem biskupa Andrzeja Śliwińskiego. Liturgie słowa i homilie wygłosił po kaszubsku ks. Edmund Skierka. W czasie mszy św., która odbyła się w kaplicy akademickiej w kościele NSPJ, wystąpił chór „Dzwon Kaszubski”, obchodzący w tym roku 55-lecie działalności. Zyczeniem opłatkowym towarzyszył natomiast występ zespołu młodzieżowego z Wejherowa. Poza licznym gronem członków oddziału w uroczystości uczestniczyli członkowie oddziałów z Gdańska, Leśniewa, Pucka, Rumi i Wejherowa. (s.j.)

Z WOJNOWIC NA OKSYWIE

W czterdziestą drugą rocznicę śmierci Bernarda Chrzanowskiego, 12 grudnia ub.r., nad jego grobem na cmentarzu oksywkim odbyła się niecodzienna uroczystość, w czasie której złożono ziemię z Wojnowic Wielkopolskich — miejsca urodzenia B. Chrza-

nowskiego. Przywieźli i złożyli ją wojnowiczanie, a przyjechali 20-osobowa grupa, na czele z dyrektorką Szkoły Podstawowej w Wojnowicach Regi-
Kaczmarek. Byli nauczyciele Wiesława Szymanowska (opiekunka harcerskiej
Drużyny im. Bernarda Chrzanowskiego) i Andrzej Trosczyński, przedstawiciel
Rady Solskiej Czesław Stefaniak, re-
prezentantka Kola Gospodyń Wiejskich
Janina Osińska, Regina Kłaczek z Zes-
połu Upraw Rolnych, Maria Gawron
z Komitetu Rodzicielskiego szkoły oraz
dzieci — delegacje samorządów ucze-
niowskiego i klasowych z najstarszych
klas.

Gospodarzami uroczystości były od-
działy gdański i gdyński ZK-P. W ich
imieniu słowo okolicznościowe wygło-
sił red. Tadeusz Jabłoński. O B.
Chrzanowskim mówił również ks. wi-
kary Wojciech Histowski (z kościoła
Sw. Michała Archanioła na Oksywiu),
który poprowadził religijną część cere-
monii. Spośród wojnowiczian głos zabrał
A. Trosczyński. Uroczystość zakończyła
pleśń kaszubska w wykonaniu Geno-
wefy Rutkowskiej i Elżbiety Woelke,
składanie kwiatów i zapalenie zniczy.
Wartę honorową przy grobie trzymali
harcerze gdyńscy, podopieczni phm.
Jacka Zauchy.

Wszyscy zebrani goście odwiedzili
następnie mogiłę Antoniego Abrahama,
a kwiaty złożyli tam przedstawiciele
Oddziału Gdyńskiego ZK-P Aleksander
Trzebiatowski — prezes i Paweł Sze-
ziński.

Tego samego dnia zaproszono woj-
nowiczian na „Dar Pomorza”, gdzie
wysłuchali pogadanki T. Jabłońskiego
o wojnowickim dzieciństwie Bernarda
Chrzanowskiego. Wiceprezes Oddziału
Gdańskiego ZK-P Maria Kowalewska
scharakteryzowała pokrótce działalność
Zrzeszenia, odczytała legendę o Oksy-
wiu ze zbioru Józefa Ceynowy „Dobro
zwycięza” oraz obdarowała gości

książkowymi prezentami. Melodyjne
piosenki po kaszubsku zaśpiewały An-
na Bakun i Elżbieta Woelke.

Reszta wieczoru należała do kpt. T.
Wojciechowskiego, kustosa żaglowca-
muzeum. Świetnie słuchało się kapitań-
skich opowieści morskich. Na koniec
zostawił prawdziwą niespodziankę: film
o dziejach „Daru Pomorza”. Wojnowi-
czanie żegnali kapitana kwiatami. Nas-
tępnego dnia zwiędzali Oliwę i Gdańsk
z przewodnikiem PTTK G. Rutkowską.
Zapowiedzieli swój ponowny przy-
jazd w lipcu tego roku, na odsłonięcie
pomnika na grobie B. Chrzanowskiego
w 126-lecie urodzin, zarazem w pierw-
szą rocznicę sprowadzenia przez Zrze-
szenie jego prochów ze Skolimowa na
Oksywie. Przypomnijmy, że pomnik za-
projektował i wykonał artysta Witold
Bobrowski. Do sfinansowania tej pracy
znacznie przyczynili się właśnie woj-
nowiczanie. Nawiazany przez ZK-P
kontakt z Wojnowicami zaowocuje
prawdopodobnie nadaniem tamtejszej
szkole podstawowej imienia Bernarda
Chrzanowskiego, utworzeniem jego iz-
by pamięci. Planowane jest również
wmurowanie stosownej tablicy w woj-
nowicki dworek, miejsce urodzenia B.
Chrzanowskiego.

Przy okazji odnotujemy, że inicja-
tywę złożenia prochów B. Chrzanow-
skiego i postawienia tam pomnika
wsparli finansowo i przekazali dotąd
fundusze na konto ZK-P: Zarządy Wo-
jewódzkie PTTK w Gdańsku i Byd-
goszczy. Zarządy Oddziałów PTTK w
Sopocie i Poznaniu, Koło Przewodni-
ków PTTK w Gdańsku, z Wojnowie-
cką Szkołą Podstawową, Zespół Upraw
Rolno-Warzywnych oraz Koło Gospo-
dyń Wiejskich. Uwzględniając wniosek
ZK-P, decydująca suma, pozwalająca
na realizację zamierzenia przekazał o-
statnio Komitet Wspierania Inicjatyw
Społecznych przy „Głosie Wybrzeża”.
(Ank.)

W TCZEWIE NAD WISŁĄ

Nowy zarząd Oddziału Tczewskiego
wybrany 6 listopada ub.r. tworzą: Mi-
chał Spankowski — prezes, Grażyna
Zeško — wiceprezes, Andrzej Słizew-
ski — skarbnik, Elżbieta Czarnecka —
sekretarz oraz Andrzej Tobieński, An-
drzej Leopold, Roman Klim i Roman
Landowski — członkowie. Komisja Re-
wizyjna pracuje w składzie: Eugeniusz
Jajdzewski — przewodniczący oraz Anna
Kortas i Jan Kulas — członkowie.

W tej kadencji przewiduje się m.in.:
kontynuowanie imprez cyklicznych, tj.
organizowanie Spotkań Nadwiślańskich
i wykładów w ramach Studium Wiedzy
o Regionie. Planuje się też utworzenie
punktu handlowego wydawnictw w cen-
trum miasta, organizowanie rodzinnych
wędrowek po Kociewiu, zorganizowanie
sesji popularnonaukowej z okazji 180
rocznicy wyzwolenia Pomorza Gdańskiego
przez legiony generała Henryka Dąb-
rowskiego (21–22.02.1987), imprezy ob-
rzędowej „Powitanie Wiosny — Topie-
nie Marzanny” z udziałem młodzieży
tczewskich szkół podstawowych i po-
nadpodstawowych oraz Dni Kultury
Pomorskiej i galowego koncertu ludo-
wych zespołów folklorystycznych z te-
renu Kociewia.

W ramach najbliższych, piątych już
Spotkań Nadwiślańskich — Tczew 1987,
które odbędą się w czerwcu, przewi-
dzano sesję naukową na temat „Nad-
wiślańska kultura ludowa” oraz kon-
ferencję gospodarczą pod hasłem „Ma-
le elektrownie wodne”.

Duszą oddziału w Tczewie jest nie-
wzłapliwy prezes Michał Spankowski,
kierujący nim od początku jego istnie-
nia, tj. od 1981 r.

Kazimierz Ickiewicz

WYDAWNICTWA ZRZESZENIA W 1986 R.

Oddział Gdański

- JAN ZBRZYCA — WIZJE E. DU-
CHE. Nakład 1000 egz., cena 120 zł.
- STANISŁAW JANKE — ŻUŻONKA
JAK MRZONKA, KOŁYSANKA Z
MARZEN. Ilustrowała Małgorzata
Marczak. 20 000 egz., 50 zł.
- STEFAN BIESZK — SONYTY KA-
SZUBSKIE. Posłowie: Józef Borzys-
kowski. Wydanie drugie i poszerzo-
ne, 1000 egz., 130 zł.
- JAN KARNOWSKI — JO BEM LENO
CHCOŁ... 1000 egz., 100 zł.
- WZORY HAFTU KASZUBSKIEGO.
SZKOŁA WDZYDZKA. Teczka I,
wyd. III. 10 barwnych plansz wg
wzorów TEODORY GULGOWSKIEJ
wyhaftowanych przez Władysławę
Wiśniewską do druku opracowała
Małgorzata Rezmier-Marczak. Tekst:
Izabella Trojanowska. 30 000 egz., 220 zł.
- WZORY HAFTU KASZUBSKIEGO.
SZKOŁA WDZYDZKA. Teczka II.
10 barwnych plansz wg wzorów zas-
tosowanych przez MARIE i JANA
KONOPACKICH udostępnionych przez
Bogumiłę i Romana Konopackich,
do druku przygotowała M. Rezmier-
Marczak. Tekst: I. Trojanowska.
20 000 egz., 250 zł.

- HAFT KASZUBSKI. WZORY CZEP-
COWE. 10 plansz wzorów ZOFII i
JADWIGI PTACH udostępnionych
przez Marię Nowicką i Annę Konkel
oraz zaczerpniętych z haftów Wła-
dysławy Wiśniewskiej przygotowała
do druku M. Rezmier-Marczak. Tekst I.
Trojanowska. 20 000 egz., 250 zł.
- PAWEŁ DZIANISZ — PORUSZYŁ
WIATR OD MORZA (Bernard Chrz-
anowski 1861–1944). Portret Chrz-
anowskiego rys. Witold Bobrowski.
1000 egz., 90 zł.
- DOM NA KASZUBACH I KOCIE-
WIU (budynki mieszkalne, domki
letniskowe). Teksty: Andrzej i Kry-
styna Baranowscy. Rysunki: Kry-
styna Baranowska, Andrzej Basiń-
ski i Krzysztof Szarejko. 3000 egz.,
195 zł.
- BERNARD SYCHTA — OSTATNIO
GWIOZDKA MESTWINA (czyli Sło-
necznicie pomorskie; dramat w 2
obrazach). 500 egz., 100 zł.
- WZORY HAFTU KASZUBSKIEGO
ZOFII FORMELI Z KARTUZ. 10
barwnych plansz przygotowanych do
druku przez M. Marczak. Tekst: I.
Trojanowska. 30 000 egz., 280 zł.

Oddział Chojnicki

- BAZUNY nr 11 (datowany grudzień
1985 r., ukazał się w lutym 1986 r.).
Redaktor: Kazimierz Ostrowski. 1000
egz., 150 zł.

- RYS DZIEJÓW SZPITALA IM. JA-
NA KAROLA ŁUKOWICZA W CHOJ-
NICACH (1886–1986). Oprac.: Kazi-
mierz Ostrowski i Ludwik Chojnac-
ki. 1000 egz., 150 zł.

Poszczególne książki i teki haftów
przygotowane były do druku przez re-
daktorów (najczęściej pracujących spo-
łecznie): Marię Kowalewską, Kazimierza
Ostrowskiego, Tadeusza Skutnika, An-
nę Kościelecką, Alojzego Karaszewskie-
go, Izabellę Trojanowską, Stefanę
Sychtę.

Szate graficzną projektowali: Jan
Stańczak, Jan Misiek, Janusz Trzebia-
towski, Wiesław Matuszek, Kazimierz
Lemańczyk, Witold Bobrowski, Kry-
styna i Andrzej Baranowscy, Elżbieta
Kowalska-Matuszewska.

Poza tym z oficyny ZK-P współpraco-
wali: Edward Breza i Jerzy Treder
(ujednolicenie pisowni kaszubskiej)
oraz Henryk Czupa, Andrzej Brama-
ński, Elżbieta Zglejc, Alfons Klejna, Ta-
deusz Lorek (zdjęcia i rysunki).

Wydawnictwa były drukowane w:
Gdańskim Wydawnictwie Prasowym,
Zakładach Graficznych w Gdańsku, Za-
kładach Opakowań Drukowanych w
Chojnicach, „Nowatorze” w Kartuzach,
Gdańskich Zakładach Papierniczych,
Drukarni Morskiego Instytutu Rybac-
kiego w Gdyni oraz w „Intropapie-
rze” w Koszalinie.

● Naczelnym inżynier „Lubiany” w Łu-
bianie, twórcą lubiańskiej porcelany ka-
szubskiej i jednocześnie aktywnym ucze-
śnik kaszubskiego ruchu regionalne-
go — Benedykt Karzewski — obronił
rozprawę doktorską w Instytucie Tech-
nologii Nieorganicznej i Nawozów Mi-
neralnych Politechniki Wrocławskiej.
● Dr Jerzy Treder, wieloletni współpra-
cownik „Pomeranii”, obronił przed Ra-
dą Wyd. Humanistycznego Uniwer-
sytetu Gdańskiego kolokwium habilita-
cyjne na podstawie pracy „Ze studiów
nad frazeologią kaszubską (na tle po-
równawczym)” i na podstawie całego
dotychczasowego dorobku. Praca habili-

tacyjna ukazała się w serii Rozprawy
i monografie „Zeszytów Naukowych
Uniwersytetu Gdańskiego”. ● W prog-
ramie „Tygodnia Modlitw o Jedność
Chrześcijań” w kościele franciszkanów
w Gdyni dr Zygmunt Szulka wygłosił
odezwy „Gwara kaszubska w kościele
ewangelicko-luterańskim na Pomorzu Za-
chodnim w XVI–XIX wieku”, a zespół
poetycko-wokalny z Kartuz przedstawił
religijne teksty kaszubskie. ● 23 stycz-
nia oddział Zrzeszenia w Rumu organi-
zował trzecią w tej kadencji zabawę
tanieczną. Na każdej odbyła się licytacja
obrazów miejscowego malarza Leona
Bieszka i czynny był kiermasz wydaw-

nictw Zrzeszenia. Dochód z tych imprez
przeznaczony zostanie na zakup sztand-
aru dla oddziału. ● W Słupsku powstał
klub literacko-artystyczny zrzeszający
literatów i artystów z Bytowa i Słup-
ska, członków ZK-P. Inicjatorami po-
wstania klubu są Jerzy Dąbrowa-Janu-
szewski, Mirosław Kościński i Ryszard
Wrzesiński. ● 16 stycznia zwołano w
Konarzynie w woj. słupskim pierwsze
organizacyjne zebranie nowego oddzia-
łu, z inicjatywą jego utworzenia wystą-
pił Andrzej Guzela i Henryk Tande-
cki. Nowy oddział Zrzeszenia powstaje
także w Parchowie.

17 grudnia ub.r. odbyło się spotkanie z okazji jubileuszu 30-lecia Oddziału ZK-P w Kartuzach. Do kawiarni „Parkowa” oprócz członków Zrzeszenia przybyli przedstawiciele Zarządu Głównego ZK-P w Gdańsku oraz miejscowych władz i organizacji politycznych. Zebranych przywitał prezes Tadeusz Stoltmann. Historię oddziału przypomniał Roman Regliński, a wspomnieniem z działalności podzielił się z zebranymi pierwszy prezes Feliks Marszałkowski. Długoletnich członków wyróżniono dyplomami, kwiatami oraz upominkami.

Spotkanie uświetniły występy zespołu tanecznego „Modraki” ze Szkoły Podstawowej Nr 3 oraz grupy wokalne pod kierunkiem Barbary Pisarek.

Na zakończenie wieczoru wniesiono toast symboliczną lampką wina za pomysłną działalność dla dobra regionu.

Przy organizowaniu spotkania pomocą służyły kartuskie zakłady pracy: „Spółem”, Spółdzielnia „Kaszub”, Zakład Zamrażalnictwa i Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego oraz „Cepelia”, którym oddział serdecznie dziękuje.

Małgorzata Jakusz

KLEKA

KLEJNOTY GRYFITÓW

Od września do listopada ub. roku w warszawskim Zamku czynna była wystawa sztuki dworskiej zachodniopomorskich książąt z dynastii Gryfitów. Od 19 grudnia do marca ekspozycję można obejrzeć w Szczecinie. Ekspozycja (w tym wizerunki książąt, klejnoty, stroje trumienne, monety itd.) udostępniły muzea z Polski, NRD, RFN i Szwecji. Adam Krzeminski recenzując tę wystawę na łamach „Polityki” (nr 49 z 6.12.86) napisał między innymi: „To prawda, że na Pomorzu kamienie niekiedy mówią po niemiecku, tak jak po niemiecku jest opisana chorągiew pogrzebowa Bogusława XIII czy portrety książęce. Ale — to trzeba włączyć — te napisy nie są zawsze mówią przeciwko nam. Jesteśmy bowiem spadkobiercami tej ziemi i jej całej historii, a nie tylko powyrywanych fragmentów. Po prostu ICH historia jest dziś także częścią NASZEJ historii. Wystawa sztuki dworskiej Gryfitów z XVI i XVII wieku jest pierwszym takim krokiem pokazywania kultury materialnej na przeciwieciu kilku kręgów. I cóż z tego, że wykonawcami wielu tych precjozów byli mistrzowie z Augsburga, Drezną czy Frankfurtem nad Menem, byli też mistrzowie z Amsterdamu, Czech i ze Wschodu. Interesuje w sprawie małżeństwa Bogusława i Anny Jagiellońki spisano w Grodnie itd. Kultura dworska po prostu nigdy nie trzymała się kurczowo granic. Cóż z tego, że na rycinie czy na lufie strzelby książęcej z XVII wieku widnieje napis „Stettin-Pommern” a znów, że szczegółowa mapa Pomorza z 1618 roku, która być może służyła Szwedom do spustoszenia kraju kilka lat później, jest opisana po łacinie... Takie były dzieje tej ziemi i dobrze, że je sobie przyswajamy z coraz mniejszymi kompleksami!”

Wystawa warta jest szerszego omówienia. Uczynimy to w jednym z następnych numerów „Pomeranii”. (s.j.)

O BERNARDZIE SYCHCIE W „LITERATURZE LUDOWEJ”

Dwumiesięcznik naukowo-literacki „Literatura Ludowa” nr 4/5 z 1983 r., który wyszedł z drukarni w listopadzie 1986 r., zawiera m.in. obszerny szkic doc. dra Edwarda Brezy „Bernard Sychta — etnograf, psychiatra, dramaturg i leksykograf”. Czytelnikom „Pomeranii” dorobek ks. Bernarda Sychty powinien być znany. Breza swój tekst skierował przede wszystkim do naukowców i etnografów związanych z Polskim To-

Władysław Kirstein

kompozytor, instruktor muzyki, działacz ruchu śpiewaczego, niestrudzony zbieracz materiałów muzycznych Kaszub, Kociewia i Powiśla, autor i współautor śpiewników pomorskich, odznaczony m.in. medalami Stolema, Teodory i Izidora Gulgowskich, im. Oskara Kolberga. Spoczął 19 stycznia na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni.

Cześć Jego pamięci!

MUZYKA GDAŃSKA

W Republice Federalnej Niemiec ukazała się w ub. roku płyta z nagraniem muzyki gdańskiej XVI—XVIII wieku, w tym takich kompozytorów, jak T. A. Volckmar i D. M. Gronau. Utwory wykonał na organach Hillebrandów w Bazylice Najświętszej Marii Panny w Gdańsku znany nie tylko w RFN wirtuoz Oskar Gottlieb Blarr. Płyta ta, podobnie jak i organy gdańskie, uzyskała w prasie RFN bardzo wysoką ocenę. Szczególnie wysoko oceniła ją „Hannoversche Allgemeine Zeitung” z 18.11.1986 r., podkreślając idealny barokowy dźwięk organów, który płyta oddaje bardzo wiernie. (tb)

KRZYŻ KAWALERSKI DLA WŁADZI WIŚNIEWSKIEJ

W kręgu twórców ludowych Kaszub i w naszej „społeczności zrzeszonej” Władysława Wiśniewska z Wdzydz Kiszewskich jest postacią znaną, cenioną i lubianą. Dla przypomnienia więc tylko: przed laty najmłodsza z uczennic Teodory Gulgowskiej, dziś najbardziej znana z wdzydzkich hafciarek; od lat pierwsza śpiewaczka zespołu „Wdzydzanki”, który dzięki jej staraniom ciągle trwa. Jest też Władzia jedynym w swoim rodzaju prelegentem, takim co to opowie o Kaszubach, zadeklamuje po kaszubsku, zaśpiewa i jeszcze pokaże piękne hafty własnoręcznie wykonane. Również gościnna gospodynia, do której chęć latem zaglądać licznie nie tylko przyjaciele, także obcy pragnący ją poznać.

Władysława Wiśniewska angażuje się w wiele spraw związanych z rodzimymi Kaszubami, uczestniczy w konkursach sztuki ludowej, wystawach, jarmarkach, również dorocznych Turniejach Gawędzarzy w Wielu. Trudno zliczyć nagrody, wyróżnienia, dyplomy, podziękowania, które posiada. I chociaż jest już babcią (ma dwie wnuczki, trzecie wnuczę wkrótce ma przybyć) wciąż nieustraszenie haftuje, śpiewa i — wędruje. Czasem narzeka, że ciężko, że ma swoje lata, ale gdy po nią przyjadą, gdy nadejdzie zaproszenie — nie potrafi odmówić.

Taka jest Władzia Wiśniewska, taką 21 listopada 1986 r. na Zjeździe Stowarzyszenia Twórców Ludowych w Lublinie odznaczono Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W pełni zasłużonym. Gratulujemy. (I.T.)

warzystwem Ludoznawczym. Warto jednak przytoczyć apel autora o wznowienie „Słownika gwar kaszubskich na tle kultury ludowej”, który „pozostaje dziełem trwałym”, któremu „nie odejmie wartości czas”. Dzieło to zatem „pozostanie kopalnią wiadomości dla językoznawcy, etnografa, folklorysty oraz dla każdego humanisty. Dzieło to zasługuje na wznowienie, bo już dawno jest bezskutecznie poszukiwane na rynku księgarskim”.

E. Breza wyszczególniając zaszczyty, które za życia odebrał ks. Sychta pisał: „...w r. 1974 przedstawiciele Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego wręczyli autorowi „Słownika gwar kaszubskich” pamiątkowy medal z okazji ukończenia druku t. VI tegoż słownika”. Informacja ta zubaża stan faktyczny. Nie najistotniejszy bowiem jest sam fakt wręczenia medalu (w którym to wzruszającym akcie brałem udział), co fakt wybitny przez Zrzeszenie medalu Bernarda Sychty, i to za życia. Ten szczególny hołd złożony „Twórcy Słownika Kaszubskiego” przez społeczność Kaszubów jest ewenementem. Nikomu bowiem dotąd Kaszubi nie wyrazili w taki sposób swego uznania. (W.K.)

KOCIEWSKI MAGAZYN REGIONALNY

Ukazał się pierwszy zeszyt periodycznego wydawnictwa (najprawdopodobniej kwartalnika) pn. „Kociewski Magazyn Regionalny”, którego wydawcą jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Kociewskiej w Starogardzie Gdańskim i Towarzystwo Miłośników Ziemi Tczewskiej, a bezpośrednim editorem „Kociewski Kantor Edytorski”, zainstalowany w Tczewskim Domu Kultury. Redaktorem naczelnym jest Roman Landowski, sekretarzem Andrzej Grzyb, a kolegium redakcyjnym przewodniczy Józef Milewski.

W nocie wstępnej redakcji czytamy: „Kociewie (...) ze wszech miar zasłużyło na upowszechnienie swojego dorobku. My z (...) dorobku (poprzednich pokoleń) mamy prawo czerpać i obowiązek go pomnażać, dopisując nowe karty do księgi naszych dzieł”. Magazyn chce być otwarty na wszystko, co ma związek z Kociewiem. Życzymy tego z serca. A dodać musimy, że łamy „Pomeranii” dla tematyki kociewskiej pozostaje obszarem naszych zainteresowań.

Redakcja

NOWA KSIĄŻKA O KASZUBACH W KANADZIE

„Życie Literackie” (nr 45 z ub. roku) zamieściło fragment przygotowanej do druku książki „Przystań pod liściem klonowym” Piotra Platka. Opublikowany urywek pt. „Kaszubska przystań w Ontario” pozwala sądzić, że w całej książce Kaszubom kanadyjskim poświęcono wiele miejsca. Rzecz zapowiada się interesująco, wzbudzi zapewne też kontrowersje. Dla ilustracji krótki fragment: „W czasie, kiedy mało zauważalne były w Polskiej Rzeczypospolitej mniejszości narodowe, a wśród nich również Kaszubi, w Kanadzie wyzalał się oni w gorącym proteście: »Me Kaszube, jesz strzeżone Polscij morciech granic. A w Warszawie naszym braco mają naju za nic«. Jakże diametralnie odmienny jest obecnie w kraju stosunek do Kaszubów.” (W.K.)

● Oddział Gdański Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i Numizmatycznego zapowiada wybiecie w najbliższym czasie medali: z okazji 300 rocznicy śmierci Jana Heweliusza, 800 rocznicy przybycia cystersów do Oliwy, 990 rocznicy przybycia św. Wojciecha do Gdańska oraz upamiętniający wizytę Jana Pawła II w Gdańsku. ● Wykładem „Jana Heweliusza nekropolia gdańska” doc. dra hab. Andrzeja Zbierskiego w Muzeum Archeologicznym zainaugurowano w Gdańsku Rok Heweliusza. W ramach comiesięcznych wykładów w Muzeum Archeologicznym odbędzie się m.in. odczyty: dr Barbary Lepówny „Wykład gdańskiej archeologii do jubileuszu 800-lecia Oliwy” (7 kwietnia), doc. dra hab. Miłosza Frackowiaka „Medale gdańskie w okresie powojennym” (5 maja), dra Mariana Kwapińskiego „Mity społeczeństw kultury pomorskiej” (2 czerwca).

POEZJA ZAKORZENIENIA

Stwierdzenie, że po 1970 roku literatura kaszubska zaowocowała książkami jak w żadnym okresie wcześniejszym nie jest już niczym nowym. Zaowocowała, przede wszystkim, w sensie ilościowym. Jest to jednak warunek dość zasadniczy dla narodzin dzieła wybitnego, dla uzewnętrznienia się talentów. Jednak literatura ta nie znalazła jeszcze dostatecznego osądu u krytyków, co nieco robi samo Zrzeszenie na różnych „spotkaniach”, niewystarczająca jest krytyka literacka w „Pomeranii”, a już zupełną rzadkością są głębsze odczytania współczesnej literatury kaszubskiej w krajowych pismach kulturalno-literackich.

Interesujące omówienie literatury kaszubskiej (w ramach szerszego bilansu książek wydanych w 1981 r.) ukazało się w „Literaturze Ludowej” nr 4/5 z 1983 r. (numer ukazał się w grudniu 1986 r.) pióra Rocha Sulimy.

Uznany krytyk R. Sulima pisze: Analiza piśmiennictwa kaszubskiego poświadczają, iż w kulturze kaszubskiej przestrzeń między uświadomioną przeszłością a doświadczaną teraźniejszością, jest znacznie krótsza niż gdzie indziej. Humanistyczna treść kaszubskiego folkloru i tworzona przez Kaszubów literaturę są faktem jednorodnym i jednakowo wartościowym, umieszczonym jakby w jednej płaszczyźnie zarówno estetycznej, jak i egzystencjalnej. Sulima dodaje, że jest to charakterystyczne dla młodych literatów, gdzie dominuje świadomość folklorystyczna.

Według niego treść integralizmu współczesnej kultury kaszubskiej ujawniają dwa reprezentatywne zbiorki 1981 roku: „Mamota” Krystyny Muzy i „Z tatczężn” Józefa Ceynowy. Tomik Ceynowy jest świadectwem poetyckim działania kaszubskiej idei regionalistycznej. Idea ta nie wyraża się wprost, gdyż takiej potrzeby poeta i działacz społeczny nie odczuwa, nie musi podejmować tej idei w formie deklaracji, które pojawiają się często w momencie nasilającej się instytucjonalizacji treści kultury. Dominują w tomiku wypowiedzi, które nie są obliczone na wywołanie efektu estetycznego, ale odnoszą się do sfery bytu, egzystencji człowieka, a ta wyznacza kryteria humanistycznego ładu, równowagi najróżniejszych przejawów ludzkiego świata. Rozstrzyga ona o tematach poetyckich, sposobach wypowiedzi, wyobrażeniach adresata. Stanowi swoiste uniwersum humanistyczne, pełne i jednorodne.

Omawianie tomiku Ceynowy Roch Sulima kończy słowami: Świat, który poeta postrzega i który narzuca swe prawa to kaszubszczyzna. Ale jest to świat dobry jak każdy inny, skoro posiadało się swój sposób na życie.

Autor omówienia w „Literaturze Ludowej” dostrzega oczywiście... zupełnie inne akcenty w poezji Krystyny Muzy. Język i realia kulturowe kaszubszczyzny pozwalają autorce wydobyć własny ton wypo-

wiedzi lirycznej. Wiersze K. Muzy nie mają nic wspólnego z tzw. ludową poezją regionalną. Są raczej wyrazem ukształtowanej przez współczesne prądy kultury europejskiej potrzeby poszukiwania kulturowej tożsamości, odmienności i oryginalności. Innymi słowy, wyrazem poszukiwania kulturowych „korzeni”. Autorka wykorzystwała nowocześnie „mowę” czyli znaczenia dialektu kaszubskiego. Słowa wypowiedzi lirycznej (...) nie są w „Mamocie” przypisane wciąż do tych samych rzeczy, tematów, czy realiów, jak to ma miejsce zazwyczaj w innych wydawnictwach regionalnych, ale z drugiej strony słowa te wiążą naturalnie człowieka z jego kulturą, oddalają wynaturzenia i hamują procesy kulturowego wyobcowania.

Sulima różnicę między twórczością seniora poetów kaszubskich a poetką wyróżniającą się spośród debiutujących w latach siedemdziesiątych ujmuje tak: Krystyna Muza z doświadczanej świadomości odrębności kulturowej wydobywa ton własny, który jest wspólny światu wartości ludzkich. Józef Ceynowa natomiast w zespoleniu z całym światem osiąga własną odrębność, wybiera swoją drogę życia.

W tym interesującym głosie z południa Polski o poezji kaszubskiej jeszcze wzmianka o tomiku kociewskim Jana Wespy „Rodzinna moja ziarnia” oraz o antologii ks. Jana Walkusza „Święty dzel dęsze”. Ta ostatnia — zdaniem R. Sulimy — przedstawione wyżej charakterystyczne przejawy integralizmu kultury kaszubskiej wzbogaca i dopełnia. Dopełnia obraz ludowej poezji kaszubskiej i poezji Kaszubów w ogóle. I takie rozróżnienie naszej poezji jest coraz powszechniejsze, co z satysfakcją odnotowuję. (W.K.)

O AUGUSTYNIE NECLA I O KASZUBACH Z JEGO POWIEŚCI

W końcu ub. roku podczas sesji marynistycznej w Szczecinie PIOTR JAWORSKI mówił o piarstwie Augustyna Necla. Z tego referatu przytaczamy (za „Głosem Wybrzeża” nr 43) fragment: „Siłą piarstwa Necla jest autentyczność i wyraźnie źle czuje się on w gorszej literackiej konwencji, bowiem wtłacza go ona w obszary nie znane, obce. Tam natomiast, gdzie do głosu dochodzi niczym nie skażony kaszubski folklor, Necel oddycha pełną piersią. Świat pojęć i wartości jego bohaterów jest bardzo prosty: Bóg jest w niebie, król w Krakowie (później w Warszawie), pan Sulicki w Sulicach, a Wejher w Pucku. Życie powinno upływać na pracy, modlitwie i wzajemnym poszanowaniu. Gdy zaś czarcie plemię szwedzkich »morzkulców« zapragnie pokoszować gdańskiej gorzałki i kaszubskich dziewcząt, spotka się ze zdecydowanym odporem. I obrońcy nie będą czekać na rozkazy, listy kaparskie, żołąd. Ich skarbnicą jest morze, ojczyzną najpierwszą rodzinna chęć i maszopieria, a powinnością troska o te

wartości. Wszelkimi sposobami: w otwartym polu i z zasadzki, z bronią w ręku i podstępem, a gdy te środki zawiodą — potrafią godnie umierać w obronie czci, wiary, honoru i swego miejsca na ziemi. W ich działaniu nie ma patosu, fanfaronady, obca jest im też wszelka pozbawiona pokrycia deklaratorywność. Codzienna praca na morzu i życie zgodne z porządkiem natury wykształciły w nich odwagę, siłę i dyscyplinę (...)

Jak zatem widać, kaszubszczyzna jest dla Necla kosmosem czyli łaodem, miejscem oswojonym, podniesionym do rangi centrum zaskanekiem, którego odwieczne prawa decydują o narodowym bycie, o wewnętrznej harmonii i etycznym komforcie całego ludu i człowieka poszczególnego. I te właśnie wartości sprawiają, że ów rzekomy amator urasta do rangi pisarza, tworzy bowiem na wszystkich poziomach spójną wizję świata. Oczywiście jest, że z filozofią Necla można dyskutować, podobnie zresztą jak i wiele zarzutów można postawić jego piarstwu, ale morze w jego wydaniu nie ma w sobie nic ze sztafazu, a wręcz przeciwnie — stanowi ono integralny składnik kosmosu, którego piewcą jest Augustyn Necel”. (wj.)

AUDYCJA O GRASSIE

„Jednym słowem chodzi o to, by będąc urodzonym w Danzgu wyrobić sobie pozytywny stosunek do Gdańska”. To zdanie stanowiło motto audycji dokumentalnej Jerzego Tuszewskiego „Günter Grass w Gdańsku — kilka punktów widzenia”, nadanej 22 grudnia w programie II Polskiego Radia. Złożyły się na nią fragmenty rozmów z pisarzem nagranych podczas jego wielokrotnych wizyt w grodzie nad Motławą, recytacje własnej poezji, relacja z wręczenia nagrody „Czerwonej Róży”, przyznanej mu przez „Zak” w 1981 r., wypowiedzi pisarzy i krytyków mieszkających w Gdańsku.

W artykule zamieszczonym w „Antenie” (nr 51), zapowiadającym audycję, Danuta Kwiatkowska stwierdziła, że „Günter Grass pisze w swych książkach o diasporze polsko-kaszubsko-niemieckiej w Wolnym Mieście Gdańsku. Dramatyczną złożoność historii ziemi gdańskiej, on — gdańszczanin, wrażliwy człowiek i pisarz — rozumie, jak rzadko kto. Mówi się o Grassie, że jest »otwarty na polskość«. Lecz zawiódłby się ten, kto myślałby, iż »hołubi on polską mitologię, polski kult bohaterstwa. Stąd brało się wiele zarzutów pod jego adresem, choćby na temat jednego z wątków »Blaszanego bębna« — obrobny Pocztę Polskiej w Gdańsku. Wielu odczytuje utwór dosłownie — nie błędniejszego. Pisarz w swych książkach oscyluje między dowcipem, ironią i powagą. Kto go czyta nieuważnie, wpada w ślepy zaułek”. Do miasta swego dzieciństwa i młodości — zaznacza D. Kwiatkowska — „powraca nieustannie, ale bez typowych niemieckich fobii. Jest przywiązany raczej do miasta, a nie do »ojczyzny Niemców« na tym terenie. (...) Obec jest mu szowinizm. Jego idea — to pacyfizm”.

Autor audycji indagowany przez „Antenę” odrzekł, że chciał pokazać, że Grass jest rzecznikiem porozumienia i umiłowania przeszłości wyzbytej nacjonalistycznych akcentów”. (Sz)

REŻYSER Z KASZUB

Na ostatnim dorocznym przeglądzie Młodego Kina w Gdańsku w kategorii dokumentu nagrodzono film Mirosława Borka „Absolwent”.

Młody reżyser pochodzi z Wejherowa, wykształcenie średnie uzyskał w tamtejszym Zespole Szkół Elektrycz-

nach. Studiował filologię polską (specjalność filmoznawczą) na Uniwersytecie Gdańskim, a potem na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. Debiutował filmem dokumentalnym „Usłyszeć siebie” zrealizowanym w ośrodku dla dzieci głuchych w Wejherowie. Do tej tematyki nawiązuje także jego film fabularny „Daleki dystans” przygotowany dla telewizji, według własnego scenariusza, w zespole „Kadr”. Obecnie realizuje film fabularny dla kina — „Mitoman”.

W rozmowie z Regina Osowicką (zamieszczoną w „Dzienniku Bałtyckim” z 29 grudnia), na pytanie: „Ziemia kaszubska ze swoją bogatą historią i ciekawym dniem dzisiejszym jest kopalnią tematów dla każdego twórcy. Czy jako wejherowianin czuje się pan moralnie zobowiązany do podejmowania niektórych z nich?”, młody reżyser odparł: „Kiedy skończyłem szkołę, powiedziałem sobie, że wszystko, co zobowiązuje w dziedzinie filmu dokumentalnego, związane będzie z problematyką wybrzeża. Niestety, do tej pory nie zrealizowałem filmu o Kaszubach, a mam poczucie długu wobec tego regionu. Jest jeszcze kilka innych ważnych tematów, które powinienem podjąć, np. zupełnie w głębi Polski nieznana historia Piaśnicy czy wiążące się z walką o polskość na Kaszubach dzieje rodziny Roszczyńskich. Rodzime strony są cennym tworzywem dla każdego twórcy”. (Sz)

GDĄSZCZANIE WYGRALI KRASOMÓWCZY KONKURS PRZEWODNICKI

W końcu listopada ub. roku odbył się na zamku golubskim tradycyjny, piętnasty już z kolei konkurs krasomówczy przewodników PTTK. Po raz pierwszy zwycięstwo w nim przypadło przedstawicieli Gdańska, wobec czego herb tego miasta zawisł wreszcie na ścianie zwycięzców w golubskim zamku. Sukces Gdańska jest tym większy, że na drugim miejscu w konkursie uplasował się także przewodnik gdański.

Zwycięzczyń golubskiego konkursu, zdobywczyń złotego lauru przewodnickiego Grażyna Sagan przedstawiła w eliminacjach temat „Bohaterska obrona Poczty Polskiej w Gdańsku”, w finałowym zaś wystąpił — „Komendant Jurkiewicz i jego „Dar Pomorza”. Zdobywca drugiego miejsca i srebrnego lauru przewodnickiego Krzysztof Berenthal w eliminacjach mówił na temat „Polska droga do marynistyki”, finałowe zaś wystąpienie poświęcił pamięci Lecha Bądkowskiego jako człowieka i działacza.

Trzecie miejsce zajął reprezentant Krosna Kazimierz Michańczyk. (dz)

NOTY O KSIĄŻKACH

**JÓZEF BORZYSZKOWSKI, INTELI-
GENCJA POLSKA W PRUSACH
ZACHODNICH 1848—1920.** Wydawnictwo
Morskie, Gdańsk 1986, s. 376 + tabl.
ilustr., cena 450 zł. Pierwsza w naszym
piśmiennictwie naukowym rozprawa
przedstawiająca proces kształtowania
się i oblicza inteligencji wchodniopomorskiej, bardzo wszechstronnie i sumiennie opracowana. Autor przedstawia
warunki rozwoju inteligencji polskiej
na Pomorzu Nadwiślańskim, jej kształtowanie się, rodów społeczny, wykształcenie zawodowe, kulturę i wzorce
osobowe, kariery zawodowe w związku
z sytuacją materialną i więzi środowiskowe. Praca bardzo wartościowa,
teraz warto opracować dzieje inteligencji
pomorskiej po 1920 r.

**KAROL GÓRSKI, STUDIA I SZKICE
Z DZIEJÓW PAŃSTWA KRZYŻACKIEGO.** Wydawnictwo „Pojezierze”,
Olsztyn 1986, s. 224, cena 600 zł. Wybór
drobniejszych prac znakomitego badacza
Zakonu Niemieckiego, poświęconych
jego dziejom w Prusach. Prace te, do-
tąd rozproszone w czasopiśmie nau-

kowych, zostały przez autora przepra-
cowane i stanowią cenne źródło uzu-
pełniające jego monografię wydane we
Włoszech i Polsce. W tomie umieszczono
m.in. takie prace, jak „Polacy i Niemcy
w ziemi chełmińskiej w średnio-
wieczu”, „Ustrój państwa i zakonu
krzyżackiego w Prusach”, „Kawaleria
krzyżacka”, „Kapituła chełmińska w
czasach krzyżackich”, „Dyplomatyka
krzyżacka”. Załowac należy, że książka
ukazała się w nakładzie tylko 2 tys.
egzemplarzy.

**KS. STANISŁAW BOGDANOWICZ,
BAZYLKA MARIACKA W GDĄSKU.** Gdańsk
1986, s. 40, ilustr. Jest to zwię-
zła historia budowy, a następnie odbu-
dowy sławnej świątyni gdańskiej oraz
szczegółowy przewodnik po jej wnę-
trzu, prezentujący zawarte w niej
dzieła sztuki, pomniki historyczne i
miejsca pamięci narodowej. Liczne ilu-
stracje świetnie uzupełniają treść, do
której można mieć pełne zaufanie.

**KS. WŁADYSŁAW SZULIST, DUSZ-
PASTERSTWO POLSKIE W HAMBUR-
GU I HANOWERZE.** Biuletyn Polonii-
ny. Collectanea Theologica 56 (1986),
fasc. III, s. 166—172. Autor przedstawia
w sposób interesujący, chociaż bardzo
zwarcie, historię duszpasterstwa w Ham-
burgu i Hanowerze, dokąd emigrowali
m.in. Pomorzanie, a także aktualną sy-
tuację duszpasterską. Ważny przyczynek
do dziejów emigracji polskiej.

**MARIAN MROCZKO, POLSKA MYŚL
ZACHODNIA 1918—1939** (Kształtowanie
i upowszechnianie). Instytut Zachodni,
Poznań 1986, s. 432 + tabl. ilustr.,
cena 500 zł. Monografia materiałowa,
ukazująca kształtowanie się polskiej
myśli zachodniej i jej upowszechnia-
nie głównie przez odpowiednie instytucje
i organizacje. Wiele uwagi poświęca au-
tor rozwojowi tej myśli na Pomorzu.
Układ chronologiczno-gniazdowy, o
czym świadczą rozdziały: „O podstaw
polskiej myśli zachodniej, O kształt
granicy zachodniej, Po Wersalu, W cie-
niu Locarny, Od deklaracji 1934 r. do
Monachium, W obliczu bezpośredniej
agresji niemieckiej.

**ZAPISKI HISTORYCZNE POŚWIECONE
HISTORII POMORZA I KRAJÓW BAŁ-
TYCKICH, t. LI, 1986, z. 2, Poznań
1986, s. 204, cena 300 zł.** Kolejny ze-
szyt cennego czasopisma naukowego,
w którym m.in. piszą: Błażej Śliwiński
o roli politycznej rycerstwa gdańskiego
w okresie wojny domowej na Pomorzu
Gdańskim w latach 1269—1272, Leszek
Belzyt — o „Ilustrowanym Kurierze
Polskim” w latach 1945—1950 i Józef
Spors (w ramach dyskusji i polemiki)
o kwestii datowania lokacji miasta na
prawie lubeckim w Gdańsku. Jak zwy-
kle w 2 numerze Henryk Baranowski
publikuje „Bibliografię historii Pomo-
rza Wschodniego i Zachodniego oraz
krajów regionu Bałtyku za rok 1984”.

STUDIA PELPLIŃSKIE. Wyższe Semi-
narium Duchowne Diecezji Chełmiń-
skiej, filia Papieskiego Uniwersytetu
Laterańskiego, t. XV, Pelplin 1984 (druk
1986), s. 336. Tom zawiera materiały
z V Spotkań Pelplińskich n.t. „Ko-
ściół powszechny i lokalny a kultura
regionu”. Z 11 opublikowanych refe-
ratów i komunikatów przypominamy
tylko niektóre: Edmund Puzdrowski —
„Specyfika regionalna chrześcijańskiej
kultury Pomorza”, Tadeusz Lipski —
„Od Galilei do Kaszub i Podhala”,
Jerzy Samp — „Ksiądz Biskup Kon-
stantyn Dominik. Jego służba w Ko-
ściele a kultura rodzima”, ks. Stanis-
ław Człapa — „Ksiądz dr Kazimierz
Bieszk — prekursor odnowienia liturgii
i wychowawca”, Edward Breza —
„Głos w dyskusji” i Feliks Marszałkowski — „Moje wspomnienie o ks. pra-
cie Kazimierzu Bieszk”. W dziale
Culmensia m.in. o. Gaudyusz Kustusz
OFM pisze o wejherowskich zasługach
o. Grzegorza Gdańskiego, a ks. Wła-
dysław Szulist — o kaszubskiej emi-
gracji do Brazylii.

**BERNARD SYCHTA, OSTATNÓ GWIÓ-
ZDKA MESTWINA CZYLI SŁONECZ-
NIE POMORSKIE.** Dramat w 2 ob-
razach. Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, Oddział Gdański, Gdańsk 1985, ce-
na 100 zł. Wydana metodą powielaną
sztuka sceniczną ks. Sychty powstała
na początku drugiej wojny światowej
i na podstawie rękopisu wystawiana

była przez zespół pelplińskiego Wyż-
szego Seminarium Duchownego w la-
tach 1958 i 1970 w Pelplinie, a w 1959 r.
w Gdańsku. Do druku przygotowała
i wstępem poprzedziła Stefania Sychta.

**ZESZYTY NAUKOWE WYDZIAŁU HU-
MANISTYCZNEGO. PRACE HISTORY-
CZNO-LITERACKIE 10—11, Historia li-
teratury—Historia—Język, cz. I. Uniwer-
sytet Gdański, Gdańsk 1986, s. 352,
cena 300 zł. Tom zawiera „Prace ofia-
rowane Profesorowi Andrzejowi Bu-
kowskiemu na siedemdziesiątą piątą
rocznicę urodzin i pięćdziesięciolecie
twórczości naukowej”. Z wielu pozycji
wymieniamy niektóre: „Kalendarium
życia i działalności Profesora Andrzeja
Bukowskiego”, „Bibliografia prac Prof.
dr Andrzeja Bukowskiego”, Edward
Breza — „Imię Andrzej, jego derywa-
ty i nazwiska od niego pochodzące”,
Bogusław Kreja — „Buk i nazwy po-
dobne jako podstawa słowotwórcza pol-
skich nazw miejscowych”, Hubert Gór-
nowicz — „Stare Polaszk”. Do warto-
ściowych publikacji zaliczyć trzeba Ro-
mana Wapińskiego „Między ojczyznami
prywatnymi a ideologicznymi” i Wła-
dysława Zajewskiego „Wokół sporów
historiograficznych o autorstwo Ma-
zurka Dąbrowskiego w latach 1830—
—1922”.**

DIE SLAWEN IN DEUTSCHLAND.
Geschichte und Kultur der slawischen
Stämme westlich von Oder und Neisse
vom 6. bis 12. Jahrhundert. Ein Hand-
buch — Neubearbeitung. Herausgege-
ben von Joachim Herrmann. Akade-
mie-Verlag, Berlin 1985, s. 630, ilustr. +
mapa barwna, cena 1550 zł. Praca zbio-
rowa — wśród autorów jest również
laureat Medalu Stolema, dr Frido
Mětsk — opisująca wszechstronnie
wczesną Słowiańszczyznę, a więc we-
drówki i siedziby, języki i dialekty,
gospodarkę, osiedla, grody i wczesne
miasta, struktury społeczne i politycz-
ne, kulturę duchową itp. Ciekawie
przedstawiono np. relikty Słowian w
języku niemieckim na obszarze daw-
nego zasiedlenia Słowian po lewej
stronie Odry. Praca napisana przy za-
stosowaniu metody materializmu histo-
rycznego. Zawiera wiele wartościowych
informacji i również interpretacji. Tytuł
całości jest nieco mylący, bo do-
tyczy głównie okresu samodzielności
organizmów i państwów słowiańskich,
w tym księstwa zachodniopomorskiego.

**WŁADYSŁAW SZULIST, WĄŻNIEJ-
SZE ŁADOWE SZLAKI HANDLOWO-
KOMUNIKACYJNE UJĘCIA ODRY W
XVI—XVIII w. Część prawobrzeżna.**
Komunikaty Instytutu Bałtyckiego, z.
36/37, Gdańsk 1984/1985, s. 175—197. Ko-
lejny źródłowy artykuł o szlakach ko-
munikacyjnych na Pomorzu, bardzo
wartościowy. Z dotychczasowych pu-
blikacji Szulista na ten temat można
wnosić, że autor przygotowuje większą
monografię typu pionierskiego.

**TEODOR MISTEWICZ, ZAGADNIENIA
REWINDYKACJI TERYTORIALNYCH W
IDEOLOGII POLSKIEGO RUCHU NA-
CJONALISTYCZNEGO DO ROKU 1918.**
„Dzieje Najnowsze”. Ossolineum 1986,
nr 2, s. 3—34, cena numeru 240 zł.
Artykuł daje obraz kształtowania
się programu rewindykacji tery-
torialnych w ideologii ruchu nacjona-
listycznego, od Ligi Polskiej przez Ligę
Narodową do paryskiego Komitetu Na-
rodowego Polskiego w 1918 r. Obser-
wację potraktowano w artykule problem
Gdańska i Pomorza, mianowicie różne
warianty umiejscowienia ich w przy-
szłym organizmie państwowym po-
lskim, o czym zresztą wcześniej pisał
już prof. Roman Wapiński.

**NARÓD W IDEOLOGII I POLITYCE
RFN.** Zbiór studiów pod redakcją Je-
rzeja Marczewskiego. Instytut Zachod-
ni, Poznań 1986, s. 352, cena 400 zł.
Chociaż studia zawarte w tej książce
dotyczą RFN i NRD, to jednak dają
sporo do myślenia w sporach o pojęcie
narodu w ogóle. Przykładem studium
Tadeusza Seweryna Wróblewskiego
„Kulturalne aspekty jednoci narodu
niemieckiego w interpretacjach zachod-
noniemieckich”, czy Bernarda Perlaka
„Problemy tożsamości narodowej w na-
uce i publicystyce RFN”. Są to sprawy,
które na Pomorzu powinniśmy
zawsze dokładnie śledzić.

(T. Bol.)

Mikołaj Duszyński

Pośrednik poezji pomorskiej

Wspomnienie o Jerzym Kwiatkowskim

30 grudnia ubiegłego roku zmarł Jerzy Kwiatkowski, wybitny krytyk literacki, eseista, naukowiec, profesor historii literatury polskiej w Instytucie Badań Literackich PAN. Urodził się w Warszawie 3. czerwca 1927 r., w Warszawie chodził do szkoły, kontynuował naukę na tajnych kompletach, brał udział w Powstaniu Warszawskim w szeregach AK. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim i w Krakowie osiedlił się na stałe. W 1948 roku debiutował na łamach prasy jako krytyk literacki. W latach 1951–55 był asystentem Instytutu Badań Literackich w dziale bibliografii, a w latach 1955–58 kierownikiem redakcji literatury współczesnej w Wydawnictwie Literackim. Od 1958 podjął ponownie pracę naukową w IBL, gdzie uzyskał kolejno stopień doktora habilitowanego i profesora. Jako krytyk i badacz zajmował się przede wszystkim poezją, wydając, względnie opracowując kilkanaście książek. Znałcy przedmiotu za szczególnie ważne określają — „U podstaw liryki Leopolda Staffa”, „Świat poetycki Juliana Przybosa” czy „Poezja Jarosława Iwaszkiewicza na tle dwudziestolecia międzywojennego”.

Urodzony w Warszawie, mieszkaniec Krakowa, był obecny również w Gdańsku, ba, na całym Pomorzu, od Odry do Noteci. Ta szczególna kraina, ze środowiskami — szczecińskim, koszalińskim, bydgosko-toruńskim, a szczególnie gdańskim, w latach po Październiku 1956 owocowała licznymi talentami poetyckimi. Ograniczenia czasów stalinowskich dotknęły ten gatunek szczególnie, gdyż dzięki „normatywnym socrealizmowi” ustalały również „normatywy wyobraźni”. Tylko nieliczni ujawniali swoje utwory, co słabsi jedynie sławili „maszynistę dziejów” lub „traktory, które zdobywają wiosnę”. Ten prawdziwy wybuch po Odwilży sprawił, że pootwierzały się szuflady, powstawać zaczęły nowe czasopisma (na Pomorzu było kilka czasopism kulturalnych), powstawały nowe wydawnictwa. W Gdyni przemianowano filię Wydawnictw Komunikacyjnych na Wydawnictwo Morskie. W tym też wydawnictwie zaczęły się ukazywać pierwsze tomy wierszy debiutantów, także następne tomy poetów, którzy przedtem debiutowali gdzie indziej. To wtedy Jerzy Kwiatkowski za namową Marii Kowalewskiej, ówczesnej kierowniczki Redakcji Literatury Pięknej w gdyńskiej oficynie, rozpoczął współpracę z tym wydawnictwem, opiniując, recenzując, opracowując tomy poetów, a potem almanachy.

W międzyczasie w Gdańsku zlikwidowano „Kontrasty” (dwutygodnik społeczno-kulturalny), „Uwagę” (studenckie pismo kulturalne) i „Kaszëbë” (dwutygodnik społeczno-kulturalny). Na ich miejsce po pewnym czasie powołano miesięcznik „Litery”. Te zapędy likwidatorskie rozszerzył z własnej inicjatywy na tomy poezji ówczesny dyrektor Wyd. Morskiego, Włodzimierz Jabłoński. Wymyślił on sposób na nową poezję, na „ów bełkot”, jak się publicznie wyraził przy okazji „Czerwonej Róży” w Elblągu, w obecności wielu wybitnych poetów polskich; miał nim być almanach, taki kojec dla tych wszystkich poetów, którzy „uzurpowali” sobie wydanie tomu wierszy w WM. Zebrano w nim więc poetów z całego Pomorza, zasięgu działalności gdyńskiej oficyny. Opracowania tej książki podjął się Jerzy Kwiatkowski. I było to prawdziwe szczęście dla poetów i dla ich utworów. Jak sądzę, również dla samej sprawy poezji na tych ziemiach. Jego kultura literacka, umiar w ocenach krytycznych, a również umiejętność widzenia całości zjawiska, wpłynęły decydująco na kształt tej w końcu udanej książki. Przy okazji almanachu „Poeci pomorscy” we wstępie tak scharakteryzował to „własne oblicze poetyckie” pomorskiej liryki: Jej główne cechy to „znaczna śmiałość wyobraźni, przede wszystkim wizualnej, wyobraźni kontrolowanej jednak, mającej na celu nie tylko »objawienie«, lecz także efekt estetyczny, w którym — obok zaskoczenia — niemałą rolę odgrywa intelektualna radość z odczytania poetyckiego szyfru;

dalej: silne uwrażliwienie na sferę wartości plastycznych, zwłaszcza malarskich — a jednocześnie: zainteresowania »kulturowe«, tendencja do pisania nie tylko pejzażami, abstrakcyjną sytuacją psychologiczną czy sprzętami domowego użytku, lecz także sztuką i literaturą, aluzją literacką i plastyczną...”

Równocześnie wiadomo było, i podkreślała to również Jego przyjaciele we wspomnieniach („Tygodnik Powszechny” nr. 2/87), że posiadał „temperament krytyka zawsze otwartego na nowe formy i drogi poezji, felietonisty »Twórczości« staczającego słowne i ideowe utarczki z nieuczciwością lub miałością literacką” — (Marek Skwarnicki). Zanim podjął się pisania owych felietonów, te właśnie cechy zaprezentował przy współpracy z Wydawnictwem Morskim. Jeżeli wtedy nie udało się dyrektorowi WM spacyfikować poezji pomorskiej, nie sprowadzić jej, jak pisał Jerzy Kwiatkowski do „naszych zasług”, w wymiary „miejscowych sław”, w kategorie „na szczeblu wojewódzkim”, to właśnie dlatego, że Jerzy Kwiatkowski umiał wyczuć wartość literacką tej liryki i, co więcej, umiał ją obronić przed zapędami prowincjuszy. Jak skromnie wyznawał, swoją rolę sprowadzał do roli „pośrednika”, który „jeżeli ma cokolwiek do roboty, to chyba jedynie wprowadzenie w ruch pewnego systemu ostrzeżeń dla czytelników na niektóre tylko rodzaje poezji wrażliwych...”

Zgubna polityka wydawnicza WM (wydano jeszcze jeden almanach „Poeci pomorscy II”, w którym zamieszczono „dorobek z ostatniego okresu 47 (!) poetów Gdańska, Szczecina, Bydgoszczy, Torunia i Koszalina”) sprawiła, że poeci zaczęli czuć się w tym kojcu nieswojo, za ciasno i wydawać gdzie indziej — w Warszawie, Krakowie, Poznaniu. Tak więc na pewien czas zerwała się nie tak pożytecznej współpracy poetów pomorskich ze „swoim Krytykiem”. Musieli sobie dawać radę sami. Różne były tego efekty, choć niektóre tomy zawierały przecież jeszcze wiersze z almanachu „pomorskiego”. Późniejsze drogi twórcze niektórych z nich potoczyły się inaczej, niektórzy wręcz zmienili swoje poetyki lub nawet gatunki, a jednak przeglądając tę twórczość, nie można definitywnie odrzucić wpływu Jerzego Kwiatkowskiego na nią. Trąca ona bowiem te same struny natchnienia, wyobraźni, które rozbudził, względnie które umocnił u wybranych poetów. Później, dyrektor WM, nim został odwołany, zmuszony został do zmiany owej curiosalnej „polityki” wydawniczej i zaczął się proces odtwarzania tego, co niemal zostało już zniszczone. Jerzy Kwiatkowski znowu zaczął pracę nad indywidualnymi zbiorami poezji, nad nowymi debiutami.

Ten krytyk, choć niewiele starszy od twórców, miał niekwestionowany autorytet wśród nich. Prawda, że wspierany był talentami poetów i cierpliwymi zabiegami Marii Kowalewskiej, której współpracę cenił, czemu nawet dał wyraz w druku, ale źródła tego trzeba szukać w osobistych walorach Zmarłego. Wymieniona już kultura literacka, wiedza, wrażliwość na różne poetyki, umiar w ferowaniu wyroków negatywnych (może na początku zbyt ugięta nawet liberalność w ocenach), wszystko podporządkowane było jednemu celowi: nie uronić niczego, usunąć zahamowania, które by mogły przeszkodzić w rozwoju talentu poetyckiego.

Czym zakończyć ten artykuł wspomnieniowy? Wyrażeniem żalu, że oto jeszcze jeden z tych, którzy za wcześniej zostali się z nami, z poetami i czytelnikami, z wydawcami i historykami? A może żal ten pogłębić o przekonanie, że obecni debiutanci na Pomorzu nie mają szczęścia do takiego krytyka i nauczyciela? W ogóle przypadkowość ocen w dzisiejszym kręgu książek poetyckich w Polsce wiąże się nie tylko z tym, że recenzje pisane są okazjonalnie, przez to nieuważnie, pretensjonalnie, ale i z tym, że coraz częściej na oceny te wpływają koterie środowiskowe, a czasem nawet polityczne. Jerzy Kwiatkowski mógł sobie pozwolić na luksus obiektywizmu, na luksus odrzucenia tego czy innego tomu wierszy, gdyż był poza wszelkim podejrzeniem, nie należał do żadnej koterii, do żadnego ugrupowania. „Spiskował” w pojedynkę, dla dobra poezji i poetów. ■